

JAN BRZECHWA

OPOWIADANIA DRASTYCZNE

Wielki Aleksander Gordon

Z oddalonego pokoju, przez otwarte okna, dobiegała gra Ewy. Na ulicy przechodnie zatrzymywali się, zapominali przez chwilę o powszedniej konieczności pośpiechu i oddawali się skradzionemu próżniactwu, żeby posłuchać chociażby strzępów rozbrzmiewającej muzyki. Naturalność gry Ewy sprawiała wrażenie improwizacji. Na pierwszy plan wybijała się melodia żywa i bujna, mieniąca się szeroką gamą najsubtelniejszych cieniowań. Ale niewidzialna pianistka urzekła też ulicznych melomanów plastycznością polifonii. Pod jej palcami Chopinowska Barkarola tchnęła zarem południowego nieba i chłodem wodnych przestrzeni, włoski romantyzm łączył się z czysto polskim liryzmem. Fortepian zdawało się nie grać, lecz śpiewać, zwłaszcza w partiach kantylenowych. W pewnej chwili, gdy przebrzmiała środkowa część Ballady g-moll, Gordon, który nigdy nie mógł słuchać jej bez głębokiego wzruszenia, wychylił ostatni łyk kawy i wszedł do pokoju Ewy.

Stojąc w drzwiach, głosem patetycznym, jakby ze swojej ostatniej wyuczonej roli, zawołał:

— Ewo, jesteś genialna! Zagrałaś to wspaniale, nadzwyczajnie, fantastycznie! Słyszałem Paderewskiego w Paryżu, cała sala wstała z miejsc, stałem ja i król belgijski, ale Paderewski w porównaniu z tobą to partacz. Przyśięgam na Szekspira i Niech będę statystą w prowincjonalnym teatrze, jeśli na konkursie nie zdobędziesz pierwszej nagrody. Przepowiadam ci światową sławę, a ja znam się na sławie i potrafię na nią polować jak myśliwy na kuropatwę. Możesz mi zaufać, uczynię z ciebie gwiazdę pierwszej wielkości.

Mówiąc to pocałował ją w czoło tkliwie, niemal z namaszczeniem.

— Cóż za skłonność do przesady — powiedziała Ewa przebiegając palcami po klawiaturze. — Jesteś niepoprawnym entuzjastą. Ale na tym właśnie polega cały twój urok. Chciałabym wyróżnić się na konkursie, żeby ci nie sprawić zawodu. Wiesz chyba, że na nikim tak mi nie zależy, jak na tobie. Inni mnie nie obchodzą. Chociaż... skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie pragnę odnieść sukcesu.

— Musisz wierzyć w twój talent.

— Kobiety na ogół nie są żądne sławy. Ale tyś mi zaszczepił ten bakcyl, przyznaję.

— Czeką cię wytężona praca. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jakiego samozaparcia wymaga kariera artysty. Wszyscy sądzą, że nasze życie składa się z samych blasków, oklasków i francuskiego koniaku, że sukcesy spadają na nas lekko jak barwne confetti. Ale ty widzisz, ile wysiłku kosztuje mnie każda rola, ty wiesz.

— Mam przed sobą jeszcze pół roku. Ćwiczę przeciwieństwo od rana do nocy. Jestem wytrwała i uparta.

— Wzięłaś to po mnie. Dlatego też dziwi mnie, że od pewnego czasu nie nazywasz mnie ojcem. Czy sądzisz, że tego nie zauważyłem? Nie, Ewo, to nie jest w porządku. Przyznasz chyba, że traktuję cię jak rodzoną córkę, jeśli nie lepiej.

— Córkę, córkę — rzuciła Ewa tonem rozdrażnionym, z domieszką gorzkości. — Jesteś despotyczny, samowładny jak faraon, co jeszcze byłoby do zniesienia. Ale ty jesteś gromowładny jak Zeus. Wielki Aleksander Gordon! A ja lubię cię dodała z przekornym uśmiechem — kiedy jesteś rozczarowany, zmęczony, lubię twoje chwile słabości. Wtedy stajesz się bardziej ludzki, mniej patetyczny. I masz w sobie bezradność małego chłopca. Takim cię lubię najbardziej. Teraz już wiesz?

— A ja lubię, gdy jesteś pogodna, wesoła i mniej uszczypliwa. Masz nazywać mnie ojcem. Żądam tego!

— Odezwał się Zeus rozkazodawca I — zawołała Ewa i uderzyła w klawisze, wydobywając z nich kilka taktów zgiełkowej Wagnerowskiej uwertury.

— Nie mam ochoty na sprzeczkę. Wyjdiesz z nastroju i gorzej pójdzie ci praca. Zegnam cię patetycznie, despotycznie i jak tam jeszcze? Aha — gromowładnie. Idę na próbę. Gdybym się spóźnił — nie czekaj z obiadem.

— Znowu mnie opuszczasz, mój Koriolanie!

— Ojcze! masz mówić do mnie: ojcze! Jesteś krnąbrna i niepoprawna.

Gordon zszedł do podziemnego garażu, wyprowadził swego peugeota i pojechał do miasta. Zajmował z Ewą obszerną, odosobnioną willę na mokotowskiej skarpie, z ogród-

kciem pełnym bzów i tulipanów, ale szczególną chlubę ich obojga stanowiło jedno drzewko, które późną jesienią obsypane było zachwycającą czerwienią rajskich jabłuszek. Wielki Aleksander Gordon! Tak, Ewa miała słusność nazywając go wielkim. Któż z ludzi starszych nie pamięta jego dawnych głośnych kreacji. W roli Edypa wywoływał płacz na widowni. Zasłynął jako król Lear, Uriel Akosta, Natan Mędrzec. O jego aktorstwie pisano monografie, porównywano go z Królikowskim, Kaczałowem, Garrickiem. Gordon Craig, który przed wojną specjalnie przyjechał do Paryża na jego gościnny występ w roli Don Salustia, wpadł za kulisy, ukląkł i rzekł z emfazą: — Gordon składa hołd Gordonowi. Królowa rumuńska podczas swego pobytu w Warszawie, natychmiast po przyjeździe, wyraziła życzenie obejrzenia Gordona na scenie. Tego dnia grano „Ryszarda II”. Królowa zaprosiła Gordona do swojej łóżki i ofiarowała mu zdjęty z palca pierścień z brylantem. Był to pierścień zaręczynowy od króla Ferdynanda. Opowiadano później o nieopanowanym wybuchu gniewu królewskiego małżonka podczas przyjęcia w Belwederze.

Działo się to przed wielu laty. Ten drobny incydent nabrał rozgłosu. W prasie zagranicznej pisano, że w całej tej historii Gordon zachował się jak król, a król jak prowincjonalny aktor.

W istocie, był to człowiek pozbawiony płytkiego snobizmu, żywił wstręt do tak często spotykanej w sferach teatralnych małostkowości i kabotyństwa. Żył postaciami, w które się

wcielał, aż sam stał się postacią z wielkiego repertuaru życia. Umiał być wyrozumiały dla ludzkich ułomności i słabostek, do kolegów odnosił się życzliwie, a w przyjaźni okazywał szczodropliwość uczuć, której wielu chętnie nadużywało, poczytując ją za słabość.

Gordon nie pysznił się swoją wielkością, nie wywyższał się, był skromny i nigdy nie miał pewności sukcesu. Nie szukał sławy — sama do niego przyszła. Wiedział tylko, że zawód artysty wymaga nieustannego doskonalenia środków wyrazu, szlifowania rzemiosła, zmagania się z samym sobą, ze skostnieniem warsztatu, z ograniczoną możliwością poznania tego, co w sztuce jest niepoznawalne i wymyka się spod kontroli racjonalnego myślenia. Dlatego też praca jego wykraczała daleko poza obszar wyznaczonych mu ról. Studiował historyczne życiorysy odtwarzanych postaci, obyczaj ich czasów, tło społeczne i polityczne, starał się poznać cały podskórny nurt, który uzasadniał ludzkie postępowanie. Zgłębiał charaktery, psychologiczne pobudki działania bohaterów sztuki, klimat epoki i jej wpływ na przebieg wydarzeń. Był żywą encyklopedią wiedzy o teatrze, znał wszystkie jego tajemnice.

Nie odczuwał głodu zaszczytów i może właśnie dlatego los mu ich nie poskąpił. Wiele mówiono o jego zarobkach, o jego zamożności, chociaż on sam do spraw materialnych nie przywiązywał wagi. Był bożyszczem tłumów. Egzaltowane wielbicielki nachodziły go za kulisami, mógł sięgnąć po każdą, ale nie zależało mu na łatwej zdobyczy, na przelotnych przygodach. Pragnął w życiu tylko jednego:

prostej, prawdziwej miłości. I tej właśnie nie miał. Tak mu się przynajmniej zdawało. Chciał być kochany nie dla swojej sławy i talentu, ale jak zwykły pierwszy lepszy mężczyzna. Jego niepospolitość fałszowała obrasr rzeczywistych uczuć kobiet. Przekonywał się o (tym niejednokrotnie i zawsze za późno. Był człowiekiem wielkich pasji. Ta pasja przeni*kała jego kreacje sceniczne, porywała widzów, ale nigdy nie udało mu się obudzić równie wielkich uczuć w żadnej kobiecie, którą kochał. Nie znalazł dotąd ani jednej godnej partnerki do odegrania tej najważniejszej roli w teatrze jego własnego życia. Szukał szekspirowskiej bohaterki, a znajdował subretki z wodewilu. Nie od razu poznał tę gorzką prawdę. Był ufny i wielkoduszny w miłości, mierzył wszystko miarą własnego serca.

Największy jego romans trwał pięć lat. Kobieta, którą kochał płomiennie i wiernie, porzuciła go bez powodu. W światowym repertuarze dramatycznym Gordon nie spotkał się z czymś podobnym. Powiedziała pewnego dnia podczas obiadu, tak swobodnie, jakby chodziło o zmianę kapelusza:

— Wiesz, Al, postanowiłam od ciebie odejść. Dłużej już nie wytrzymam.

Gordon osłupiał.

— Nikt inny nie wchodzi w grę, przysięgam. Jesteś nadzwyczajny, wspaniały, będę cię podziwiała do końca życia. Ale na to, żeby żyć z mężczyzną, trzeba go po prostu kochać. Nie przerywaj mi. Wiem, że sprawiam ci ból, a samą siebie ośmieszam mówiąc tak po pięciu latach. Poniosła mnie egzaltacja i głupota. Wmawiałam w siebie, że jestem w tobie zokochano. A ty byłeś zawsze taki delikatny, wrażliwy. Myślałam, że coś się we mnie z czasem odmieni. Ale teraz wszystko mnie drażni. I ta twoja wieczna pogoda, i uległość, i nieustanna chęć dogodzenia mi... Nie mogę tego znieść. Rozumiesz? Nie mogę! Wybacz, mówię to, co czuję. Nie wytrzymam już dłużej ani jednego dnia. Choćbyś mnie zabił. Ja naprawdę próbowałam się przemóc. Nie zgodziłam się na małżeństwo dlatego, że cię nie kochałam. To znaczy, nie kochałam aż tak, żeby spalić za sobą mosty. Początkowo nie umiałam ci się oprzeć, nie miałam dość siły. Spadłeś na mnie jak Zeus na Ledę, przytłoczyłeś mnie. A ja jestem zwykłą, mało skomplikowaną kobietą, nie mam sił do dźwigania twojego nieba. Nie urodziłam się Kariatydą. Wypuść mnie ze swojej niewoli. Chcę i muszę od ciebie odejść, chcę ratować przed tobą resztki mojego życia.

Po wysłuchaniu tego monologu Gordon przez chwilę milczał z zaciśniętą krtanią. Ziemia usuwała mu się spod nóg. Każde słowo Leny miażdżyło go, znieważało, zadawało śmiertelne rany. Ale nie dał tego po sobie poznać. Był pomimo wszystko i w każdej sytuacji wielkim aktorem. Opanował się, wstał od stołu i rzekł głosem, który widzów tej sceny mógłby przejąć dreszczem:

— Wszystko rozumiem. Tak, teraz wszystko rozumiem. Oczywiście. Na dwa dni wyjadę z Warszawy, żebyś miała czas na rozważenie swojej decyzji, a jeśli będziesz przy niej trwała — na wprowadzenie Jej w czyn. W każdym razie wszystko, co znajduje się w tym domu, należy do ciebie. Pieniądze są w lewej szu

fladzie biurka. Możesz nimi dowolnie dysponować. Żegnam cię... Bądź zdrowa.

Gordon rolę tę odegrał nieporównanie. Był wspaniałomyślny, pełen godności i w miarę tragiczny. Tak jak zapowiedział — wyjechał do Kazimierza, a kiedy wrócił, Leny już nie zastał. Przez długi czas nie mógł odzyskać równowagi* Zaczął pić, noce spędzał w knajpach z przygodnymi kompanami, spóźniał się na próby, odrzucał role.

Okres ten nazwał później żartobliwie cytrynowym okresem swojego życia. Wynikało to stąd, że co wieczór w Klubie Aktora wypijał pół litra jarzębiaku pod cytrynę pokrajaną w plasterki i posypaną cukrem. Różni naciągacze spośród aktorskiego ipospółsrst/wa czyhali na niego. Gdy tylko wchodził do Klubu, jakaś postać zrywała się od stolika:

— Mistrzu, czy nie mógłby pan pożyczyć mi stówy?

Filmowiec Krummel, autor niezłych krótkometrażówek, o którego względy zabiegały młode aktorki, pewnego wieczoru ustrzelił Gordona w szatni. Działał przez zaskoczenie, gdyż znali się raczej przelotnie.

— Mistrzu, musi mi pan pożyczyć dwa tysiące.

Gordon, obezwładniony tupetem tego człowieka, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął dwie pięćsetki.

— Proszę... Nie mam więcej przy sobie.

Po trzech dniach w teatrze wezwano Gordona do telefonu. Mówił Krummel:

— Mistrzu, mam u pana tysiąc złotych... Kiedy mógłbym je dostać? Potrzeba mi do zarżnięcia.

I tym razem Gordon dał się sterroryzować bezczelnością filmowca.

— Tak... no dobrze... Zostawię w kopercie u portiera.

Przy jego stoliku w Klubie przewijali się wykolejeni aktorzy, grafomani, drugorzędni malarze, poszukujący fundatora. A później licytowali się między sobą, który z nich celniej go „przygordonił”.

Cytrynowy okres trwał przeszło pół roku. Ale Melpomena czuwała nad swoim wybrańcem. Powołanie artysty okazało się silniejsze niż rozpacz porzuconego kochanka. Wielki Gordon w sztuce znalazł ukojenie i grając Otella budził taką grozę, że młoda aktorka, występująca w roli Desdemony, zemdląca na scenie z przerażenia.

Lena po upływie roku wyszła za mąż za podrzędnego rzeźbiarza, który ją maltretował i bijał po pijanemu. Gordon raz tylko widział ją przelotnie w kawiarni. Z wolna oddalała się z jego pamięci. Podczas wojny Niemcy wywieźli Lenę na roboty do Drezna, gdzie zginęła podczas dywanowego bombardowania tego miasta przez alianckie samoloty. Na wieść o tym Gordon z zawstyżeniem pomyślał, że gdyby Lena umarła wtedy, kiedy była z nim, cierpiałby mniej niż skutek bólu, który mu zadała opuszczając go tak bezlitośnie. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że jej śmierć odczuwał jak czasową tylko nieobecność. Aktor, który dziesiątki razy umierał na scenie, nie umiał ogarnąć świadomością całej prawdy o istocie śmierci, o stanie absolutnego nieistnienia. Czy zresztą samo słowo

„stan" nie niweluje w jakimś sensie tego pojęcia?

Ale sprawa z Leną nie oznaczała tylko jednorazowej klęski. Miała dla Gordona znaczenie o wiele głębsze, gdyż obnażyła w całej ostrości właściwy dramat jego życia. On, który dawał ludziom nieprzemijające wzruszenia, który umiał z genialną rozrzutnością pokazywać wielkie namiętności i uczucia, sam żył jak potępieniec, nieustannie łaknący i spragniony miłości. Dopiero Lena sprawiła, że uświadomił sobie w pełni tę fatalną prawdę. Nie kochała go żadna kobieta pomimo wszelkich zalet męskiej urody i charakteru. W chwilach rozczarowań zastanawiał się nad sobą, prowadził, jak na aktora przystało, patetyczny monolog wewnętrzny:

— Czego mi brak? Na czym polega moja ułomność? Jakie cechy trzeba posiadać, żeby zyskać uczucie (kobiety)? Może jestem za mało męski? Nie, nic podobnego! Może nudny? Przeciwnie. Wszyscy są zdania, że jestem interesujący w rozmowie, atrakcyjny, błyskotliwy. Mówili mi to mężczyźni, przyjaciele, osoby obce. Kobiety, z którymi mnie nic nie łączyło, zachwycały się moim sposobem bycia, galanterią, taktem towarzyskim. Talent, inteligencja? Czyżby to miało obezwładniać kobiecie serca? Do licha, jestem za mało obłudny, nie dość brutalny. One lubią mężczyzn samo- lubnych i bezwzględnych. Tego im potrzeba. Gdybym był kompletnym zerem jak mąż Leny, gdybym nią poniewierał jak on, wtedy kochałaby mnie na pewno. Czernic, ten kiepski aktorzyzna, wiecznie cuchnący potem, miał żonę, która go ubóstwiała, a kiedy ją porzucił — odebrała sobie życie. Oto zawiłe tajemnice psychiki ludzkiej. Wiemy, kogo kochał Mickiewicz, ale gdzież te kobiety, które uszczęśliwiły go swoją miłością? Kleopatra nie kochała Cezara. Napoleon władał kobietami, ale nie zdobywał ich serc. Alojzja wzdurzyła Mozarta. Żona Wiktora Hugo, tego genialnego, subtelnego poety, wolała abnegata Sainte-Beuve'a. Natalia nie kochała Puszkina, skoro potrafiła przeboleć jego śmierć. Geniusz paraliżuje małe duszyczki. Geniusz nadaje się tylko do uwielbiania z daleka. Oto nędza wielkości! „Romeo i Julia", „Panią Bovary", „Czerwone i czarne", „Cierpienia młodego Wertera" mogli napisać tylko ludzie, którym poskąpiono w życiu miłości, a byli jej spragnieni tak jak ja. Tylko pospolitość nie paraliżuje wyobraźni erotycznej kobiet. Potrzebny jest im byle kto, żeby mogły nad nim górować. Dopiero wtedy ubożuchna szczodrobliwość serca zaspokaja ich próżność. Dopiero wtedy są zdolne pokochać. Dlatego tacy jak ja muszą ponosić porażki.

W pamięci Gordona przesuwają się różne postacie i twarze — teatr cieni. Zawsze, ilekroć ponawiał próby obudzenia w kobiecie upragnionego uczucia, przekonywał się poniewczasie, że była to jeszcze jedna bezwartościowa miłostka, po której zostawał niesmak i pustka.

Upływały lata, dziesiątki lat, a on był wciąż niekochany. I ten niezaspokojony głód miłości dodawał tragizmu jego szekspirowskim kreacjom. Sława Gordona rosła, ale malała szansa na osiągnięcie osobistego szczęścia. Był pasierbem losu i życie przebiegało

mu pomiędzy aplauzem widowni a samotno- * ściami mrocznego gabinetu, gdzie książki pię* trzyły się do sufitu.

I jeszcze to ostatnie rozczarowanie z Izoldą. Ta banalna i bezsensowna historia w stylu brukowej powieści.

Właśnie wtedy na horyzoncie pojawiła się Ewa. Jemu miała wszystko do zawdzięczenia. Ale i on jej również. Dla niego grała ulubioną Balladę g-moll, dla niego pragnęła zdobyć laur na Konkursie Chopinowskim, dla niego starała się stworzyć w domu atmosferę ciepła i spokoju. Oboje lubili swoje „angielskie wieczory”, kiedy Gordon recytował wiersze Poe- go, Burnsa, Keatsa.

Gordonowie wywodzili się ze Szkocji. Pradziad Aleksandra, mistrz, który posiadał se kret produkcji porcelany, uległ namowom, Staszica i wbrew zakazowi władz wymknąć się (potajemnie z Anglii, aby osiedlić się % Polsce, gdzie założył pierwszą fabrykę wyro- bów porcelanowych. Upływ lat, niedbalstwo spadkobierców, kolejne pożary unicestwiły je^ go dzieło. W rodzinie pozostał tylko kult dla języka przodków, który pielęgnowano jak rodowy klejnot.

Ewa była urodzoną pianistką. Jej fenomen nalna muzykalność wprawiała w podziw. Otf- dziewięciu lat nie rozstawała się z fortepianem. Olśniewała talentem, wrażliwością, wyczuciem stylów, wirtuozerią. Rok spędziła na studiach pianistycznych w Anglii. Gordo.i chciał, aby poznała kolebkę jego rodu, a rów 5 nocześnie udoskonalila swą angielszczyznę. \b Upajali się muzyką i poezją, żyli teatrem i pracą, mieli wspólne upodobania, przylegali do siebie jak pierścien do palca. Przygoda z Ewą stała się w życiu Gordona początkiem nowej ery.

2

"W bufecie teatralnym unosił się odór bigo*- su i piwa. Przy jednym ze stolików siedziała ^rupa aktorów i omawiała przykry incydent dnia poprzedniego. Podczas szkolnego przedstawienia „Zemsty” chłopcy strzelali z procy gwoździami w Rejenta i Dyndalskiego.

— Czołem, koledzy! — zawołał Gordon od progu i jego potężna, masywna postać przysłoniła połowę niewielkiej salki.

— Witamy mistrza — odezwała się nieśmiałym głosem Desdemona.

— Mówiłem ci, mała, że nie lubię, kiedy ak do mnie się zwracasz. Czy chcesz, żebym :ię naprawdę uduślił na scenie?

— O, nasz Otello jest dziś nie w humo- 'że — powiedział Czernic i zachichotał śmiechem, który przypominał skrzypienie szafy.

' — Przeciwnie — rzekł Gordon. — Czuję się ndowolony i szczęśliwy. Zwłaszcza kiedy wi- jęc takie śliczne dziewczęta. Pozwolisz, Haneczko, że usiądę przy tobie. Co z próbą?

— Odwołana. Irena ma grypę. Dzisiaj gra- nfy Brechta. Cały repertuar przewrócony do •fary nogami.

*— Wobec tego mam wolny wieczór. Pójdę r Ewą do Filharmonii. Powiadam wam, jak ta dziewczyna gra! Co za talent! W poniedziałek

zapraszam was do siebie. Urządzą jej mały prywatny recital.

— A będzie koniak? — zapytał Czernic i głupio zarechotał.

— Będzie. Ale dopiero po recitalu. Zacząłbyś skrzeczeć, a Chopin tego nie lubi. Zresztą ja również. Za łatwo się wstawiasz i w dodatku nieefektownie.

— A wie pan, że dyrektor ma zamiar odwołać przedstawienia szkolne? — rzekła Des- demona.

— To niesłuszne — powiedział Gordon. Potępiam oczywiście strzelanie z procy do aktorów, ale pomyślmy, jak zapobiec takim wybrykom. „Zemsta”, Fredro — klasyk — bardzo pięknie. Może jednak sztuka ta nie trafia do młodocianej widowni? Istota sporu o mur graniczny, sam problem, jest dla nich najzupełniej obcy. A do zrozumienia materii literackiej, do zrozumienia istotnego piękna Fredrowskiego dzieła smarkateria jeszcze nie dojrzała. Boy już dawno przewidział, jak będzie odbierana „Zemsta” w czasach, kiedy na widowni zasiadają dzieci i wnuki Fredrowskich murarzy, a konflikt sąsiedzki dwóch nie istniejących już obszarników do ich świadomości nie dotrze. Mówię to oczywiście w uproszczeniu, ale twierdzę, że klasycy dla współczesnej młodzieży są niestety za trudni. Wymagają większej dojrzałości artystycznej. Powiada się, że Mickiewicz zbłądził pod strzechy. Nic podobnego. To tylko mit. Pokażcie mi chłopca, który rozczytuje się w „Panu Tadeuszu”. Najgenialniejsze dzieło świata, a dla ludzi nie przygotowanych — piła. Oto powód, dla którego chłopcy na przedstawieniu „Zemsty” strzelają z procy.

Dyndalski nie chciał urazić Gordona, ale nie mógł powstrzymać się, żeby nie powiedzieć:

— Jesteś tak przesiąknięty Szekspirem, że łatwą i błyskotliwą komedię Fredry usiłujesz ponad miarę skomplikować. Przypisujesz Fredrze garb, którego nie ma.

— Opowiem wam świetną historię A propos — przerwała dyskusję Klodia z przyszłej premiery „Idów marcowych”. — Bunin i Czechow odwiedzili chorego Tolstoja. W pewnej chwili ten złośliwy starzec przyciągnął do siebie Czechowa, jak gdyby miał zamiar go ucałować, i szepnął mu do ucha: „Nie znoszę tych pańskich sztuk. Szekspir pisał źle, a pan jeszcze gorzej”.

— No-no I Si non e vero, e bene trovato — rzekł Gordon, pożegnał się z kolegami i wyszedł majestatycznym krokiem, który wielu aktorów na próżno starało się naśladować.

Był niezadowolony z siebie, że wdał się w dyskusję na temat „Zemsty”. Miał wątpliwości, czy został właściwie zrozumiany.

Muszę o tym pomówić z Ewą — pomyślał wychodząc z teatru. Wsiadł do samochodu, żeby pojechać do domu. Ale w tym momencie uświadomił sobie, że od rana nosi w sercu jakąś drobną drzazgę, że coś go uraziło, ale nie pamiętał co i w jakich okolicznościach powstał <ten niemiły zgrzyt, który mu popsuł humor. Dzień był upalny. Po pierwszej połowie maja, chłodnej i deszczowej, nagle wybuchła pełnia wiosny. W ciągu jednej nocy zazieleniły się drzewa, zakwitły bzy i czeremchy.

Gordon wdychał rozgrzane, aromatyczne powietrze i poczuł nieodpartą chęć zanurzenia się „w zwiewnych nurtach kostrzewy”. Zaprażył zetknięcia z przyrodą, z zielonością. Początkowo miał zamiar pojechać za miasto, ale wtedy spóźniłby się na obiad. Wybrał więc park łazienkowski, gdzie nieraz przemierzał samotnie odległe aleje i obmyślał swoje role.

Zaparkował wóz na Myśliwieckiej i ruszył w głąb parku. Zatrzymał się przez chwilę na mostku nad wodą, przyglądał się przepływającym łabędziom i dziewczynce, która rzucała im kawałki bułki.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Ewa — odrzekła dziewczynka — i uciekła przestraszona widokiem ogromnego, starszego pana.

— Ewa — powtórzył Gordon. I nagle uświadomił sobie powód przykrego uczucia, które mu towarzyszyło od rana. Tak, to było to. Ewa od pewnego czasu przestała nazywać go ojcem. Dlaczego? Przez kilka lat pieśczośliwe słowo „tatuś” napępniało Gordona ciepłem i dumą. Uczynił wszystko, co mógł, żeby ją przywiązać do siebie, żeby stworzyć jej warunki rodzinnego domu. Kochał ją gorącą ojcowską miłością, przeniósł na nią wszystkie uczucia zawiedzionego serca! Stała się jego córką, żrenicą oka, skarbem, nad którym czuwał nieustannie. Drżał o jej zdrowie, otaczał najczulszą opieką, wychowywał, kształcił, gotów był poświęcić dla niej wszystko, nawet sławę i scenę. Nikt w życiu nie był mu równie drogi. I nagle coś się w niej odmieniło. Przestała nazywać go ojcem. Może w miarę jak

■■■■HHHHI

dojrzewała, zaczęła w głębi jej duszy budzić się tęsknota za prawdziwymi rodzicami, których nigdy nie znała? Za matką. Tyle słyszy się o podobnych wypadkach. Zdarza się, że z wolna narasta wTogość w stosunku do przybranych rodziców. Przygarnięte dzieci uciekają od nich, czynią poszukiwania, żyją nadzieją odnalezienia rodzonej matki lub ojca. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć tych dziwnych odruchów instynktu czy też głosu krwi.

Gordon czuł, jak serce mu zamiera na samą myśl, że Ewa mogłaby się od niego odwrócić, odejść do ludzi, którzy się jej wyrzekli, których nie zna i nie może kochać, choćby się nawet nagle gdzieś objawili.

Jest jego córką, nosi jego nazwisko, wszystko, co posiada, należy do niej. Czyżby znowu miał ponieść klęskę, tym razem ostateczną i równą śmierci?

Nie trwożyła go myśl o jej małżeństwie. Rozumiał, że nie da się tego uniknąć. Ważna była tylko kwestia wyboru. Pragnął, żeby znalazła szczęście w miłości, którego sam nigdy nie zaznał. Byleby tylko nie zniweczyła jego ojcostwa. Tego przecież nie może uczynić, nie może zadać mu takiego ciosu.

Spotkał Ewę przed dziesięcioma laty. Tak, to była najosobliwsza przygoda! Żaden pisarz nie zdołałby jej wymyślić. Napisało ją samo życie swoim wiecznym, bajecznym piórem.

3

Był niezapomniany rok 1955, w którym wyrugowano bezprawie. Ludzie wyzbyli się lęku.

Gordon pięć lat spędził w oflagu i każda myśl o ponownym (pozbawieniu wolności napelniała go odrazą. Kiedy koledzy organizowali teatr w obozie jeńców, odmówił swego udziału. Jego muza nie mogła schwytać oddechu w niewoli. Tak określił swoje stanowisko.

Dlatego też rok 1955 obudził w nim głód aktywności politycznej i społecznej. Sztuka nie wypełniała już dostatecznie jego bujnej natury. Zgodził się kandydować na posła do sejmu, stanął na czele organizacji aktorskiej, wszedł do zarządu ZBoWiDu, dał się poznać jako działacz i mówca. Przypomniano sobie jego przeszłość rewolucyjną, którą nie lubił się popisywać ani nie chciał jej dyskutować. Zresztą tego, że ukrywał spiskowców czy organizował strajk aktorów, nie uważał za rzecz godną uwagi.

Rok 1955 otworzył tamy. Repertuar teatrów wzbogacił się o nowe sztuki, które dotąd nie miały dostępu do polskich scen. Na afiszach pojawiły się nazwiska Sartre'a, Anouilha, Salacrou. Ale talent Gordona wymagał większego napięcia. Był w swoich kreacjach patetyczny i kolosalny, jak Michał Anioł w rzeźbie. Zaćmiewał wszystkich, rozsądzał scenę, nie miał dla siebie igodnych partnerów. Świecił właśnie tryumfy w „Mazepie”. Takiego Wojewody od czasów starego Leszczyńskiego w Warszawie nie oglądano, toteż bilety na przedstawienie rozchwytywane były na miesiąc naprzód.

Wtedy właśnie, pewnego wieczoru, za kulisami zjawiła się Izolda. Ojciec jej był śpiewakiem operowym i wymyślił dla niej to pre tensjonalne imię, aby ucześć w ten sposób Wagnera.

Pomysł godny tenora — pomyślał Gordon.

Izolda pracowała w jednej z redakcji Polskiego Radia, gdzie polecono jej opracować audycję: „Godzina z Aleksandrem Gordonem”. Przyszła uzyskać jego zgodę i ustalić wszystkie szczegóły.

Gordon z właściwą mu galanterią powiedział:

— Czy się zgadzam? Musiałbym być ślepy jak Homer, żeby odmówić takiej ślicznej dziewczynie.

Ten zdawkowy komplement wywołał rumieniec na twarzy Izoldy. Gordon przyglądał się jej okiem znawcy. Miała iduże, zdziwione oczy w oprawie starannie podczernionych rzęs; usta świadome swego powabu, z lekka (prowokujące; prześlizgane, małe uszy, i tylko miękki, tępo zakończony nos nadawał rysom twarzy ledwie dostrzegalny odcień wulgarności. Głowa osadzona na długiej szyi, nieznacznie uwypuklonej przez powiększoną tarczycę, była zachwycająco zgrabna. Jej kształt podkreślały krótko obcięte, proste włosy, spadające zalotnie na czoło bezładną grzywką.

— Mój szef powierzył mi przygotowanie tej audycji. Kiedy mogłabym omówić z panem scenariusz? Liczę na pańską pomoc.

Izolda nie tytułowała go mistrzem, co zmniejszało dystans pomiędzy nimi. Nie wiedziała nawet, że -ujęła tym Gordona. Po prostu przyswoiła sobie młodzieżowy styl, odrzucający kult dla uznanych autorytetów. Traktowała Gordona jak zabytek z epoki, która ją mało interesowała. Była na wskroś nowoczesna tą sztuczną nowoczesnością dziewcząt ładnych

i zrozumiących, ale absolutnie powierzchownych.

— Jak pani redaktor sobie życzy — rzekł Gordon z lekką ironią w głosie. — A może pani czuje się za młoda, aby wolno było tak panią tytułować?

— Z tą młodością pan chyba przesadza. Mam już skończone studia polonistyczne.

■— Naprawdę? No cóż, bardzo z tym pani do twarzy.

— Pan Gordon — na piani — rozległ się w głośniku głos inspicjenta.

— Przepraszam panią, muszę iść na scenę. Możemy się umówić. Czy zechciałaby pani przyjść do mnie?

Powiedzmy — w poniedziałek. O dwunastej. Już sobie notuję. Będę czekał.

4

Rozmowa toczyła się w gabinecie Gordona przy czarnej kawie. Izolda rozglądała się ciekawie po pokoju.

— Co oznacza ta płaskorzeźba? — zapytała wskazując na gipsową kopię Nike z Samotraki.

— Nike? A dlaczego bez głowy? Podoba mi się ten wschodni pejzaż. Bakałowicz? To istniał taki malarz?

A tamci żołnierze na biwaku? Pałat? Niemożliwe. Przecież Fałat malował śnieżne krajobrazy. Ma pan dużo ładnych rzeczy. Weźmy się jednak do pracy. Proszę mi opowiedzieć o sobie.

Izolda notowała i nie zadając pytań zdała się całkowicie na tok opowiadania Gordona:

— Życiorys mój nie jest tak bogaty, jak pani sądzi. Zaczęło się stereotypowo i banalnie. Reszta była dziełem przypadku, a więc matura w Radomiu. Potem szkoła dramatyczna. Mieliśmy w rodzinie aktora. On mnie do tego namówił. Powołanie? Czy ja wiem... Jako mały chłopiec byłem na „Irydionie” w Teatrze Polskim.

Wyszedłem pod wielkim wrażeniem, nauczyłem się sztuki na pamięć, odgrywałem przed lustrem Heliogabala, wygłaszałem tyrady Etychlana. Tak, było to jakieś wielkie przeżycie. Po ukończeniu szkoły dramatycznej tułałem się po teatrach prowincjonalnych. Ciągle Jakieżś plajty, chłód, głód, dyrekcja nigdy nie miała pieniędzy na wypłatę gaż. Naprzód statystowałem, potem dawano mi niewielkie role. Nazywamy je „ogonami”. W Kielcach dochrapałem się roli Albina. Ale grałem źle, sypałem się za każdym razem. Miejscowy krytyk zmieszał mnie z błotem. Potem byłem w Krakowie. Reżyser przez wyjątkową życzliwość pozwolił mi zagrać Chochola. Tym razem poszło mi znacznie lepiej. Dostałem list polecający do Limanowskiego i dostałem się do Reduty. Dopiero tam dopisało mi szczęście. Tak, to był czysty przypadek. Niespodziewanie zachorował Osterwa, potrzebne było nagle zastępstwo, a ponieważ akurat nawinałem się pod rękę, ktoś powiedział: „A może Gordon?” I wtedy właśnie zagrałem Orlątko. Znałem tekst, rola mi jakoś leżała i odniosłem nieoczekiwany sukces. W teatrze nabrano do mnie zaufania i już po roku zaproponowano mi engagement do Rozmaitości. Odtąd powodzenie już mnie nie opuszczało. Wiele main do zawdźlą- czenia Boyowi, który nie szczędził mi słów

zachęty, a nawet uznania. Pamiętam, że po latach, w Jednej ze swoich recenzji, użył określenia „Wielki Aleksander Gordon”. I ten superlatyw przylgnał jakoś do mego nazwiska. Ale w rozmowie przed mikrofonem proszę tego zwrotu unikać. Bardzo tego nie lubię. Nadmierna koturnowość ośmiesza. Chciałbym w odczuciu radiosłuchaczy być takim samym człowiekiem jak oni, człowiekiem, którego zawód sprowadza się do żmudnej, codziennej pracy. Trzeba im trud aktora pokazać we właściwych proporcjach, bez mitów, odarty ze złudzeń ułatwionego życia. Praca, nieustająca praca, ogromny wysiłek psychiczny, napięcie nerwów do granic ostatecznego wyczerpania. Oto co powinny zrozumieć szerokie masy radiosłuchaczy.

Izolda notowała słowa Gordona, w pewnej chwili jednak nie wytrzymała i powiedziała sceptycznie:

— 'Ludzie chyba zdają sobie z tego sprawę. Ostatecznie my w Radio też pracujemy bardzo nerwowo. Mamy krótkie terminy, musimy walczyć o miejsce w studio, zmieścić się w limitach czasu i budżetu. Ale przejdźmy teraz do samego programu. Co chciałby pan zaprezentować ze swego repertuaru?

— Rozumiem panią. Tak, to chyba jest najistotniejsze. Trzeba się zastanowić. A więc, dajmy ma to — scena a. „Żywej maski”.

— Czyje to?

— Pirandella.

— Nie znam tego utworu.

— Następnie monolog Hamleta. A jeszcze „Ruy Blas”, no i — powiedzmy — „Natan Mędrzec”. A na zakończenie „Cyd”.

— Może poda mi pan nazwiska autorów.

— Pani tego nie wie? Hugo, Lessing, Cor- nellle...

— Przyznam się panu, że niezbyt lubię te staromodne dramaty i tragedie. Za dużo w tym retoryki i gadulstwa. Wolę sztukę nowoczesną. Proszę mi wybaczyć, ale nasze pokolenie inaczej przeżywa namiętności. Dawny widz lubował się w ekshibicjonizmie. Nasze uczucia są bardziej uproszczone. Często zadajemy sobie pytanie, komu to potrzebne?

— Tego was uczono na polonistyce? — zapytał Gordon. — Jesteście sfrustrowani? Wolicie płyciutkie, blagierskie mędrkowanie Ionesco? O, nie, droga pani! Moda przemija, a prawdziwa sztuka zostaje. Prawdziwej sztuki nie można zablagać frazesami. Widziałem w życiu niemało tych efemerycznych eksperymentów. Zostały z nich trociny. Czy pani czytała „Pana Tadeusza”?

— Pan ze mnie kpi... „Pana Tadeusza” przerabialiśmy jeszcze w szkole.

— A więc pani go nie czytała i Niech pani posłucha.

Gordon wstał z fotela, oparł się o półkę z książkami i zaczął recytować obszerny fragment z księgi czwartej. Izolda słuchała z szeroko otwartymi oczami, uśmiechała się z zaciekawieniem. Gordon wydobył z poematu wszystkie jego powaby, zmieniał głos, modulował go i po mistrzowsku podkreślał humor, barwę, muzykę wiersza. A kiedy przerwał recytację, znowu zapytał:

— Czy pani to czytała?

Izolda, z wypiekami na twarzy, odrzekła nieśmiało:

— Nie... tego nie pamiętam. Ośmieszyłam się, prawda?

— Porozmawiamy jeszcze na ten temat. Ale może kiedy indziej. Pani pozwoli, że do audycji sam sobie dobiore partnerów. Muszę porozumieć się z kolegami w teatrze. Pani jest bardzo miła, ale też bardzo młoda. Proszę do mnie wpaść jutro za kulisy. Będę mógł podać pani nazwiska aktorów.

Spotkania z Izoldą odbywały się odąd częściej. Trwały próby i nagrywania poszczególnych partii audycji na taśmę.

Pewnego dnia po próbie Gordon zaprosił Izoldę na kolację. Siedzieli w przytulnym kącie sali, z dala od hałaśliwych saksofonów, które bardziej przypominały uliczny zgiełk aniżeli uporządkowaną grę instrumentów.

Kiedy kelner podał zamówione przez Gordona szparagi, Izolda zawołała z rozbijającym zdziwieniem:

— Co to? Nigdy tego nie jadłam! Wydała się Gordonowi uroczą dzikuską. Dyplom uniwersytecki nie był w stanie pokryć jej ignorancji i mógł uchodzić za curiosum naszych nieuważnych czasów. Słuchając sądów Izoldy o literaturze, Gordon myślał z pobłażliwym uśmiechem: Boże, jaka ona miła! Mentalność pęczka rzodkiewki, a ile przy tym wdzięku.

Chciała uchodzić za bardzo nowoczesną, operowała frazesami z prasy literackiej i ograniczoność umysłu podszytego wiatrem starała się ratować lekceważeniem i pogardą dla spraw, które przekraczały jej ubożuchną wiedzę.

— Proust? Nie mam do niego cierpliwości.

Jak pod mikroskopem analizuje najdrobniejsze spostrzeżenia i odruchy. Albertyna, owszem. Ale to nie jest lektura dla człowieka nowoczesnego. Ja lubię tempo, tempol. Skróty myślowe, syntetyczne ujęcie zdarzeń, przeżyć, charakterów. Trzeba iść skacząc po górach, ze szczytu na szczyt. Nie znoszę dreptania w miejscu.

Gordon słuchał tego bezmyślnego szczebiotu i uświadamiał sobie nie bez zdziwienia, że Izolda coraz bardziej pociąga go i niepokoi. Uświadomił też sobie, że od kilku dni zaprzęta jego uwagę. Powiedział kładąc dłoń na jej dłoni:

— Wie pani, coraz częściej o pani myślę. To śmieszne, prawda?

— Ja też. Odkąd pana poznałam, nie myślę o nikim innym. Pan jest nadzwyczajny.

Po tych słowach nastąpiły zwierzenia:

— Jestem dziewczyną Krummla. Zna go pan... Ten z filmu. Ale ostatnio przestałam się z nim widywać. Przepędziłam go. Przy panu wydaje mi się płaski i bezbarwny. Nie chcę go znać. Nie rozumiem nawet, jak mogłam z nim żyć przez dwa lata.

— Dlaczego pani mi to opowiada? Przecież on jest żonaty. Znam jego żonę.

— To nieważne. Liczy się tylko pan. Tamto minęło. Pomyślałam sobie, że z takim człowiekiem jak pan powinnam być szczerą. Krummel już dla mnie nie istnieje.

Audycja wypadła świetnie. Gordon znowu zabłysnął wszystkimi barwami swego talentu. Pokazał, czym może być głos, sam głos. Dla każdego fragmentu scenicznego umiał znaleźć odrębną intonację, odrębny wyraz, jedynie

właściwy i niezrównanie trafny. Sukces audycji przypisał w całości Izoldzie. Ale tym razem nie była to tylko kurtuazja. Chciał podarować uroczej dziewczynie częstką samego siebie. Zresztą nazajutrz po audycji posłał jej bukiet róż z podziękowaniem.

— Od nikogo dotąd nie dostałam tak pięknych kwiatów — powiedziała Izolda. — Pan jest nadzwyczajny. Gordon telefonował do niej co wieczór. Prosiła go o to. Przyjeżdżał pod gmach Radia 1 odwoził ją do domu. Izolda mieszkała z matką bardzo skromnie i krępowała się zaprosić go do siebie. Widywali się więc zazwyczaj na mieście.

Powiedział do niej pewnego razu z tkliwą poufałością:

— Gdybym się nie obawiał śmieszności przyznałbym się, że Jestem w tobie niemal zakochany.

— O jakiej śmieszności pan mówi? — zapytała Izolda szeroko otwierając oczy i marszcząc tępo zakończony nosek.

— Jestem o dwadzieścia pięć lat starszy od ciebie. Czy rozumiesz, co to znaczy?

— Absurd. To nic nie znaczy, nici Uważam pana za najwspanialszego mężczyznę na świecie. I proszę nie traktować mnie jak powierzchownego, głupiego podlotka. Chcę, żeby pan był zakochany we mnie, Przecież i ja... Czy nic pan nie czuje?

Gordon czuł. Czuł przypływ ciepła, którego łaknęło jego nienasycone serce.

— Powiedz, Izoldo, czym mógłbym ci sprawić przyjemność? Może masz jakieś pragnienie?

■

■mm*

■

W oczach Jej zabłysły iskierki dziecinnej niemal przekory:

— Tak, taki Okropnie Lubię mandarynki. Marzę o mandarynkach.

Nazajutrz Gordon uzyskał połączenie z Rzymem. W polskiej ambasadzie odezwał się kobiecy głos:

— Kto? Aleksander Gordon? Z teatru Narodowego? Dla pana wszystko. Oczywiście. To drobiazg. Cieszę się, że pana słyszę. Wyślemy jutro. Nie ma za co. Proszę zgłosić się na lotnisko do pilota. Pozdrowić pana ambasadora? Tak, tak, przekażę mu. I my pozdrawiamy pana. Doprawdy nie ma za co...

Kiedy Izolda otrzymała mandarynki wraz z wiązanką róż, zadzwoniła do Gordona:

— Pan Jest nadzwyczajny.

W jej niezbyt bogatym słowniku ten często powtarzany zwrot mieścił w sobie wszystko. Tak przynajmniej rozumiał to Gordon.

Po wieczornym spotkaniu próbował w samochodzie Ją pocałować. Nie bronila się. Ale gdy zbliżył usta do Jej warg, powiedziała ściszym, błagalnym szeptem:

— Nie, niech pan tego nie robi. Wreszcie Jednak nadszedł ów rozstrzygający

dzień. Gordon czekał przed Radiem. Była pląta po ipołudniu, Pojechali w kierunku Czarnej Strugi.

— Chcę cię pocałować. Czy dzisiaj pozwolisz?

— Tak — odpowiedziała Izolda.

Wtedy Gordon wyłączył silnik, objął Ją i przylgnął do jej warg. Ogarnęło go wzruszenie. Kochał tę dziwną dziewczynę. Jej zduszony, jakby namięty głos działał na niego

podniecająco. Całował Ją naprzód delikatnie i powściągliwie, gdy Jednak po pewnym czasie starał się rozchylić jej wargi, Izolda zacisnęła usta. Nie było w niej uległości ani poddania się pieszczocie. Zaciskała usta opornie i Gordon odczuł to jak coś, czego nie doznał nigdy, nawet od kobiet, które tylko przelotnie pozostawały pod Jego urokiem. A ona? Ona przecież mówiła mu, że jest nadzwyczajny, sama stworzyła klimat miłosnej obietnicy, a teraz uchylała się od pocałunku. Na gorączkowe wysiłki Gordona odpowiedziała wreszcie jakby z poczuciem winy:

— Nie lubię inaczej... Nie umiem...

A po chwili dodała:

— Pan chciałby wszystko od razu. Tak nie można. Wyjedźmy razem. Chce pan?... Pojedźmy do Bułgarii. To byłoby takie piękne!

Gordon, którego zmroziła oziębłość Izoldy, po tych słowach znowu poczuł przypływ nadziei.

— Godzisz się na to? Chcesz tego?

— Tak... Żeby nie było banalnie. A wie pan, że jeszcze nie jadłam obiadu? Jestem głodna.

Pojechali do restauracji. Izolda jadła szybko, kazała dać sobie wina.

— Mam woliny wieczór — rzekł Gordon. Może pójdziemy na koncert? Gra Ojstrach.

— Ojej, boli mnie ząb — Jęknęła Izolda. — Wypadła mi dzisiaj plomba. Ćmił od rana, a teraz rozboleł na dobre.

— Może zawieźć cię do dentysty?

— Nie. Chcę wrócić do domu. Przecież moja mama jest dentystką.

Wieczorem Gordon odstawił samochód do garażu i postanowił przejść się po mieście.

Drzewa nosiły na sobie złote i czerwone piętno października. Wcześniej zapadał zmierzch, robiło się chłodno.

Przed kinem Gordon zatrzymał się i obejrzał plakat. Wyświetlano film kryminalny.

— Jean Gąbin — przeczytał Gordon i postanowił obejrzeć tego aktora, którego bardzo cenił. Spoglądał na ekran, ale przed oczami ciągle miał jeszcze Izoldę. Myślał o niej bezustannie... Wspominał jej zaciśnięte usta i przenikało go uczucie goryczy. Więc dziewczyna nowoczesna, która w dodatku żyła dwa lata z Krummlem, nie zna smaku pocałunku? Jakież to smutne!

Po skończonym seansie wyszedł z kina. Od roku nie palił, a teraz podrażnił go aromat amerykańskich papierosów. Rozejrzał się i zobaczył z daleka sylwetkę Izoldy. Przebił się przez tłum, podszedł bliżej. Tak, to była Izolda. Trzymała Krummla pod rękę i tuliła twarz do jego ramienia. Gordon dosłyszał urywki zdań:

— Widzisz, mała, jak to jest...

— Nie mów... Pójdziemy do mnie... Matka wyjechała.

Potem widział, jak wsiedli do taksówki i odjechali. A więc miał rację. Ośmieszył się przed tą głupią, kłamliwą dziewczyną. Wystrychnęła go na dudka, dał się nabrać na wyuczone, płytkie frazesy. Wielki artysta? Nie! Wielki błazen! Jeszcze jedna próba, zakończona sromotną porażką. Każda z nich woli swojego Krummla. Oto ideał przeciętności.

Szedł pieszo do domu, zraniony tą nową zniewagą, zawiedziony, obolały, pełen bezgranicznego smutku. Nagle poczuł się stary,

nikomu niepotrzebny. Izolda miała słusność. Cała jego sztuka, styl gry, tragiczne role — wszystko to było zmurszałe, pokryte pleśnią. Życie poszło naprzód — bez niego. Pozostały wspomnienia i gorycz rozczarowań. Nędza wielkości.

Mżył drobny, jesienny deszcz. Gordon ciężkim krokiem przeciął plac, idąc w kierunku domu.

Pojedyncze latarnie świeciły tak słabo, że zaledwie dostrzegł niepozorną postać dziewczynki, która zbliżyła się do niego,

— Proszę pana, która godzina? Spojrzał na zegarek.

— Za dziesięć jedenasta,

— Proszę pana! Niech pan mnie weźmie do siebie.

— Nie rozumiem I O co ci chodzi?

— Proszę pana... Ja daję tak jak żadna. Dziewczynka wyglądała najwyżej na lat jedenaście-dwanaście. Gordon wzdrygnął się na jej słowa.

— Co ty pleciesz! Ruszaj do domu. Czy mam zawołać milicjanta?

— O... Zaraz milicjanta... Niech pan spróbuje... Nie będzie pan żałował.

— Słuchaj, dziecko, idź do domu, radzę ci

— Ja nie mam domu.

— A gdzie nocujesz?

— Różnie. Na dworcu. Pójdę z panem, dobrze? Nie musi mi pan płacić.

Gordon stał w milczeniu, po czym skrzył w boczną ulicę. Dziewczynka szła za nim.

— Odejdź! Powiedziałem ci.

Ja umiem, naprawdę... Będzie pan zadowolony.

Spoglądała na niego wzrokiem wystraszonego kundla, który się boi, ale jednocześnie liczy na jakiś kęs.

Gordon rozejrzał się po pustej ulicy, zastanawiał się przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Dobrze. Chodź I,

Szli, w milczeniu. Dziewczynka pośpiesznie dreptała, żeby dorównać długim krokom mężczyzny, któremu sięgała nieco wyżej pasa.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, Gordon obudził swoją gospodynię Teresę i kazał jej przygotować kolację.

— A to co? — spytała mierząc dziewczynkę podejrzliwym spojrzeniem.

— 'Znajda. Niech Teresa puści wodę do wanny.,

Dziewczynka stała onieśmielona. Była w wytartym, połatanym sweterku, na nogach miała trampki. Brudne ręce schowała za siebie.

— Co to będzie? — spytała.

— Pójdiesz do łazienki i wykąpiesz się. Nie cierpię brudasów. Jak ci na imię?

— Ewa.

— Tereso, proszę Ją zabrać i porządnie wyszorować. A potem niech włoży mój szlafrok. To, co ma na sobie, lepi się od brudu.

Teresa, która przywykła do niespodzianek i do nieoczekiwanych gości, nie dyskutowała z Gordonem. Znała go z lat przedwojennych, kiedy była garderobianą w teatrze. Po powrocie Gordona z niewoli przyjechała do niego do Łodzi prosić o polecenie jej do nowo powstałego Teatru Wojska.

— A może zostałaby pani u mnie, zajęła się

domem, gospodarstwem? Oboje będziemy mieli wygodniejsze życie.

Została. Powierzył jej rolę ochmistrzyni i opiekunki. Nauczyła się wykonywać wszelkie jego polecenia, w zamian za co wymagała dla siebie biletu na wszystkie premiery. Cała ulica wiedziała, że pracuje u pana artysty, i była z tego dumna. Życie miała niełatwe, ale nie zamieniłaby go na żadne inne.

Ewa, słyszałaś, co pan powiedział? Chodź się kąpać.

Gordon, gdy został sam, usiadł przy biurku i nakręcił numer Izoldy, yip To ty, Izoldo? Jak twój ząb?

— Dziękuję. Już nie boli.

— Masz ochotę ze mną porozmawiać?

— Może nie teraz. Mam gościa. Nocuje u mnie koleżanka z Radia.

— Czy ta sama, z którą byłaś w kinie?

Nastąpiło długie milczenie. Gordon, nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę.

Zadzwoił tylko po to, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia. I żeby zdemaskować kłamstwa Izoldy! Niech wie, że nie jest głupcem. Koniec z Tristanem! Koniec! Koniec!

5

Podczas gdy Ewa była w łazience, Gordon, zagłębiony w fotelu, rozpamiętywał swoje życiowe porażki. Teraz właśnie Izolda. Otaczał ją tak wyszukana galanteria i dbałością, że musiała być z drewna, jeśli nie uległa tej romantycznej finezji uczuć. Dostawała od niego kwiaty, gdziekolwiek się znalazła — w Krakowie, w Zakopanem, w Uście. Z niezwykłą starannością wynajdywał dla niej artystyczne drobiazgi, które przyjmowała bez wzruszenia. Każdego dnia dawał jej subtelne dowody pamięci. Ten nieznany już dzisiaj styl adoracji powinien być być zniewalający. Ale Izolda, powierzchowna i płytka, okazała się nieczuła na uroki zakochanego Gordona. Mógł jej wybaczyć ignorancję, zakłamanie, pozerstwo, ale kompletny brak poczucia dobrego smaku i gruboskórność dzikuski, to wszystko, co obnażało jej duchową ordynarność, otrzeźwiło Gordona i napełniło głęboką odrazą. Lena wobec Izoldy wydała mu się nieomal Heloizą. Niech Krum- mel robi swoje. Przeciętność grawituje ku przeciętności. Artysta musi odrzucić od siebie wszelką małość, ratować się przed ściągnięciem na dno. Dostyc! Trzeba wykreślić Izoldę z pamięci!

Były to jednak tylko myśli bez pokrycia. Upłynęło dużo czasu, zanim Gordon zdołał wyzwolić się z nękającej go tęsknoty i zawiedzionych pożądań.

Teresa przyprowadziła Ewę ubraną w jego szlafrok. Dziewczynka miała rękawy zawinięte do łokci i obiema rękami podtrzymywała poły, żeby się nie zaplątać w obszernych fałdach. Wilgotne jeszcze po umyciu włosy Teresa zaplotła jej po bokach w dwa warkoczyki. Dopiero teraz Gordon przyjrzał się Ewie dokładnie. Stała onieśmielona, a jej zaróżowiona twarzyczka wyrażała lęk i niepokój. Tylko wielkie niebieskie oczy spoglądały z psią uległością.

— Tereso, proszę dać jej kolację. PeWno jest głodna. Ewo, siadaj do stołu.
Po chwili, kiedy Teresa przyniosła na tacy pieczywo, masło i wędlinę, dziewczynka usiadła na brzegu krzesła i łapczywie zabrała się do jedzenia. Jadła sam chleb, zerkając niepewnie na półmisek.

— Weź sobie szynki — powiedział Gordon. — Posmaruj chleb masłem.

— Można?

Nieśmiało sięgnęła po wędlinę, spoglądając ukradkiem to na Gordona, to na Teresę.

— Co z nią zrobimy, proszę pana? — zapy[^]tała Teresa.

— Na razie chcę z nią porozmawiać.

Kiedy zostali sami, Gordon usiadł naprzeciwko Ewy i spoglądał na nią z zakłopotaniem. Po raz pierwszy znalazł się w podobnej sytuacji.

— No tak... — odezwał się wreszcie. — Mów teraz prawdę. Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Przecież jesteś jeszcze dziecko.

— Stolarz powiedział, że jestem dorosła.

— Jaki stolarz?

— Nie powiem.

— Czy to twój ojciec?

— Nie. Ja jestem podrzutek. Stolarz mnie wziął z Domu Dziecka.

— To twój opiekun?

— Opiekun.

Gordon dopiero teraz dostrzegł sińce na lewym policzku Ewy.

— A to co? Czy cię kto bił?

— Nie... Czasami...

— Mów prawdę.

— Zona stolarza. Ona mnie nie lubi. Jak nie mogę nadążyć z robotą, zaraz mnie bije.

— A co ty u niej robisz?

— Wszystko. Sprzątam, gotuję, zmywam.

— Uciekłaś stamtąd?

— Pan tak wypytuje jak na milicji.

— A od kiedy zadajesz się z mężczyznami?

— O, już chyba <z pół roku.

— Chodzisz po ulicy?

— Nie. Dopiero dzisiaj.

— Powiedz mi, kto cię do tego namówił czy zmusił?

— Nie powiem.

— Dlaczego mnie zaczepiłaś?

— Tak sobie.

— Czy chciałaś w ten sposób zarobić?

— Pewnie.

— Słuchaj, dziecko, dostaniesz ode mnie dwieście złotych...

— Naprawdę?

— Dostaniesz dwieście złotych, jeśli powiesz mi całą prawdę. Kto cię napo... to znaczy, kto był ten pierwszy?

— Stolarz. Powiedział, że jestem już dorosła. I że jak go usłucham, to mi będzie u niego dobrze. Tylko żebym nic nie gadała.

— Jak się ten stolarz nazywa? Gdzie mieszka?

— Nie powiem, nie powiem! Ja tu nie - po to przyszłam.

— No dobrze. Jeszcze o tym pomówimy.

— A nie pójdziemy do łóżka? Ja panu dogodzę, niech pan spróbuje.

— Pójdziemy do łóżka, ale każde osobno. Tereso!

—HBBHHH

— To pan nie chce? — zapytała Ewa ze zdziwieniem.

— Nie pleć głupstw.

Teresa weszła w jedwabnym szlafroku, z papilotami na głowie. Była już po pięćdziesiątce, ale uważała, że praca u wielkiego artysty obowiązuje do dbałości o elegancję i przyzwoity wygląd.

— Tereso, proszę posłać Ewie w gabinecie na tapczanie.

— A jutro? — spytała Ewa.

— Jutro zastanowię się, co z tobą zrobić. A teraz idź spać. Dobranoc.

— Chodź — rzekła Teresa. — Słyszałaś, co pan powiedział? Dostaniesz na noc pomarańczę. A ja jeszcze muszę uprać twój sweter i pocerować pończochy. Koszuli to ona wcale, proszę pana, nie ma. Nędza i ubóstwo, że pożał się Boże. A brudna była, jakby wyszła z błota. Że też takie dziecko tuła się bez opieki. No, chodź, mała. Powiedz panu dobranoc.

— Dobranoc.

Gordon w sypialni zamknął się na klucz. Ogarniało go przerażenie na myśl, że Ewa mogłaby przyjść w nocy i ponowić swą propozycję. Był głęboko wstrząśnięty niedolą dziewczynki, która dostała się w ręce jakiejś występnej pary. Zastanawiał się nad koniecznością zawiadomienia milicji o bezceństwie owego opiekuna. Los Ewy przysłonił mu chwilowo przejścia z Izoldą. Takie to było nieważne wobec dramatu dziecka, które wymagało ratunku i pomocy.

Rano Ewa jeszcze spała, kiedy Gordon wyszedł do teatru. Reżyserował „Cyda”, ale sam w sztuce nie grał. Dokuczał mu ischias i nie

mógł długo wytrwać w pozycji stojącej. Z próby wywołał go woźny. Dyrektor miał do niego ważną sprawę,

— Panie Aleksandrze, telefon do pana. Z milicji.

Gordon wziął słuchawkę.

— Hallo. Tak, to ja. Na bazarze Różyckiego? Co pan mówi? Niemożliwe... Wcale na to nie wyglądała... Nie, nazwiska nie znam... Tak, Ewa... Teraz nie mogę, ale za godzinę... Dobrze, przyjadę...

— Co się stało? — zapytał dyrektor.

— Nic ważnego. Drobną kradzież w moim mieszkaniu.

W komisariacie Ewa siedziała wylężniona jak zaszczone zwierzątko. Na ławce leżał duży toból. Gordon poznał swoje dwa garnitury, serwetę, kryształową popielniczkę, kilka łyżeczek. Wszystko to owinięte było w koc.

— Nic nie rozumiem. Przecież w domu jest gospośnia. I jak ona zadźwigała na Pragę taki toból...

Podszedł do Ewy.

— Dobre z ciebie ziółko. Wcześniej zaczynasz.

Ewa na widok jego wielkiej, korpulentnej postaci cofnęła się w kąt i zakrywając twarz rękami zawołała błagalnym głosem:

— Proszę mnie nie bić!... Proszę mnie nie bici

Spoza rozcapierzonych palców wyzierały duże niebieskie oczy. Łez w nich nie było, tylko zwierzęcy strach.

— Tu się nikogo nie bije — powiedział autorytatywnie dyżurny podoficer.

— Co z nią zrobicie? — zapytał Gordon.

— Przetrzymamy w Izbie Dziecka, a potem przekazemy do sądu dla nieletnich. Dostanie pan wezwanie na rozprawę.

Teresa siedziała w kuchni zapłakana.

— Taka mała i już złodziejka, mój Boże. Usmażyłam jej na śniadanie jajecznicę, ugotowałam kakao, a kiedy na chwilę wyszłam po zakupy, okradła dom i uciekła. Już nic z niej nie będzie. Pójdzie do poprawczaka, zmarnuje się do reszty. Zepsucie w narodzie jest, proszę pana. Nawet nie zauważyłam, że coś zginęło. Dopiero jak zadzwonili z milicji, połapałam się, że garniturów nie ma w szafie. To moja wina. Nie powinnam była jej zostawiać.

— Wszystko się znalazło. Nie zdążyła sprzedać.

— Szkoda dziecka, oj, szkoda. Nie ma ojca ani matki. Taki kundel bezdomny. A panu przydałaby się i żona własna, i córeczka. Ciągłe pan tylko sam i sam.

— Dobrze, dobrze, Tereso. Znam to na pamięć.

Zjadł obiad, ubrał się i pojechał do Wandy. Miał z nią romans, który sprowadzał się niemal wyłącznie do obopólnej przyjaźni. Romans bez miłości i bez namiętności. Zazyłość z domieszką erotycznego przyzwyczajenia. Opowiedział Wandzie przygodę z Ewą.

— Że też ty masz zawsze coś, co komplikuje ci życie. Stale przy tobie płaczą się jakieś ciemne postacie. Wszyscy cię naciągają. A p^o* tem taki Krummel chwali się, że cię strzelił na dwa tysiące.

~ 42 ~

— Lepsze to, niż gdybym ja musiał pożyczać od Krummela. Zyskałem przynajmniej tyle, że Krummel będzie mnie teraz unikał do końca życia.

Mówiąc to Gordon równocześnie pomyślał, że Izolda i Krummel bawią się jego kosztem i na jego koszt. Ogarnęło go uczucie goryczy i niesmaku. Czym wobec takiego grzęzawiska jest występek nieszczęsnej Ewy?

W sądzie Gordon siedział ponury i spode łba przyglądał się małej winowajczyni. Stwierdził, że skradzione rzeczy należały do niego. Wszystko, co mówił, było oskarżeniem trzynastoletniej złodziejki.

Rozprawa toczyła się przed sędzią dla nieletnich, kobietą młodą, o ciepłym głosie i spojrzeniu. Nadęta mina i obrażony ton Gordona brzmiał dysonansem na tej sali, gdzie wyczuwało się raczej atmosferę współczucia niż potępienia. Toteż na ładnej twarzy Wysokiego Sądu odmalowało się zdziwienie, gdy Gordon, dotąd tak surowy, przed zamknięciem przewodu wstał i oświadczył:

— Chcę zaopiekować się tym dzieckiem. Gotów jestem wziąć na siebie odpowiedzialność za los Ewy. Postaram się stworzyć jej odpowiednie warunki, otoczyć ją opieką i należycie wychować. Proszę Sąd o wyznaczenie mnie kuratorem.

Ewa, pełna rezygnacji, siedziała w samochodzie obok Gordona i przyglądała się ciekawie tablicy rozdzielczej. Jechali w milczeniu Te-

— 43 —

resa powitała ich z radosnym podnieceniem.

— Taki jest nasz pani Widzisz, jaki to człowiek? A ty go okradłaś, niedobre dziecko!

— Ewa zostanie u nas — oświadczył Gordon. — Będziemy mieli dużo kłopotu, ale musimy się nią zająć.

Jestem jej opiekunem sądowym. Rozumiesz, Ewo? Opiekunem sądowym.

Gordon wymawiał to z taką dumą, jakby został co najmniej członkiem Rady Państwa.

— Znowu będzie jak u stolarza. Ja nie mogę tak ciężko pracować. Przecież jestem jeszcze dziecko.

Odezwanie się Ewy zaskoczyło Gordona, gdyż użyła jego własnych słów.

— Sprytna jesteś — rzekł z uśmiechem. — Nie bój się, nie będziesz miała ciężkiej pracy. Pójdiesz do szkoły i zaczniesz się uczyć tak, jak wszystkie dziewczynki w twoim wieku. Uczyłaś się w Domu Dziecka?

— Pewnie.

•— A u stolarza?

— Miał mnie posyłać do szkoły, ale potem żona nie pozwoliła. Żona stolarza nazywała mnie śmierdzącym podrzutkiem i biła gdzie popadło. Stolarz jej się bał. A jak raz odebrał jej żelazko, którym chciała mnie po pijanemu walnąć, to sam oberwał. Ona jest Helenka, a on Lusiek. Tak do siebie mówią.

Gordon polecił Teresie, żeby pokój gościnny na górze urządziła odpowiednio dla Ewy. Kiedy Teresa wyszła, posadził Ewę obok siebie, pogłaskał ją po twarzy i rzekł:

— Posłuchaj, nikt nigdy nie podniesie odtąd na ciebie ręki. Nie potrzebujesz kraść, ponieważ ten dom jest twoim domem. Rozumiesz? Wszystko, co w nim się znajduje, należy do ciebie. To znaczy — do nas obojga. Obsprawię cię i ubiorę przyzwoicie, żebyś wyglądała jak inne dziewczynki, które mają rodziców.

— A nie będzie pan zamykał przede mną chleba?

— Postaraj się mnie zrozumieć. Będę traktował cię jak własne dziecko. Ale ty nawet nie ■wiesz, jakie powinno być życie dziecka. Pomału je poznasz. Oswoisz się, pójdiesz do szkoły. Chcę, żeby ci było u mnie dobrze. A teraz pani Teresa pójdzie z tobą do miasta i kupi ci co trzeba. Zgoda?

— Pan tak mówi, jakby to było naprawdę.

— Nie oszukam cię, zobaczysz. A o stolarzu zapomnij raz na zawsze. Wyrządził ci wielką krzywdę, za którą powinien siedzieć w kryminale. To podły człowiek. Zapomnij o nim. Od dzisiaj zaczniesz nowe życie. Może mnie z czasem polubisz. Chodź, zaprowadzę cię do twego pokoju.

6

W Domu Dziecka Gordon dostał odpisy dokumentów. Figurowała w nich jako Ewa Sobota. Nazwisko otrzymała zapewne od dnia, w którym ją podrzuciono. Rodzice jej byli nieznani. Podano też Gordonowi personalia i adres ludzi, którzy ją wzięli na wychowanie. Ludwik Sieńko — stolarz — oraz jego żona Helena.

■ Zgwałcenie trzynastoletniej dziewczynki nie może mu ujść bezkarnie — pomyślał Gordon.

Wsiadł w samochód i pojechał do Prokuratury. Ale w drodze rozmyślił się. Sprawa musiałaby trafić do sądu. Dyskrecja ludzka jest zawodna, Gordona wszyscy znają, plotki ściagałyby Ewę przez długie lata. Musiał jej zaoszczędzić przykrości i wstydu. Nie, lepiej niech ta ponura historia pójdzie w niepamięć. Sprawiedliwość bywa niezgrabna jak słoń. Karząc winowajcę mimochodem traktuje ofiarę. Tak stałoby się w wypadku Ewy.

Upływały tygodnie, a dziewczynka nie umiała przystosować się do nowych warunków. Gordon budził w niej lęk, w szkole zdradzała otepienie, była skryta i dzika.

Teresa, stara panna o niewyżytych instynktach macierzyńskich, pierwsza pozyskała zaufanie Ewy. Zabierała ją z sobą do miasta i uroczyście wprowadzała w świat swoich znajomości.

W sklepie spożywczym, w kiosku „Ruchu”, w pralni, u szewca prezentowała Ewę:

— To córka mistrza.

Albo:

— Pani Różycka, proszę popatrzeć. Córeczka mistrza Gordona. Przyjechała z zagranicy. Podobna, co?

Niebawem cała dzielnica, która znała wielkiego aktora i szczyliła się tym, że zalicza go w poczet swoich mieszkańców, komentowała pojawienie się Ewy. Wkrótce oswojono się z jej widokiem, przyjęto wersję Teresy, jakoby Gordon sprowadził córkę z Anglii*

Dziwiono się jedynie jej nieskażonej polszczyźnie. W szkole nosiła wprawdzie nazwisko Sobotówny, ale i tam uznawano ją za córkę Gordona. Gdziekolwiek jeszcze po kątach plotkowano na ten temat. Wiara w mity krążące wokół życia i obyczajów aktorów nadawała wszelkim osobliwym sytuacjom cechy prawdopodobieństwa.

Od chwili gdy Ewa z nim zamieszkała, Gordon znowu stał się domatorem. Nie odczuwał już samotności tak dotkliwie jak dawniej. Obserwował z zaciekawieniem zachowanie dziewczynki, jej początkową nieufność i rażący go u niej spryt kundla. Było coś irytującego w braku szczerości, w wykrętnych odpowiedziach Ewy, którą przecież otaczał nieustanną troskliwością i opieką. Może nie umiał jeszcze wykrzesać z siebie dostatecznego ciepła. Kazał jej mówić do siebie „tatusiu”, co brzmiało nienaturalnie i nie pozbawiało obcości ich wzajemnych stosunków.

Przełom nastąpił dopiero na początku zimy.

Pewnej niedzieli Gordon siedział za biurkiem w gabinecie i wraz z Ewą przeglądał jej szkolne zeszyty.

— Słuchaj, dziecko... Przynosisz bardzo źle stopnie. Tutaj, na przykład, dostałaś dwóję za to, że piszesz niedbale. Wszędzie znać ślady brudnych palców... Tak nie można. Ja rozumiem, że ręce masz zniszczone ciężką pracą, ale musisz je częściej myć. Moja córka nie może być brudasem, prawda? Poprawisz się?

— Dobrze, tatuś.

— Masz, daję ci w prezencie moje wieczne

pióro. To jest takie pióro, którym w zeszycie nie robi się błędów. Ono na pewno nie napisałoby „burza” przez zet.

— Dziękuję, tatuś.

W drzwiach ukazała się Teresa.

— Proszę pana, jakaś kobieta koniecznie chce się z panem widzieć.

— Co za jedna?

— Powiada, że ma bardzo ważną sprawę i że pan będzie wiedział, o co chodzi.

— Dobrze, niech wejdzie.

Kobieta miała na sobie futro z wytartych żrebacków. Wełnianą chustkę zgarnęła na tył głowy. Niemłoda, ale ładna jeszcze twarz zdradzała podniecenie. Na jej widok Ewa zerwała się z fotela i przykucnęła w kącie gabinetu, trzymając się kurczowo kotary u okna.

— Proszę, niech pani siada. Czym mogę służyć?

Kobieta odsapnęła, spojrzała władczo na Ewę i rzekła tonem układowym, ale nie dopuszczającym sprzeciwu:

— Przyszłam po Ewkę. Ona jest moja. Nazywam się Helena Sieńko. Ewka, zabieraj się!

Gordon milczał.

— Nie może tak być, proszę szanownego pana. Myśmy dziewczę przez rok żywili, ubierali, kosztowała nas kupę forsy. Z prawa należy do nas. My jesteśmy opiekunami. A szanowny pan ją sobie wziął i przygadał. Jakżeż tak można? Chodź, Ewka, na co czekasz?

Ewa jak zahipnotyzowana, z przerażeniem w oczach, zaczęła wolno, ledwie poruszając nogami, przesuwać się w kierunku fotela.

Wtedy Gordon wstał, oparł się ciężko ręką

mi o biurko i wydobył z siebie głos, którym niekiedy zdawał się rozsadzać mury teatru. Teraz głos ten spadł na kobietę jak ryk huraganu:

— Precz stąd! Wasze miejsce jest w kryminale! Para łajdaków! Precz! I żeby mi się więcej na oczy nie pokazywać, bo zetnę na miazgę i Kanalie podłel!

Gniew Gordona był tak straszny, że Ewa zatrzęsała się z przerażenia. Helena Sieńko wybaluszyła oczy i tyłem wycofywała się ku drzwiom.

— To się jeszcze zobaczy — odcięła się półgłosem od progu.

Gordon wybiegł za nią.

— Tereso! Proszę nie wpuszczać jej tu nigdy!

Po chwili Teresa przybiegła niosąc szklankę wody. Nie widziała jeszcze Gordona w stanie takiego wzburzenia.

— Szkoda nerwów, proszę pana. Niech pan połknie ten proszek. To na uspokojenie. Już raz panu dawałam i pomogło.

Incydent z żoną stolarza przełamał w Ewie dotychczasową nieufność, rozładował w niej kompleks lęku. Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej swobodna i bezpośrednia. W miarę jak odzyskiwała utracone dzieciństwo, opadała z niej skorupa dawnego błota, zacierały się w pamięci krzywdy i niedole, budziła się do życia jej właściwa natura. I słowo „tatuś” w ustach Ewy przestało razić sztucznością, a nawet pewnego dnia zabrzmiało prawdziwie czule, gdy po przyjściu ze

szkoły po raz pierwszy z własnego impulsu rzuciła się Gordonowi na szyję, wołając:

— Tatuńku! Dostałam dzisiaj piątkę z polskiego!

Gordon długo tulił ją w ramionach i fala ciepła płynęła mu przez serce.

Teresa, która była świadkiem tej sceny, zdecydowała się zdradzić długo ukrywaną tajemnicę:

— Proszę pana, muszę coś powiedzieć...

,— Tylko nie to! — zawołała Ewa.

— Właśnie, że powiem. Jak pana nie ma w domu, Ewunia całymi godzinami siedzi przy fortepianie i wciąż sobie coś wygrywa. Posłucha radia, a potem wygrywa.

Ewa zaczerwieniła się i spuściła oczy jak winowajczyni.

— Ja już nie będę. Naprawdę. I po co to było mówić?

— Tatuś musi o wszystkim wiedzieć.

— Słuchaj, dziecko — rzekł Gordon — a może ty masz zamiłowanie do muzyki? Chodź, zagraj mi coś.

— Ja tylko tak sobie brzdąkam.

Gordona zdumiała muzykalność dziewczynki. Zapamiętała i zanuciła mu „Pieśń Solvej- gi”, a potem jedną ręką wygrała melodię na fortepianie.

Nazajutrz Gordon zaprosił na kolację znajomego pianistę.

I tak się zaczęło.

Dzięki stosunkom, jeszcze w połowie roku, Gordon zdołał przenieść Ewę do szkoły muzycznej. Tam ujawniły się szybko jej niepospolite zdolności.

Fortepian, który dotąd stał bezużytecznie,

ożywił się i rozbrzmiewał pod palcami Ewy dźwiękami gam, pasaży i fug, przyprawiając Teresę o bóle głowy.

Gordon kazał sobie obić drzwi od gabinetu grubą okładziną izolacyjną, a mimo to ćwiczenia Ewy przeszkadzały mu w pracy. Zainstalował więc w jej pokoju pianino, gdyż fortepianu nie można było wnieść po wąskich schodach. Nad pianinem zawisł portret Gordona z lat jego młodości, dzieło Pruszkowskiego. Malarz znakomicie uchwycił charakter i wyraz twarzy aktora, sugestywne spojrzenie jego oczu, któremu ciężkie powieki nadawały pozory zmęczenia, ale całość ożywił wydatny orli nos i ledwie dostrzegalny uśmiech na zmysłowych, pięknie zarysowanych ustach. Gładkie policzki i mięsista broda z małym dołkiem pośrodku zdawały się pulsować wesołą grą mięśni. Była to twarz mężczyzny pogodnego, silnego i pełnego zaborczych nadziei. Po latach bruzdy na czole i worki pod oczami znamionowały nie tyle jego wiek, co raczej zawody i rozczarowania. Tylko spojrzenie stało się bardziej przenikliwe i jakby odmłodzone nienasyconym głodem serca i oczekiwaniem na coś, czego nie bywa.

Ewa obudziła w nim nowe, nieznane uczucia. Swoje przypadkowe ojcostwo traktował jako wybawienie z upadku. Zdawał też sobie sprawę, że Ewę uratował w ostatniej chwili znad brzegu przepaści. Na niej uwiedzenie przez stolarza nie pozostawiło żadnego śladu. Gordonowi trudno było to pojąć. Nigdy więcej nie poruszał z Ewą tego bolesnego tematu. Sieńkę wspominała raczej z sympatią, jeśli w ogóle go wspominała. Upływ czasu zatarł

go w jej pamięci. Po rozprawie w sądzie dla nieletnich Gordon zaprowadził dziewczynkę do zaprzyjaźnionej lekarki. Był to Jedyńy człowiek, który poznał ich tajemnicę. Wizja owej pamiętnej nocy, kiedy Ewa zaczęła Gordona na ulicy, przenikała go dreszczem i za każdym razem kropelki potu występowały mu na górnej wardze. Wyobrażał sobie los dziewczynki, gdyby trafiła na kogo innego. Tak, on ją ocalił i przez to była mu jeszcze bliższa. A na jego zmęczone serce ojcowskie sentymenty wpływały uzdrawiająco.

Szczęśliwe powiązanie ich losów utrzymywało w nich wzajemną ufność i zażyłość.

W szkole muzycznej zadziwiająca zdolności Ewy budziły tak wielkie zainteresowanie, że dyrektor nawiązał kontakt z Konserwatorium i odtąd wytrawni muzycy radzili nad dalszym jej kształceniem. Piętrzyły się trudności formalne, gdyż w grę wchodziła sprawa matury. Po naradzie w Ministerstwie ustalono, że Ewa będzie przyjęta do Konserwatorium warunkowo, natomiast maturę zda jako eksternistka. Gordon poruszył wszystkie możliwe sprężyny, żeby zapewnić dziewczynce najbardziej celowe formy edukacji.

Znał na wylot stosunki teatralne, wiedział, że przesadna troska o Ewę wywołuje wśród aktorów złośliwe komentarze. Znajdował też na blatach stolików w bufecie swoje karykatury. Jedną z nich przedstawiała Gordona karmiącego piersią niemowlę w powijakach, z których wystawały z jednej strony włosy uczesane w koński „ogon”, a z drugiej stro

ny — pantofelki na szpilkach. Karykatura była bardzo zabawna i Gordon bez trudu domyślił się jej autora — Jednego ze znanych scenografów. Śmiał się razem z innymi, gdyż miał duże poczucie humoru. Traktował też pobłażliwie drobne teatralne Intryżki, zawiści i złośliwości. Sam zresztą w sposób zabawny próbował odgadywać krążące o nim zjadliwe uwagi.

— Jesteście, moi drodzy, fuszerzy. Nie potraficie wymyślić dowcipnej drwiny. Pamiętacie tyradę o nosie z „Cyrana de Bergerac”? Otóż ja nauczyłbym was najlepiej, jak można mnie wyśmiać. A więc, powiedzmy: „Gordon dusi Desdemone, bo z siebie nic już wydusić nie może”. Albo: „Ewa to «Reduta Gordona*», bo musi wysadzać”. Ale wam brak wyobraźni, moi drodzy.

Z kąta sali wysunął się stary Windyga. Był kompletnie zalany, łysinę pokrywały mu kropelki potu, szedł zataczając się. Wybełkotał ochrypłym głosem:

— Ty... Jesteś stary świntuch. Rozumiesz? Stary świntuch, który udaje apostoła. Ja ci to mówię. Mnie oczu nie zamydliś.

— Znów się upiłeś —* powiedział łagodnie Gordon.

— Nie twój Interes. Ojczulek! Kto cię nie zna, ten ci uwierzy. Stary lubieżnik... No co? Możesz mi dać w mordę. Ty jesteś wielki Gordon, a Ja — kompletne zero. Wał, bracie, tobie wolno.

— Odczep się! Pogadamy, Jak wytrzeźwiejesz.

Gordon wyszedł z teatru z uczuciem niesmaku. Domyślał się, że słowa Windygi były

echem komentarzy, które krążyły za kulisami. Zaczął się zastanawiać.

— Dla nich jestem reliktem minionej epoki! Tak jak dla Izoldy. Kimś w rodzaju mamuta. Muszę więcej obcować z młodzieżą. Tak. Ewa będzie moim łącznikiem. Nie ci z teatru, ale właśnie jej koleżanki i koledzy.

W zimie, podczas świątecznej przerwy, Gordon zabrał Ewę do Zakopanego. Uczył ją jeździć na nartach, odbywali dalekie spacerunki sankami i pieszo. Ewa z zabiedzonej i wychudzonej dziewczynki stała się zgrabną, miłą panią. Nie była piękna. Miała duże uszy, które zakrywała włosami, wydatne kości policzkowe i cofnięty nieco podbródek. Ale wielkie niebieskie oczy posiadały tyle wyrazu, że zwracały na siebie ogólną uwagę. No i ręce. Cóż to były za ręce! Wąska dłoń o długich palcach i kształtnych paznokciach przykuwała spojrzenia. Wymowa tych rąk, kiedy nimi gestykulowała oszczędnie i z wdziękiem, ujawniała nieomylnie jej harmonię wewnętrzną. Ruchy te były pełne utajonej melodii. W każdym razie tak widział je Gordon.

Podczas wspólnych wycieczek prowadzili długie rozmowy, poznawali się wzajemnie. Ewa szczególnie polubiła to, co nazywała wieczornymi opowieściami. Gordon miał świetną pamięć i umiał prowadzić interesujące gawędy sięgające do różnych, nie związanych ze sobą tematów. A więc była to historia wojny trojańskiej, dzieje wypraw polarnych, życiorysy Mozarta i Schumanna, obrona Westerplatte. Mówił o ludzkim bohaterstwie, ale unikał opowieści malujących czasy pogardy i okrucieństwa.

Najwięcej wzruszyły Ewę losy Mozarta, ale szczególnie zainteresowało ją życie Schumanna.

— Klara Wieck była młodsza ode mnie, kiedy pokochała Schumanna. A w moim wieku grała już na koncertach. Mój Boże! Tyle szczęścia naraz.

Ewa ukończyła Konserwatorium z odznaczeniem. Gordon urządził przyjęcie dla absolwentów z jej klasy. Bawił się razem z młodzieżą, tańczył z dziewczętami, brylował dowcipem, beztrudno dotrzymywał towarzystwa tej wesołej gromadzie a czuł się niemal ich rówieśnikiem. Byli to młodzi artyści, mieli przed sobą przyszłość i niczym nie przypominali fałszywego młodzieżowego stylu Izoldy. Gordon wszystkich ich znał, rozumiał i przyjaźnił się z nimi na równi z Ewą. Tak jak postanowił wtedy, po incydencie z Windygą.

Po kolacji Ewa zasiadła do fortepianu i zagrała finał „Karnawału” Schumanna.

Pod jej palcami Marsz Związku Dawida na Filistynów zabrzmiał tryumfem życia i młodości.

Tak zapewne musiała go grać Schumannowi jego Klara.

7

Był rok 1961. Niezapomniany dla Gordona. We wrześniu tego roku zapadło ostateczne postanowienie sądu, orzekające przysposobienie Ewy Sobotówny przez Aleksandra Gordona. Odtąd stała się formalnie jego córką i przybrała jego nazwisko.

Dla uczczenia tak uroczystego dnia poszli wieczorem na koncert, a potem na kolację do Bristolu. Gordon był wniebowzięty i chociaż nie przywiązywał zbytnej wagi do urzędowych formalności, doznawał satysfakcji, że uczucia ojcowskie, które żywił względem Ewy, znalazły legalne potwierdzenie. Jego piękna twarz o wydatnym orlim nosie, ciężkich powiekach i pełnych wargach nabrała w ostatnich czasach wyrazu dobrotliwej pogody, a teraz jaśniała radosnym uniesieniem.

Kazał zamrozić butelkę szampana i w przypiływie szczerości zaczął opowiadać Ewie o sobie. O blaskach i cieniach swojego życia. Nie był skory do zwierzeń, ale odkąd przelał na nią całe bogactwo swego serca, pragnął, aby nie mieli przed sobą tajemnic, chciał pokazać jej siebie w zarysie najbardziej ludzkim, ze wszystkimi słabościami. Wierzył, że bardziej przybliży go do niej jego małość niż wielkość.

— Każdy mówi o tobie z zazdrością — zauważyła Ewa — a ty nigdy nie czułeś się szczęśliwy. Nie mogę tego pojąć.

— Mylisz się, kochanie. Tak było. Odkąd ty jesteś przy mnie, moje życie stało się inne, nabrało sensu. Widzę przed sobą cel. Sztuka jest tylko środkiem. Zły ze mnie artysta, skoro szczęścia musiałem szukać poza nią. Znalazłem je w tobie. To śmieszne, prawda? Można zrozumieć utajone instynkty macierzyńskie u starej panny, jak nasza Teresa. Ale mężczyzna? W moim wieku? Jest w tym coś z aktorskiego kabotyństwa. Ale nie warto nad tym się zastanawiać. Twoje zdrowie, Ewuniu. Bylebyś ty była szczęśliwa. Bodaj Marmontel powiedział, że muzyka to jedyna sztuka, która sama z siebie czerpie upojenie, wszystkie inne pożądają widzów. Dlatego ty nie będziesz przeżywała takich upadków jak ja. Twój los ułoży się inaczej.

Upłynął rok od tej rozmowy. Pierwszy recital Ewy w Filharmonii przyniósł jej olśniewający sukces. A potem Gordon uzyskał dla niej stypendium i wysłał ją do Londynu i Edynburga, miasta, z którego wywodził się jego ród.

Pisała do niego listy pełne serdeczności i przywiązania.

On, wielki tragik, przeszedł tak osobliwą przemianę wewnętrzną, że zapragnął zagrać rolę Tartuffe'a. Zresztą jeszcze wcześniej, specjalnie dla Ewy, zgodził się ku ogólnemu zdumieniu wystąpić w „Grubych rybach”. Zdaniem niektórych starszych recenzentów prześcignął samego Frenkla. Jeden z najwybitniejszych krytyków pisał:

„Kto nie widział Gordona, jak gra w wista, jak tańczy walca i prowadzi kadryla, jak śpiewa owe «Złote litery, złote litery...», jak zaleca się do panny i rozważa sobie szczęśliwość stanu małżeńskiego — kto tego nie widział, powtarzam, ten dobrowolnie zubożył swoje życie w sposób niepowetowany”.

Również na co dzień w stosunkach Gordona z ludźmi nastąpiło dostrzegalne dla wszystkich przeobrażenie. Ten nieprzystępny dotąd człowiek stał się towarzyski, pogodny, chętnie żartował i wesołymi dykteryjkami bawił kolegów. Mówiono o nim:

— Ewa przeniosła go na rękach od Szekspira do Bałuckiego. Potęga I r
Od Ewy nadszedł list.

„Kochany Ojciec, Aleksandrze Wielki, Wspaniały, Niezrównany! Wysłałeś mnie do Anglii, a tu wszystko dzieje się na opak. Uczę moich profesorów interpretacji Chopina. Byłam na recitalu Alfreda Cortot. A potem Cortot przyszedł na mój koncert. Rozpływał się w pochwałach. Musiałam staruszka podtrzymywać, żeby się nie rozplynął do reszty. Wczoraj wróciłam ze Stradfordu. Przyjedź, naucz ich grać Szekspira! Jadłam ostrygi. Bez ciebie. To okropne! Pozwól mi wrócić, mój drogi tyranie. Siedzę tu już pół roku Jak na zesłaniu. Jesteś wyrodney. Szkoci są oschli i żadon mi się nie podoba. Ćwiczę po osiem godzin dziennie. Poznałam Brittena. Byłam na festiwalu muzycznym w Aldeburgh. Fantazja! Po powrocie zagram Ci Brittena. Kocham cię. Ucałuj moją drogą Teresę. Twoja Ewa”.

Gordon odczytał ten list Teresie na głos.

— Drogą Teresę — powtórzyła wzruszona stara panna, rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Po chwili wróciła i oświadczyła stanowczym tonem:

— To grzech wysłać dziecko na tyle czasu. Samą, bez opieki. Jak pan do niej nie pojedzie, to Ja pojedę! A jeśli Inaczej się nie da, pójdę pieszo! Zobaczysz pan.

W następnym liście Ewa pisała:

„Najdroższy, chyba skrócę pobyt w Londynie. Tęsknię. Okropnie chciałabym już wrócić do domu. Czuję się tu wprawdzie lepiej niż w Edynburgu. Ubawiły mnie pomniki Crom

mKKĘĘĘĘ*
wella i króla. Pierwszy ściał głowę drugiemu,

0

teraz stoją naprzeciwko siebie w największej zgodzie. Zdawało mi się nawet, że jeden z nich wymówił słowo «sorry». Tak wygląda historia po angielsku. Miałam recital w naszej ambasadzie. Grałam Chopina Balladę g-moll

1 Fantazję f-moll, Rondo brillant Webera, Sonatę fortepianową Bartoka, a na bis — Etiudę As-moll Moszkowskiego. Czy mam się pochwalić? Nie, to nie byłoby w stylu Gordonów! Wśród zaproszonych gości spotkałam Leopolda Stokowskiego. Wspominał obiad u nas i zrazy z kaszą. Utkwiła mu też w pamięci nasza przejażdżka do Obór, gdzie po raz pierwszy słyszał śpiew słowików w plenerze. Dziwne, prawda? Ma zamiar znowu przyjechać do Polski, zaproponował mi, żebym zagrała z nim koncert Menottiego. Nie wiem, czy mam to traktować poważnie. A może była to po prostu galanteria starszego pana? Pomyśl, że mógłbyś być jego synem. A ty ciągle

(chcesz imponować mi swoim wiekiem. Skoro już o tym mowa, mogę Ci zakomunikować, że zakochał się we mnie pewien niemłody, ale utytułowany fotograf. Czuję się Jak księżniczka. Przyjedź do mnie. Chociaż na tydzień. Całuję mocno mather Teresę. A ciebie sto razy mocniej”.

Podczas ferii letnich Gordon wystarał się o paszport, dostał trochę dewiz i poleciał do Londynu.

Na lotnisku czekała na niego Ewa, radca ambasady, korespondent PAP'a oraz przedstawiciel BBC, który zaproponował mu od razu dobrze płatną audycję. Gordon nie widział Ewy od ośmiu miesięcy

Bardzo wydorosała, wyładniała. Miała już dwadzieścia dwa lata. Ale najbardziej zachwycało Gordona to, że mówiła pięknie po angielsku, lepiej niż on, który od dziecka pielęgnował pieczołowicie język swoich przodków, a wychował się na Dickensie i Szekspirze. Miała ujmujący sposób bycia, prostotę, swobodę, a nawet pewność siebie, której zawsze brakło Gordonowi. Po każdym przedstawieniu odczuwał niedosyt, aplauz widowni nie dawał mu pełnego zadowolenia.

Powiedział do Ewy:

— Zazdroszczę ci. Jeśli już musi się być odtwórcą, trzeba być muzykiem. Sztuka aktorska jest ograniczona.

W powrotnej drodze do Warszawy zatrzymali się w Paryżu. Gordon oprowadzał Ewę po mieście według swojej marszruty sprzed lat. Cieszył się, gdy dziewczynę zachwycały te same place, ulice i zabytki, które na nim wywarły wrażenie w czasach młodości. Mieszkali w małym hoteliku na rue St. André des Arts, w sercu dzielnicy łacińskiej. Do muzeów Ewa chodziła sama, ale za to razem pili wino w piwnicach Epernay, dokąd ich zawiózł jeden z przyjaciół Gordona, a po drodze zatrzymali się w Barbizon, gdzie zwiedzili pracownię Celnika Rousseau i Milleta. Wieczorami chodzili do teatrów lub na koncerty. Potem do późnej nocy przesiadywali na tarasach Café du Dôme i La Coupole, chociaż Montparnasse nie był już tym, czym dawniej. Tutaj Gordon odczuł najbardziej przemijanie czasu. Wspominał swoich starych przyjaciół — Fuji- tę, van Dongena, modelkę Kiki. Opowiadał Ewie o swoich młodych latach, o wyblakłych cieniach przeszłości. Ewa słuchała go z roztargnieniem i nie wiedzieć czemu w kącikach Jej oczu pojawiały się łzy. Kiedy Gordon dostrzegał je ze zdziwieniem i niepokojem, Ewa powtarzała zawsze to samo:

— Nie dziw się, proszę. Jestem taka szczęśliwa

8

Jest rok 1964. Gordon siedzi na ławce w Łazienkach i w filmowym skrócie przebiega myślą dzieje swojego życia. Minęła już godzina, odkąd wyszedł z bufetu teatralnego. Aktorzy przez jakiś czas plotkowali na jego temat.

— Słuchajcie, mam dla was sensację — zawołał Skoryna, gdy tylko zamknęły się drzwi za Gordonem, — Opowiadał mi facet, który go zna sprzed wojny, wiecie, ten łysy literat, co to przychodził tu do niego w zeszłym tygodniu, nie pamiętam, jak się nazywa... Otóż opowiadał mi, że Gordon nigdy nie miał żadnej córki. A historia z Ewą to zwyczajna lipa. Nic dziwnego, że mistrzunio jest ostatnio taki wesolutki. Poderwał sobie dziewczynę i dobra jest. No nie?

— Głupstwa pleciesz — oburzyła się stara Wilska. — Ewa miała dwanaście lat, kiedy zjawiała się na horyzoncie. Ty tego nie pamiętasz, a ja widziałam ją jako dziecko. Znalazł się odkrywca Ameryki.

Gordon siedzi na ławce w Łazienkach, orzeźwia go chłodny powiew płynący od wody,

zieleń pachnie świeżością, w powietrzu unosi się ledwie uchwytna woń jaśminów.

— Proszę pana, która godzina? — zapytała go ta sama dziewczynka, spotkana na mostku.

— Wpół do trzeciej — rzekł Gordon spojrzawszy na zegarek.

Zerwał się z ławki i szybko ruszył w kierunku samochodu.

Obiad czeka... Teresa już pewno wygląda przez okno — pomyślał Gordon, zapuszczając silnik. Gdy zatrzymał się przed domem, usłyszał z daleka dźwięki Ballady g-moll. To Ewa grała ją zawsze na powitanie ojca, skoro tylko Teresa zawołała z kuchni:

— Panienko! Już jest!

Gordon wszedł do pokoju i pogłaskał Ewę po twarzy. Przytrzymała jego rękę, a po chwili pocałowała go w spód dłoni:

— Pan i władca raczył wrócić na obiad — powiedziała z zalotnym uśmiechem.

Gordon jadł bez apetytu. Natomiast wyjął z kredensu butelkę czerwonego wina i wypił dwie szklanki jedną po drugiej. Nurtowała go wciąż ta sama nieznośna myśl. Kiedy skończyli deser i Teresa sprzątnęła ze stołu, Gordon spojrzął Ewie przenikliwie w oczy i zapytał starając się ukryć niepokój:

— Słuchaj, musisz mi to wytłumaczyć. Dlaczego przestałaś nazywać mnie ojcem? Czy masz mi coś do zarzucenia? Czy mój stosunek do ciebie jest nie dość serdeczny? Zawsze byłaś ze mną szczera. Powiedz otwarcie. Może myślisz o swoich rodzicach? Jakich masz zamiar? Czy chciałabyś ich odnaleźć? Porzucili cię na łaskę losu i nigdy się tobą nie interesowali.

Nie ma ich, rozumiesz? Jestem tylko ja. Tylko ja!

Ewa słuchała tej tyrady z wypiekami na twarzy. Pierś jej unosiła się, poruszana przyśpieszonym oddechem. Gdy Gordon skończył, dziewczyna zerwała się od stołu i zaczęła wyrzucać z siebie bezładne słowa:

— Tak, taki! Tylko ty! W twoim rachunku ja się nie liczę! Nic nie widzisz! Jesteś ślepy! Dobrze, powiem ci całą prawdę. Wstydzę się tego, ale ci powiem. I niech się potem dzieje, co chce. Nie myślę o żadnych rodzicach. Dla mnie to obcy ludzie. Nie mam z nimi nic wspólnego, nie istnieją dla mnie. Obchodzisz mnie tylko ty. Kocham cię, rozumiesz? Ale nie jak ojca. Kocham cię jak mężczyznę. I nikogo innego prócz ciebie nie potrafiłabym kochać. Śnisz mi się po nocach. Mam cię we krwi, w myślach, w pragnieniach. Tak, jestem w tobie zakochana do nieprzytomności. A teraz możesz mnie nawet zabić.

Gordon cofnął się przerażony. To, co usłyszał, spadło na niego jak grom.

— Milcz! Oszalałaś? — zawołał. — Jesteś potworem! Zwyródniałym potworem! Nie zbliżaj się do mnie!

Ślaniając się przeszedł do gabinetu, zamknął drzwi na klucz i osunął się bezsilnie na fotel. Krew huczała mu w skroniach. Zapadał się na dno rozpacz. Głęboka ojcowska miłość stała się jedynym sensem jego istnienia, a teraz słowa Ewy brzmiały mu w uszach jak szyderstwo i wyzwanie losu. Po dziesięciu latach znów usłyszeć odgłosy dawnego zborezeństwa! Wtedy, na ulicy, propozycja Ewy wstrząsnęła nim. Teraz czuł się zdruzgotany,

zraniony w swojej godności iudzkiej. Siedział i myślał. Przez całe życie jego nienasycone serce pożądało na próżno miłości kobiety. I oto wyznanie, którego zawsze tak pragnął, padło z ust Ewy. Znieważało go, obróciło się w jego ostateczną klęskę.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki Ballady g-moll, ale tym razem pod palcami Ewy brzmiała ona szczególnie pięknie i dramatycznie.

Gordon zatkał sobie uszy.

— Ona nie może tu zostać. Muszę ją wysłać. Gdziekolwiek... Do Krakowa, do Wrocławia, wszystko jedno, byle nie słyszeć tych kazirodczych wynurzeń!

Myśląc w ten sposób Gordon sam przed sobą odgrywał rolę ze sztuki, którą życie napisało jego żółcią i krwią. A tymczasem urwały się dźwięki Chopina i Ewa zaczęła beładnie, z zacięłą pasją walić w klawiaturę, jak gdyby chciała pozrywać struny, zdemolować fortepian.

Gordon otworzył drzwi:

— Ewa! Chodź tutaj! — zawołał szorstko.

Dziewczyna zbliżyła się niepewnym krokiem,

oparła się o framugę i stała wysmukłą, zachwycającą w swojej tragicznej powadze, z oczami pełnymi łez.

— Posłuchaj uważnie tego, co ci powiem. Nie jestem stolarz. Rozumiesz? Nie jestem stolarz Sieńko! ',

— Rozumiem... ojczu.

Gordon wstał i skierował się do wyjścia.

— Wychodzisz?

— Wychodzę.

— Dokąd?

— Do wszystkich diabłów! Rozumiesz? Do wszystkich diabłów!

Po czym zatrzasnął za sobą drzwi frontowe z taką siłą, że w mieszkaniu o mało nie powypadały szyby.

W powietrzu było parno. Niebo się zachmurzyło, zaczął padać deszcz.

W otwartym oknie stała Teresa i machała do Gordona parasolem.

Un/y

Czy przyglądaliście się kłodykolwlek uważ- nio ludzkiemu uchu? Ilo staranności i wysiłku włożyła natura w ton szczątkowy i niożyteczny ornament tworzył Serce, które uchodzi za siedlisko romantycznych uczuć i wrażliwości to po prostu mięsisty worek, mloch ssący i niookr/lalny. Natomiast koncha unwa zadziwia misterną kompozycją szczegółów, proporcją zagięć i zakrętów, różnorodną przejrzystością, elastyczną budową chrząstki. Zarówno nazwa, jak i podobieństwo do muszli nadają uchu wartość niemal kłopotliwą zwłaszcza na tle ogólnego układu anatomii człowieka,

Toteż nieobliczalny wybryk Joanny zdolnym loblo wytłumaczyć dopiero nazajutrz, gdy w saniolocie oddalam się obserwacji ludzkich uszu. Przyglądałam się im w odrobinie odromy twarzy, przenosiłam wzrok z Jądrych uszu na drugie, starałam się eliminować twój rzyg, o całą uwagę skupić na tym Jądrym szczególe, Po kilku minutach uporczywie kontracji wzroku ludzko przestali dla mnie istnieć, Widziałam już tylko uszy, Ich misterno nie zagląda, rozróżniałam różnorodność kształtów, lirycznie wypotniały całą kabinę samolotu ładnie na pozór drobna i dalkalno, Inno odstające mięsisto i owłosione, obwisłe albo ukośne, a w gruncie rzeczy wszystkie obrzydliwie, Upleło wtedy uświadomiłam sobie, że liazy tą włosciwo odrażająco. Mają w sobie coś zwierzęcego, Teraz, klady utraciły dyskretną niedostrzegalność wynikającą z niewykuciu oczu, wydawały mi się nienaturalną naroślą, podobną do gzybów pasożytujących na pniu drzewa. /rozumiałam, że uszy mogą budzić wstręt, Pamiętam dotychczas uczucia przerażenia, Jakiego doznałam w latach młodości, gdy odgarniając kochance włosy stwarzałam dla niej drobny, zwyrodniały płatek skóry, przypominający ucho myszy albo nlatoparza,

Wróćmy jednak do ino jaj Joanny, tej Istoty kochającej palną dalkatność i słodczy,

Ulało się to we wrześniu, i are dni naprzód kupiłam cztery bilety na doskonałą francuską komedię i zaprosiłam Joannę oraz mnągo kole- de z żoną, kobietą bardzo ładną, oia mającą, niesłusznie moim zdaniem, opinie zimnej kokietki. Joanna podzielała to zdania i nawet na wiadomość o zapraszaniu przeze mnie tamtej pary usiłowała wykręcić się od pójścia do kina, W końcu Jednak dała się namówić,

Wyszliśmy do kina wszyscy czworo około dwunastej w nocy i spacerkiem udaliśmy się na pobliski parking, gdzie zostawiłam samochód.

Pierwszy Ja usiadłem na kierownicę i pootwierałem drzwi, następnie Joanna zajęła miejsce fli mną na tylnym siedzeniu, ustępując swego stolaga miejsca obok mnie żonie mego kolegi, /anlm Jednak tamci dwoje zdążyli

wsiąść do samochodu, Joanna zniecka chwyciła mnie z tyłu za lewe ucho i zakręciła nim z całej siły, jakby mi je chciała oberwać. Poczułem dotkliwy ból, ale na żadne wyjaśnienia nie było czasu, gdyż moi goście właśnie zajęli swoje miejsca. Na szczęście żadne z nich nie zauważyło tej przykrew sceny. Oszołomiony tym niespodziewanym wybrykiem, włączyłem silnik i ostro ruszyłem z miejsca. Joanna przez całą drogę prowadziła ożywioną rozmowę, krytykowała film, raz po raz wybuchała nerwowym śmiechem. Nie odzywałem się do niej. Zastanawiałem się nad jej postępkami. Czyżby to był wybuch tajonej nienawiści? Co nią powodowało? Nigdy nie zauważyłem w niej najmniejszych skłonności do okrucieństwa. Znałem ją jako istotę pełną delikatności i słodyczy.

Pożegnaliśmy się w milczeniu. Wróciłem do domu z osadem gorzkości w sercu, a nazajutrz znalazłem się w kabinie samolotu. Tak, to było właśnie wtedy. Musiałem wyjechać na kilka dni.

Czy przypominacie sobie „Les contes de mi- nuit”, tę uroczą książkę Duhamela? Czy pamiętacie postać urzędnika, który wpatruje się w ucho swego szefa i nie jest w stanie opanować niedorzecznej chęci, aby tego ucha dotknąć? A więc może sam widok ucha budzi w człowieku ten irracjonalny, nieuzasadniony gest?

Nigdy nie doznawałem podobnych uczuć, ale dlaczego miałbym wykluczyć możliwość ich istnienia w kim innym? Chociażby w Joannie. Tak, to był chyba Jedyń motyw, który kierował. Raczej nie motyw, lecz odruch. Moje uszy obudziły w niej wstręt, wyzwoliły nienawiść odczuwaną nie do mnie, lecz do nich.

Przypomniałem sobie kilku moich znajomych,

0 których wiedziałem, że żywią wobec mnie wyraźną niechęć, chociaż nie dałem im do tego powodu.

Coraz bardziej nabierałem przekonania, że

1 w tym wypadku musiały odgrywać rolę moje uszy. Prawdopodobnie podrażniona wrażliwość estetyczna wywoływała podświadomą antypatię.

Nie chciałem być posądzony o zarozumiałstwo, ale muszę stwierdzić, że ani moja powierzchowność, ani cechy charakteru, ani sposób bycia nie powinny w nikim budzić niechęci. Przeciwnie, uchodzę za człowieka obdarzonego pewnym urokiem osobistym, towarzyskiego i łatwego w obcowaniu. Muszę Jednak otwarcie wyznać, że uszy mam raczej nieładne. Powiedziałbym nawet — zdecydowanie brzydkie. I to one właśnie, jak sądzę, zrażają do mnie ludzi. One zdolne były także popchnąć Joannę do brutalności, która jest tak obca jej łagodnej i delikatnej naturze.

Rozważając przykry incydent owego wieczoru, stanąłem przed lustrem, ażeby raz Jeszcze przyjrzeć się moim uszom. Istotnie, miały w sobie coś obrzydliwie skrzydlatego, wyrażały drapieżność i arogancję. Im dłużej wpatrywałem się w ich odbicie, tym Jaśniej zaczynałem rozumieć, że muszą one budzić nieprzychylnie uczucia. Zapewne zdarzają się ludzie, którzy mają odmienny sposób patrzenia, którzy patrzą nie widząc. Ich wzrok nie zatrzymuje się na niczym. Jest to wzrok pozbawiony wyobraźni. Zresztą, większość ludzi

cierpi na tego rodzaju aberację. Joanna należy do typów pośrednich. Kocha mnie, a równocześnie ma obsesję na punkcie moich uszu.

Ta myśl nie dawała mi spokoju. Chodziłem po mieszkaniu czując, że nie zasnę. Ucho bolało mnie i piekło na samo wspomnienie przykrego incydentu. Joanna, ta istota pełna słodyczy, wydawała mi się teraz ognistym ptakiem, którego dziób wbija mi się w mózg.

Zrozumiałem, że muszę rozładować w niej kompleks uszu, gdyż w przeciwnym razie nasza miłość skazana będzie na zagładę.

Nagle wzrok mój zatrzymał się na reprodukcji autoportretu Van Gogha, która wisiała nad kominkiem. Ten wielki, nieszczęśliwy i antypatyczny szaleniec patrzył na mnie chytrze i porozumiewawczo spod bandaża, który zakrywał ranę po obciętym uchu.

A więc nie tylko ja! On także we własnych uszach widział przyczynę swoich klęsk i niepowodzeń. On także miał swoją Joannę, która popchnęła go do tego rozpaczliwego kroku. Teraz wiedziałem już, co mam zrobić.

W sobotnie popołudnia Joanna przychodziła do mnie na obiad, który przyrządzałem własnoręcznie, jako że mam szczególnie zamiłowanie do spraw kulinarnych. Lubię na targowiskach wyszukiwać sezonowe przysmaki, znam się na kuchni i nie brak mi w tej dziedzinie pomysłowości, a nawet wyrafinowania.

Tej soboty czekałem na przyjście Joanny bardziej niecierpliwie niż kiedykolwiek. Nie widzieliśmy się od kilku dni, a ponieważ oboje mamy wstręt do niesnasek, spotkanie to musiało być dla niej upragnione w tym samym stopniu, co dla mnie.

Wcześniej niż zazwyczaj rozległ się dzwonek. Otworzyłem drzwi. Na widok mojej obandażowanej głowy Joanna zatrzymała się w progu. Spojrzała przerażona, a potem głosem pełnym niepokoju zapytała, co mi się stało.

— Ach, to drobiazg — odparłem tuląc ją do siebie. — Zarzuciło mi wóz i wpadłem na słup. Głową rozbiłem szybę. Ale to nic poważnego. Lekkie zadrapania.

Joanna posmutniała, po chwili jednak uśmiechnęła się i podała mi usta do pocałunku. Nie miała żadnych podejrzeń.

Wrześniowe słońce rozsypywało złociste blaski po stole, który nakryłem ze zwykłą starannością.

Napełniłem kieliszki startką i przyniosłem z kuchni tacę zastawioną różnymi przysmakami. Joanna lubiła nasze sobotnie uczyty i cieszyła się każdą kulinarną niespodzianką.

— Rydze 1 — zawołała z radością, opróżniając łyżką patelnię. — Jaki ty jesteś miły! Szkoda, że muszę jeść je sama...

Joanna wiedziała, że odkąd w dzieciństwie zatrąłem się grzybami, nabrałem do nich nieprzewyciężonego uprzedzenia.

Wypiliśmy wódkę, a potem, słuchając jej beztrudkiej paplaniny, czekałem, aż Joanna zje przyrządzone przeze mnie rydze.

Nagle zerwałem się z krzesła i zawołałem jakimś obcym, histerycznym głosem:

— Smakowało ci? A wiesz, co zjadłaś? Zjadłaś moje uszy! Rozumiesz? Moje znienawidzone przez ciebie uszy! Na pewno zauważyłaś, że ich zawinięte brzegi były uderzająco podobne do rydzów. Obciałem je brzytwą. Tak jak Van Gogh! Rozumiesz! Trochę nawet bo-

lało, ale mniej, niż przypuszczałem... Oczywiście, zanim to zrobiłem, zadzwoniłem po pogotowie. Jestem, jak wiesz, przezorny i systematyczny...

Joanna patrzyła na mnie ze zgrozą. Naprzód pobladła, a po chwili stała się zielona jak człowiek na statku w czasie sztormu.

— Naprawdę nie bolało — mówiłem wpatrując się w drobne kropelki potu, które wystąpiły na jej prześlicznym, nieco zadartym nosku. — To zresztą nieważne... Chcę ci opowiedzieć, jak je przyrządziłem... Naprzód gotowałem tak długo, aż stały się miękkie... Potem rzuciłem na roztopione masło... Smakowały ci, prawda?

Chwyliłem butelkę, aby ponownie napełnić kieliszki, ale Joanna wykonała dziwaczny ruch dłonią i zsunęła się z krzesła na podłogę.

Wziąłem ją na ręce i przeniósłem na tapczan. Była piękna w tym swoim omdleniu. Twarz miała bladą, niemal przezroczystą, usta chłodne i skrzywione, być może jak wtedy, kiedy mnie szarpnęła za ucho.

Po chwili zaczęła wracać do przytomności. Gdy otworzyła powieki, zdarłem z głowy bandaż i powiedziałem z czułością: — Głupiatko... To były zwyczajne rydze... Joanna przyglądała mi się w milczeniu. Palcem pogłaskała moje lewe ucho, potem prawe. Wstała z tapczanu i uśmiechnęła się zawstydzonym, roztargnionym uśmiechem. Nie, to nie był uśmiech, ale raczej grymas dziecka, któremu zbiera się na płacz. Istotnie, po twa- rzy jej płynęły łzy.

Kiedy wróciliśmy do stołu, Joanna łąpczywie wychyliła kieliszek wódki, ale jeść więcej nie chciała. Spojrzenie jej błędziło po mojej twarzy, nie wyrażając ani gniewu, ani czułości.

— Wiesz — powiedziała po chwili. — To dziwne... Nigdy dotąd nie zwróciłam uwagi na twoje uszy. Mam wrażenie, że dzisiaj widzę je po raz pierwszy...

Przyciągnąłem ją do siebie, całowałem, głaskałem po włosach, było mi wesoło i smutno zarazem.

Joanna siedziała zamyślona, a potem powiedziała, że źle się czuje, i poprosiła, żebym ją odwiózł do domu. Na pożegnanie pocałowała mnie w ucho.

Była naprawdę istotą pełną delikatności i słodyczy.

Nie widzieliśmy się więcej. Naprzód byliśmy oboje bardzo zajęci. Później ona przeniósła się do innego miasta, a ja wyjechałem służbowo na rok do Wietnamu.

Na ścianie zamiast autoportretu Van Gogha wisi teraz reprodukcja krajobrazu Utrilla. Widok ośnieżonej paryskiej ulicy nic mi nie przypomina.

pienie. A zresztą... Jakież są obiektywne sprawdziany?

Jej twarz o miękkim, łagodnym owalu posiadała zmienność rysów nieuchwytną dla oka. Było to zjawisko niewytłumaczalne, które sprawiało, że żaden malarz nie umiał oddać wiernie osobliwego charakteru tej twarzy, a każde zdjęcie, nawet migawkowe, okazywało się poruszone i niewyraźne.

Ze spojrzeń Klary emanowało odczuwalne ciepło. Zdawało się, że jej oczy są wypełnione substancją promieniotwórczą. Właśnie oczy. Bowiern serce jej odznaczało się mrozącym chłodem.

Łuki brwi i ledwie dostrzegalne poruszenia kącików list posiadały wymowę wyrazistszą od słów. Można s nich było wyczytać utajone reakcje na najdrobniejsze odchylenia w zachowaniu, mowie, spojrzeniu, geście. Była na nie uwrażliwiona jak niektóre rośliny na zmienność światła.

Włosy miała złociste, wpadające chwilami w rudawy odcień i ta sama złocistość okrywała Jej ręce i ramiona. Nos, pozbawiony klasycznej pospolitości, z lekka zadarty, pełen był dziewczęcego zdziwienia i przekory. Patrząc nań odczuwała się chęć przesunięcia po jego grzbiecie małym palcem. Tak, właśnie małym palcem. Kształt ucha i jego różowa przegro- czystość przypominały włoską kameę, cyzelowaną na octach podróżnika przez kapryjskiego artystę.

Usta Klary tylko na póżór pozbawione były wyrazu. Dopiero kiedy się rozchylały, zaczynały wabić wilgotną świeżością, stawały się pełne obietnicy, przyprawiały o zawrót głowy.

Demony

Klara była olśniewająco piękna. Określenie to, jeśli nte ma zatraćać zwykłym komunałem, wymaga dokładniejszych wyjaśnień.

Nie zamierzam naśladować biskupa Agostino Nifo, który ze smakowitą lubieżnością opisywał najskrytsze wdzięki Joanny Aragońskiej. Byłby to obraz kłamiwy i samochwalczy, gdyż nigdy nio dostąpiłem szczęścia oglądania Klary w jej olśniewającej, jak mogłem się domyślać, nagości. I muszę wyznać, że domyślność tę posuwałem do ostatecznych granic. Wizje Inagłego ciała Klary wypełniały ml bezsenne rwc9, przybierały formę uporczywej obsesji, były bezwstydnie wyraziste, doprowadzały mnie do obłądnych urojeń. Kto nie przeżywał szczytowego napięcia namiętności, zdolnego popchnąć do aktów samobójczej lub też zbrodniczej desperacji, ten nie potrafi mnie zrozumieć, Zwierzenia poniższo przeznaczam dla osób mojego pokroju, dla nielicznych opę- tańców, nawiedzonych przez rozpaczliwą, bo* leśną psychozę miłości. Przeznaczam Je dla tych, którym, tak jak mnie, w straszliwej męce pożądania odmówiono miłoslerdzia\

Powracam jednak do tematu, "3o opisu urody Klary i niechaj mnie nikt nie posądsa o saśle-

Tak, dla ust Klary, dla jednego pocałunku można było zapomnieć o wszelkich więzach, obowiązkach, godności.

Opis szczegółów tej niepospolitej twarzy nie może dać o niej pełnego wyobrażenia, tak jak z opisu nie można poznać fali ani obłoku na wietrze, ani lecącego ptaka w ich nieustannym ruchu i zmienności.

O rękach Klary mówiono, że... stworzone są do gry na harfie, do lepienia w glinie, do głaskania marmuru. Mówiono? Ja tak mówiłem, gdyż mimo wrażliwości na piękno nie posiadam daru umiejętnego określania go słowami.

Chód jej był powolny a płynny, jak gdyby chciała ukazać w nim wszystkie powaby swojej kibici, chociaż robiła to nieświadomie. Była zresztą całkowicie nieświadoma swojej urody i jej oddziaływania. Tak do niej przywykła, że przestała ją odczuwać. Beznamiętna i chłodna, do powierzchowności swej nie przywiązywała wagi, a to, co fascynowało mężczyzn, ją samą niecierpliwiło i napępniało uczuciem nudy. Miała zbyt rozległe zainteresowania intelektualne. Pasjonowała się bakteriologią. Przed wojną pracowała pod kierunkiem profesora Turleja. Całe dnie spędzała w laboratorium. Urodę swą traktowała jak zło konieczne, które utrudnia i komplikuje jej życie, a moją admirację przyjmowała tylko dlatego, że ceniła mnie jako ornitologa, którego prace naukowe zyskały dość szeroki rozgłos. Ilekroć Jednak próbowałem nakłonić Ją do wysłuchania moich wyznań, Jednym przewrotnym zdaniem zmieniała temat i kierowała rozmowę w stronę naszych wspólnych zainteresowań przyrodniczych. Jakże często przeklinałem w duszy całą moją wiedzę i wszelką naukę, a zazdrościłem Marianowi jego zawodu artysty.

Byliśmy bliźniakami i osoby postronne dopatrywały się w nas uderzającego podobieństwa. Przypisuję to jednak ułomnej ludzkiej spostrzegawczości, gdyż stanowiliśmy typy całkowicie odrębne. O ile ja odznaczałem się pogodą, otwartością i wesołym usposobieniem, o tyle Marian łatwo poddawał się melancholii, był mrukliwy i małomówny, unikał towarzystwa. Podczas rozmowy z nim odnosiło się wrażenie, że myślami jest nieobecny. I chociaż łączyła nas bliska braterska zażyłość, nie potrafiłbym twierdzić, że znałem go lepiej niż kogokolwiek z przyjaciół lub chociażby przygodnych znajomych. Odnosiłem się do niego jak do młodszego brata, otaczałem go opieką, starałem się ułatwić mu egzystencję. W przeciwieństwie do mnie Marian nie budził sympatii. Cenił jego talent, ale zarzucano mu egoizm i niewdzięczność w stosunku do mnie. Powiedziałbym, że miał w sobie coś z żalosnej, a równocześnie odpychającej osobowości Van Gogha. Obrazy Mariana, wystawiane w Paryżu, w Hadze, w Monte Carlo, wywoływały najbardziej kontrowersyjne opinie. Obok entuzjastycznych recenzji ukazywały się w prasie słowa potępienia, a nawet szyderstwa. W moim przekonaniu Marian był genialny, toteż nie szczędziłem pieniędzy na zaspokojenie jego potrzeb. Szczególny mój podziw budziły miniatury na kości słoniowej w stylu malarstwa staropierskiego. Materiał, który mu do tego służył, pochłaniał

znaczne sumy, zwłaszcza że Marian przy najmniejszym potknięciu deptał albo rozbijał młotkiem kosztowne krawki kości słoniowej.

Pozory podobieństwa opierały się więc tylko na zbliżonych rysach twarzy, głównie zaś na barwie głosu oraz intonacjach, których rzekomo nie sposób było odróżnić. Tyle tylko, że ja mówiłem swobodniej, składniej i szybciej niż Marian, który wysławiał się z pewnym trudem i jakby rozmyślnym niedbalstwem. W każdym razie zdarzało się, że dalsi znajomi brali Mariana za mnie, ale — co musi wydać się dziwne — nigdy nie przytrafiło mi się, aby mnie wzięto za Mariana.

Klarę poznaliśmy równocześnie w dość szczególnych okolicznościach. Podczas oblężenia Warszawy, pod koniec września 1939 roku, przemykaliśmy się ulicą Poznańską, opodal domu, w który ugodziła niemiecka bomba. Z zawalonych piwnic wychodzili ludzie obsypani pyłem, biali jak widma. Nie wszyscy ocalili. Pomagaliśmy przy wydobywaniu z gruzów zabitych i rannych. W jednym z piwnicznych korytarzy natknęliśmy się na kobietę przywaloną belką. Dawała jeszcze oznaki życia. Wynieśliśmy ją na ulicę. Pokryta warstwą szarego pyłu, wyglądała jak mumia. Gdy nieśliśmy ją do punktu opatrunkowego, odzyskała przytomność. Nie odniosła większych obrażeń, miała tylko złamaną rękę i prawdopodobnie zgniecione żebra. Sanitariuszki obmyły ją, lekarz ujął rękę w łubki i nałożył bandaż. O gipsie nie było mowy. Tak poznaliśmy Klarę.

Pod koniec roku spotkałem ją w kawiarni

— 78 —

„Boccaccio”. Siedziała w towarzystwie adwokata Romanowskiego, z którym niegdyś przemierzałem Tatry i który podczas wspinaczki wyratował mnie z ciężkiej opresji. Podeszedłem, żeby się z nim przywitać. Klary nie poznałem. Romanowski mnie przedstawił.

— To przecież pan — powiedziała Klara — a raczej jeden z panów. Wtedy sądziłam, że dwoi mi się w oczach. Byliście tak do siebie podobni. Zapewne bracia. Mam wobec panów nie spłacony dług wdzięczności

Nie poznawałem jej w dalszym ciągu. Ta olśniewająco piękna kobieta niczym nie przypominała zasypanej, zmaltretowanej istoty, wydobytej z gruzów.

Dopiero po dłuższej chwili przypomniałem sobie wydarzenie na Poznańskiej. Więc to była ona? Ta piękność! Wraz z Marianem przywróciliśmy światu ten klejnot, który miał nas później poróżnić?

Gdy po pewnym czasie Romanowski przesiadł się na chwilę do sąsiedniego stolika, powiedziałem na pół żartem:

— Czy pani wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia?

Klara wybuchnęła śmiechem.

— W ogóle nie wierzę w miłość. Nigdy jej nie przeżywałam. Jestem zimną intelektualistką, chociaż Paweł nazywa mnie wręcz czarownicą.

• —ts Chyba czarodziejką...

— Nie, właśnie czarownicą. Wiedźmą, która jeździ na miotle i na Łysej Górze warzy trujące zioła. Ale nie sądzę, abym była aż tak interesująca. Paweł jest po prostu pochlebcą.

Do kawiarni weszli dwaj żandarmi. Przeszli wolno pomiędzy stolikami, zatrzymali się przy mnie i zażądali dokumentów. Pokazałem jednemu z nich dowód osobisty. Wpatrywał się w Klarę i nie oglądając dowodu rzucił go na stół, potem szepnął coś swemu towarzyszkowi i obaj przez dłuższą chwilę beczelnie przyglądali się Klarze.

Krew uderzyła mi do głowy, zacisnąłem palce na marmurowej popielniczce. Otrzeźwił mnie głos Klary:

— Błagam pana... Czy pan oszalał? Kiedy żandarmi wyszli, powiedziałem:

— Tak. Oszalałem.

Zrozumiałem, że trujące ziele czarownicy dostało mi się do krwi.

Opowiedziałem Marianowi o naszym spotkaniu i nazajutrz poszliśmy razem z wizytą do Klary. Mieszkała u ciotki, korpulentnej i gadatliwej paniusi, uczesanej w pretensjonalne loczki. Rodzice Klary pozostali w Wilnie, gdzie jej ojciec był profesorem uniwersytetu. Podzielił później los innych swoich kolegów.

Ciotka, pani Antonina, przyjęła nas kolacją i kazała nieustannie zachwycać się Klarą.

— Jej matka też była taka piękna. Kiedy mieszkała w Nicei, księżę Jusupow przyjechał specjalnie, żeby na nią spojrzeć. Mogła zrobić karierę, ale nie słuchała mnie i wyszła za mąż za geologa. Rozumiecie, panowie? Za geologa. O, Klara nie robi takiego głupstwa. Klara to brylant czystej wody, który wymaga wyjątkowej oprawy. Po wojnie obowiązkowo zawiozł ją do Paryża. Niech sobie wybiję z głowy te bakterie. Zrobię z niej wielką panią, będzie mieszkała na Riwierze i jeździła Rolls-Roycem. A tu w Polsce tylko się zmarnuje. Tak jak jej matka.

Klara mitygowała panią Antoninę, obracała w żart jej nietaktowną paplaninę, patrzyła na nią błagalnym wzrokiem, wreszcie nie wytrzymała i rzekła niespodziewanie ostrym tonem:

— Dość Już, ciociu, dość. To wszystko Jest nie do zniesienia.

Pani Antonina zamilkła urażona.

Odczuwałem głębokie zażenowanie, że Klara, ta kobieta o urodzie godnej pędzla Renoira, musi oganiać się przed naporem banału i pospolitości.

Rozmowa nie kleiła się, zwłaszcza że Marian siedział zamyślony i milczący, a moje pojednawcze słowa brzmiały fałszywie. Umiem być w towarzystwie zajmujący i błyskotliwy, ale tym razem wszystko, co mówiłem, wydawało mi się niezręczne. Klara mnie onieśmielała, czułem się sparaliżowany, jak gdyby niewidzialna ręka zakreśliła magiczny krąg. Z wolna traciłem władzę nad własnym umysłem i sercem.

Zbliżała się godzina policyjna. Dopiero podczas pożegnania, w przedpokoju, Marian wycedził swoje pierwsze i jedyne zdanie >

— Pani twarz nadaje się do miniatury. Pozowanie wymaga wytrwałości.

Przyjrzał się Klarze mrużąc oczy, po czym dodał:

— Tak... Będę panią malował.

Jego słowa zabrzmiały zbyt protekcyjnie i łaskawie, a przy tym narzucały z góry po

stanowienie, które jednak Klara skwitowała milczącym skinieniem głowy.

Znałem styl bycia i obyczaje Mariana, ale teraz jego ton wydał mi się rażący.

— Spytałbyś przynajmniej, czy panna Klara się zgadza — powiedziałem.

Marian spojrział na mnie z pogardliwym zdziwieniem, jak gdyby uważał, że nie doceniam jego wspaniałomyślnego gestu. To on robił łaskę Klarze, on — wielki artysta. Ileż było pychy w tym jednym spojrzeniu! |

Umówiłem się z Klarą po południu w „Simie”. Przedwojenna snobistyczna kawiarnia przyswoiła sobie skrót dawnej nazwy „Sztuka i Moda”. Teraz roiło się w niej od ludzi rozmaitego pokroju i autoramentu. Wśród stałych bywalców można tu było zauważyć artystów i handlarzy walut, panie zajmujące się wymianą stuzłotówek i damy lekkiego prowadzenia, konspiratorów i ukrywających się oficerów, agentów Gestapo i wzbogaconych kombinatorów. Poprzez gwar rozmów, brzęk filiżanek i kieliszków przedzierały się dźwięki muzyki. To Panufnik i Lutosławski grali na dwa fortepiany stare szlagiery. W przerwach koncertu recytował wiersze Mariusz Maszyń- ski. Starali się żyć i przeżyć, ufni w szybkie zwycięstwo aliantów. Bez troski na pozór gwar, muzyka i śmiechy miały w sobie coś z czarnej mszy, coś z determinacji skazańców, przypominały dramatyczną ucztę w czasie zarazy. Połowa z tych ludzi w ciągu następnych

— 82 —

lat okupacji zamilkła na zawsze. Teraz sztuczną wesołością i nadmiernym zgiełkiem zagłuszali w sobie lęk i grozę.

Wpatrywałem się w Klarę obezwładniony jej magicznym oddziaływaniem. Wszystko, co mówiłem, było niezręczne i opaczne. Gesty rąk nie odpowiadały słowom, chyba tylko oczy wyrażały napięcie moich uczuć.

Od trzech miesięcy znajdowałem się pod urokiem Klary. Opanowała moje myśli do tego stopnia, że nie dostrzegałem ani wojny, ani okupacji i jej niebezpieczeństw. Straciłem instynkt samozachowawczy, poczucie czasu i rzeczywistości. Miłość i pożądanie wprawiły mnie w stan maniakałny, odbierały sen, wytrącały z równowagi. Wszystko poza nieustannym pragnieniem widzenia Klary przestało istnieć. Przyjaciele z konspiracji zaczęli ode mnie stronić, wkrótce kontakt z nimi się urwał, ale zdałem sobie z tego sprawę dopiero później, w obozie. Jak lunatyk wystawałem godzinami pod domem Klary, szukając przypadkowego na pozór spotkania... Wierzyłem, że mnie zaczarowała. Byłem opętany czy może po prostu chory z namiętności.

— Klaro, nie mogę bez ciebie żyć — powiedziałem wreszcie, mieszając łyżeczką kawę tak gwałtownie, że wylewała się na spodek. — Kocham cię do nieprzytomności, jesteś jedynym sensem mego istnienia, jesteś dla mnie powietrzem i światłem... Bez ciebie duszę się, ginę...

— Przyrzekłeś nie mówić ze mną więcej na ten temat. Tylko pod tym warunkiem spotkałam się z tobą.

— 83 —

— Klaro, zmiłuj się... Przecież widzisz, jak straszliwie się męczę.

— Nie ma w tym mojej winy. Opamiętaj się, pomyśl, jest wojna, ludzie giną, Gestapo szaleje. Nie czas teraz na takie głupstwa. Weź się w garść. Najlepiej, jeśli przestaniemy się widywać. Zwołaj kelnerkę, chcę stąd wyjść.

Przez następne dni Klara odmawiała spotkania ze mną. I znów wystawiałem pod jej domem, narzucałem się, traciłem poczucie godności. Przysięgałem jej, że powstrzymam się od miłosnych wyznań, żebrałem o litość. I znów Klara godziła się na spotkanie. Próbowałem pozyskać ją ciekawymi opowiadaniem o wyprawach naukowych, o niezwykłych obyczajach i właściwościach różnych rodzajów ptaków. Wieczory spędzałem na lekturze książek, aby wynajdywać tematy do interesujących rozmów. Ale skoro tylko dostrzegałem w oczach Klary błysk przychylności, następowało załamanie. Znów ponawiałem wyznania, burząc sklecone z takim wysiłkiem zaufanie do moich obietnic

•^Jajgorsze jednak były noce. Prowadziłem z Klara urojone dialogi, osiągałem urojone zwycięstwa, tuliłem ją nagą w ramionach. Rozgorączkowany, na wpół przytomny, przeżywałem w wyobraźni upragnione rozkosze. Odczuwałem w m<tegu_m_uśnigęja. obłędu^ Nad ranem zapadałem w sen równy śmierci, a po paru godzinach budziłem się ze ściśniętym sercemL3

Zastanawiałem się nad moim stanem. Zdawałem sobie sprawę z erotycznej psychozy, której ulegałem wbrew rozsądnej analizie jej bezsensu, i snułem coraz to nowe nedorzeczne zamysły.

Klara nie chciała się ze mną widywać. Nie mogła znieść mojej natarczywości. Czaty na ulicy były daremne. Mariana ktoś ostrzegł, żeby się miał na baczności, gdyż pod domem Klary wystaje agent Gestapo. To mnie brano za agenta.

Gdy telefonowałem, Klara odkładała słuchawkę. Gdy dzwoniłem do drzwi, pani Antonina oświadczała przez łańcuch, że Klara wyszła i nie wiadomo kiedy wróci.

Doprowadzony do rozpacz, napisałem do niej list pełen brutalnych zarzutów i zniewag. Potem listownie błagałem ją o przebaczenie, żebrałem łaski, posyłałem kwiaty, których nie przyjmowała.

Od czasu do czasu udawało mi się dopaść ją na ulicy albo przez podstawione osoby zwabić do kawiarni. Wtedy znówu powtarzały się te same sceny. Klara była chłodna i nieprzejednana, a ja zalewałem ją potokiem natarczywych, rozpaczliwych i beznadziejnych? wyznań. Wydawało mi się niepodobieństwem,! aby tak gorące uczucie nie miało w końcu skruszyć jej obojętności.

Po każdorazowym starciu szła szybkim kro-\ kiem do domu, a przy pożegnaniu z obraźli- J wym zniecierpliwieniem wrywała dłoń, do któ- / rej przywierałem w długotrwałym pocałunku. 4

Była bezlitosna, nieubłagana. Twarda i zię mna jak kamień. ~~

Zazdrościłem owym stuprocentowym męż* czyznom, którzy, trafiając na opór ze strony kobiety, ustępują bez walki. Odwracają się na pięcie i szukają szczęścia gdzie indziej. ___)

Marian od dawna wyprowadził się z domu. Tak dalece zaangażował się w sprawy konspiracji, że, aby nie narażać matki i mnie, zmienił zameldowanie, nazwisko i dokumenty. Mieszkał u różnych przyjaciół i niezmiernie rzadko pokazywał się w domu. Zachował jedynie łączność telefoniczną. Pewnego dnia wpadł, żeby zabrać resztki kości słoniowej. Znajdował widać czas na swoją sztukę, która stanowiła jego największą pasję.

Nieobecność Mariana pozbawiła mnie zaufanego powiernika. Pozostała mi tylko matka. Obserwowała moje udreki, ale przez dyskrecję nie zadawała pytań. Z czasem jednak sam ją wtajemniczyłem w moją nieszczęśliwą miłość i nieraz prosiłem, aby telefonowała do Klary. Pani Antonina dawała się wziąć na ten podstęp i prosiła Klarę do telefonu. Dzięki temu miałem możność wymóc na niej krótką rozmowę albo nawet obietnicę spotkania.

Zobaczyła się ze mną po owym obelżywym liście. Nie czuła się nipi doknięta. Przeciwnie, tonem pełnym wyrozumiałości powiedziała:

— Mężczyzna, który naprawdę kocha, nie potrafiłby tak napisać do ukochanej kobiety. Przez ciebie przemawia gorycz i gniew. To nie są dobre uczucia. Nie powinieneś bluźnić.

Bluźnić? Taki miała prawo przemawiać do mnie w ten sposób, skoro uczyniłem ją swoim bóstwem.

— Klaro —■ odrzekłem — cokolwiek się stanie, będę kochał cię zawsze. I będę czekał aż do śmierci. Czy mi wierzysz?

— Wierzę ci i wcale nie lekceważę twoich uczuć. Czekaj. Kto wie, co nam życie jeszcze przyniesie.

Zdawało się, że słowa te mówiła bez obłudy, ale niedaleka przyszłość wykazała ich fałsz.

Pewnej niedzieli spotkałem w „Boccaccio” Pawła Romanowskiego. Czekał na Klarę. Pił wódkę i ręce trzęsły mu się z podniecenia. Odniosłem wrażenie, że jest pijany albo ma gorączkę.

Spoglądał nerwowo na zegarek, stopą wybijał pod stołem potrójny takt. Wreszcie powiedział zduszonym głosem:

— Ta kobieta doprowadza mnie do szaleństwa. Zabiję ją albo siebie.

Klara nie przyszła. Zostawiłem Pawła i przez jakiś czas jeszcze czekałem na ulicy. Byliśmy obaj ofiarami tej samej udreki.

Po kilku dniach dowiedziałem się, że Paweł otruł się luminalem. Przez cztery dni leżał bez przytomności w szpitalu Ujazdowskim. Wreszcie udało się go odratować. Gdy przyszedłem go odwiedzić, wyznał mi słabym głosem:

— Tutejszy ordynator to zacności człowiek. Powiedział mi, że jeśli znajdę się w opresji, będzie mógł mnie zawsze co najmniej miesiąc przetrzymać w szpitalu. On miał co Innego na myśli... Ale ty wiesz... Tylko nie mów nic Klarze.

Paweł miał pod oczami sińce do połowy twarzy. Mówił z trudem. Po chwili przerwy rzekł z rozdrażnieniem:

— Ona ma Jakąś psychiczną skazę... To nie jest kobieta normalna. Widzi świat poprzez okulary mikroskopu. Człowiek Jest dla niej tylko powiększonym mikroblem. Dlatego pasjonuje się bakteriologią. Do ludzi ma wstręt, wierz ml. W tym jej pięknym kształcie nie

ma nic ludzkiego. Czarownica, po prostu czarownica.

Patrząc na Pawła i słuchając jego słów, czułem, jak lodowate igły przeszywają mi mózg. Zrozumiałem, że jestem na granicy podobnej depresji. Ogarnęło mnie pragnienie ratowania się za wszelką cenę. Nie wolno było doprowadzić się do kompletnego rozprężenia nerwów. Najgorsze były noce. Postanowiłem unikać tych nocy, podczas których sam siebie torturowałem obłądnymi urojeniami.

3

W Warszawie w okresie okupacji rozpowszechniły się potajemne domy gry. Nie jest wykluczone, że Niemcy mieli tam swoich konfidentów i może dlatego tolerowali ich istnienie. W każdym razie rzadko zdarzały się wyspy, chociaż kluby czynne były po godzinie policyjnej i gra trwała przez całe noce do rana.

Za studenckich czasów karty stanowiły moją wielką namiętność. Kilkakrotnie zgrałem się jednak do nitki, a raz o mało nie doprowadziłem ojca do ruiny. Wtedy poprzysiągłem sobie nie siadać nigdy więcej do zielonego stolika. Przez wiele lat trzymałem się twardo danego ojcu przyrzeczenia.

Teraz nadszedł przełomowy moment. Zrozumiałem, że namiętność do Klary mogę zwalczyć tylko przy pomocy innej, równie silnej namiętności.

Jeden z moich dawnych znajomych, Jerzy Podbiełło, zamożny niegdyś szlagon i gracz, wysiedlony przez Niemców z majątku, prowadził w swoim obszernym warszawskim mieszkaniu klub brydzowy. Dostęp do niego mieli wyłącznie ludzie dobrze mu znani oraz wprowadzeni przez nich goście.

Obok partii brydża zawsze organizowały się dwa lub trzy stoliki pokera. To był właśnie mój żywioł i moja namiętność. Stałem się codziennym bywalcem klubu i w kartach znajdowałem całkowite zapomnienie. Bezsennie spędzane noce przestały być męczarnią, przeciwnie, przynosiły ukojenie moim starganym nerwom. Zapamiętywałem się w grze i oddawałem się we władanie kart

Kto sam nie jest graczem, ten nigdy nie pojmie, na czym polega ich szatańska magia. Najbardziej zrównoważony racjonalista musi po pewnym czasie poddać się jej nieubłaganemu oddziaływaniu.

Niech sobie mędrkowie przywołują do pomocy teorię wielkich liczb, teorię prawdopodobieństwa, wszystkie możliwe filozofie świata. My, gracze, wiemy, że żadna z nich nie potrafi wytłumaczyć osobliwych fenomenów, objawiających się w układach kart, w ich przemyślnej złośliwości, w cyklicznych passach i depassach.

Jestem przyrodnikiem, wyznawcą empiriokrytycyzmu i dialektycznego pojmowania zjawisk. A mimo to, albo może właśnie dlatego, przyjąłem za pewnik, że diabelskie siły w tym jednym jedynym wypadku dochodzą do głosu.

Różne istnieją wersje o powstaniu kart. Wynalezienie ich przypisuje się Chaldecykom, Egipcjanom, Żydom; Cyganom. Najbliżsi jednak prawdy są ci, którzy je przypisują dia-

blu. I chociaż rozum odrzuca tę myśl jako niedorzeczna, sama rozbieżność w dociekaniach badaczy nadaje jej pozory prawdopodobieństwa. Nigdy nie przyznałbym się do takiej małoduszności, gdybym przez szereg lat nie doświadczał na sobie stale i zawsze jednakowo złośliwej igraszki pięciu kart.

Czy można w sposób logiczny i rozsądny wytłumaczyć uporczywe pojawianie się dwóch siódemek w kilkudziesięciu kolejnych rozdaniach? Czy można pojąć, dlaczego jedna z dokupowanych kart, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, jest siódmką pik? Dlaczego siódemka jest zawsze pierwszą z otrzymywanych w rozdaniu kart? Dlaczego kombinacja z trzech czy nawet czterech siódemek musi za każdym razem przynieść przegraną?

To ja właśnie od lat byłem ofiarą tych przeklętych układów i nie zdarzało się, abym zdołał uniknąć ich wyrafinowanej przewrotności.

Tylko gracz może mnie zrozumieć i dla graczy przeznaczam te wynurzenia.

Mógłby ktoś podejrzewać, że zbyt gwałtowne namiętności doprowadziły mnie do zachwiania równowagi umysłowej. Takie posądzenie byłoby bezpodstawne. Wprawdzie doznałem silnego szoku w wypadku samochodowym, ale wszystkie późniejsze badania wykazały całkowitą równowagę psychiczną.

Tak więc noce spędzałem w klubie. Nad ranem wracałem do domu śmiertelnie znużony i zasypiałem twardym snem. Nie nękały mnie Już wyczerpujące erotyczne wizje. W moich snach przewijały się postacie przeistoczone w asy, walety, dziewiątki. Niezliczone kombinacje figur, honorów i błotek roily się w uśpionej wyobraźni. Namiętność gracza brała powoli górę nad niezaspokojoną namiętnością mężczyzny.

Mój ojciec był wziętym architektem. Swoje znaczne dochody lokował w nieruchomościach. Ale dopiero po jego śmierci dowiedzieliśmy się, jak pokaźny majątek nam pozostawił. Podczas okupacji w miarę potrzeby sprzedawaliśmy place rozsiane na dalekim Mokotowie, na Żoliborzu, na Pradze. Mogłem więc pozwolić sobie na to, żeby grać i przegrywać. A przegrywałem stale. Stale padałem ofiarą fatalnych siódemek, które prześladowały mnie i pastwiły się nade mną jak pająk nad muchą.

Grywałem zazwyczaj w partii, do której należał pewien adwokat z Siedlec oraz szpakowaty pan, podający się za rotmistrza, a także właściciel baru kawowego i znany warszawski księgarz.

Skład partii nie był oczywiście stały. Partnerzy się zmieniali. Niezmienna była tylko moja depassa i nieprzewyciężony pech.

Z asowym fulem trafiałem na cztery siódemki, z czterema siódmkami przegrywałem do czterech waletów. Siódemki w walce ze mną święciły swoje tryumfy. I nie tylko one. Szczególnie utkwilo mi w pamięci jedno spotkanie. Dostałem cztery asy z ręki. Dwaj partnerzy uporczywie przebijali otwarcie. Moje przebicie było ostatnie. Obaj dokupili po dwie karty, a więc tym razem musiałem wygrać. W puli piętrzył się stos banknotów. Zgrałem z najwyższej stawki. Rotmistrz odpadł, ale mecenas przebił. Dodałem, gdyż nie lubię pastwić się nad partnerem. I wtedy ujrzałem

na stole wyłożonego pokera. A więc ten szaleniec z trzema kartami w kolorze wytrwał pomimo wysokich przebitok do końca. I wygrał!

Niefortunne spotkania podsycaly jeszcze bardziej moją pasję gry. Czulem niemal namacalnie, jak demon hazardu zapuszcza we mnie swoje macki, doprowadza nerwy do stanu najwyższego napięcia, a z zapadnięciem zmierzchu ciągnie za włosy do klubu.

Teraz Klara zaniepokoiła się moim pozornym zubożeniem. Zagrała w niej zapewne zwykła kobieca próżność. Niespodziewanie zadzwoniła, żebym przyszedł w południe na Puławską do baru kawowego. W rozmowie z nią byłem sarkastycznie błyskotliwy, starałem się okazywać jej galanterię bez dawnej sentymentalnej wylewności, trzymałem się na wodzy, aby jej nie spłoszyć. Ale wewnątrz znowu dygotałem z pożądania.

Zaprosiłem ją na przekąskę do małej restauracyjki na rogu Puławskiej i Malczewskiego. Wypiliśmy po parę wódek. Wpływ alkoholu, a zwłaszcza obecność Klary wprawiła mnie w stan nienaturalnej wesołości. Opowiadałem jej beztrosko zmyślane historie o ptakach, które z miłości rozpruwają sobie pierś i zżerają własne serce. Mówiłem też o moich nocnych eskapadach, o magii kart, o tyranii siódemek. Zbyt przejryste aluzje obracałem w żart i oboje śmialiśmy się z tych bzdurnych opowiadań.

Po wyjściu z restauracyjki szliśmy ulicą Puławską. Na placu u wylotu ulicy Szustra ujrzelismy karuzelę. Rozochocony zaproponowałem Klarze przejażdżkę na drewnianych kołach. Klara kategorycznie odmówiła. Karuzela stała nieruchoma, gdyż letni, gorący dzień i wczesna południowa pora nie zachęcały nikogo do zawrotnej jazdy. Wobec tego wręczyłem właścicielowi karuzeli i sam z fantazją dosiadłem rumaka. Maszynaria ruszyła i oto wirowałem w koło posyłając Klarze pocałunki. Stała na chodniku i śmiała się wesoło, gdyż robiłem głupie miny, a poły marynarki rozwiewały mi się na wietrze jak pokraczne skrzydła. Udałem ptaka, który pożera samego siebie.

Naraz na placu powstał popłoch. Ze wszystkich stron zajęchały budy. Wskoczyli z nich esesmani i zaczęła się łapanka. Ludzie puciekali do bram, znikła Klara, ulotnił się właściciel karuzeli. Esesmani, wymachując rozpylaczami, zagarniali wszystkich, kto nie zdążył uciec. Wrzeszczeli, popychali kolbami opieszalych przechodniów i wpychali ich brutalnie do bud.

Kręciłem się na karuzeli z przerażeniem w sercu, bez możliwości zatrzymania się ani ucieczki.

Jeden z esesmanów podbiegł do karuzeli i krzyczał z wściekłością:

— Haiti Haiti

Obracałem się jednak dalej, obejmując kurczowo drewniany łeb.

— Haiti Haiti — wrzeszczał esesman i parokrotnie wystrzelił z pistoletu, celując we mnie.

Po kwadransie budy, załadowane ludźmi, zaczęły odjeżdżać. Esesman strzelił jeszcze dwukrotnie w moim kierunku, machnął ręką

i wskoczył do samochodu. Na opustoszałym placu zostałem sam jeden na wirującej karuzeli.

Upłynęło sporo czasu, zanim wystraszeni przechodnie wylegli znów na ulicę. Niebawem ukazała się również Klara. Stała oparta o mur i chusteczką wycierała twarz. Plac znowu zappełnił się ludźmi. W sąsiednich ulicach odbywał się już normalny ruch, a ja wciąż wirowałem na karuzeli, z rozwianymi włosami i dojmującym szumem w głowie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, tylko Klara wyciągała ręce i dawała mi rozpaczliwe znaki. Byłem przekonany, że właściciel karuzeli padł ofiarą łapanki i nikt już nigdy nie zatrzyma tej piekielnej maszyny. Wreszcie jednak zjawił się także i on. Karuzela zaczęła zwalniać obroty, potem zatrzymała się. Zszedłem na ziemię zataczając się jak pijany. Klara podbiegła do mnie i w tym właśnie momencie dostałem gwałtownych torsji. Wymiotowałem na jej białą bluzkę, nie mogąc w żaden sposób opanować mdłości. Klara wycierała się pośpiesznie, z grymasem obrzydzenia. Zatrzymała przejeżdżającą riksę i odjechała.

Po tej żalostnej przygodzie czułem się pogrzebany w jej oczach. Wszystko było stracone. Zamach samobójczy Pawła mniej był kompromitujący niż moje wymioty.

W klubie grałem tego dnia po wariacku, bluffowałem bez sensu. Upierałem się przy damie karowej i pozbywając się wszelkich szans dokupywałem do niej cztery różne karty. Rano wróciłem zgrany do domu i zapadłem w sen pełen koszmarów. Śnił mi się wielki pająk, który wysysał ze mnie krew. Miał siedem pikowych nóg i głowę Klary.

W południe obudził mnie osobliwy gość. Matka wprowadziła go do mego pokoju, chociaż jeszcze leżałem w łóżku.

— Pan mówi, że ma do ciebie jakąś niezwykle ważną sprawę.

Poznałem w nim bywalca klubu. Był to starszy jegomość, cierpiący na astmę, niepozorny, o bezbarwnej twarzy. Podawał się za pracownika elektrowni. Grywał w taniego brydża, ale potrafił też godzinami kibicować przy pokerze. Sam nigdy do pokera nie siadał.

—To dla mnie za droga zabawa — mawiał, gdy nam zabrakło piątego i zapraszaliśmy go do gry.

Po wyjściu matki usiadł, przysunął krzesło do mojego łóżka i powiedział poufnym tonem:

— Przyszedłem, żeby wyjawić panu całą prawdę. Do waszego klubu wcisnęli się szulerzy.

Wiadomość ta wydała mi się nieprawdopodobna, gdyż Podbiełło przyjmował u siebie tylko ludzi znanych albo z poważnej rekomendacji.

— Skąd pan to wie? — zapytałem.

— Stąd, że sam jestem szulerem. Ale tamci oszukali mnie przy podziale. Dlatego postanowiłem ich wyspać.

— Któż to są ci szulerzy? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Rotmistrz i mecenas. Ani pierwszy nie jest rotmistrzem, ani drugi adwokatem. To tyl-

ko tok się mówi dla wzbudzenia zaufania. Trzeba panu wiedzieć, te szulerzy nigdy nie działają w pojedynkę. Ten, co rozdaje karty, podrzuca drugiemu odpowiednie kombinacje, a kibic pomaga. Daje umówione znaki.

Po tym wstępie mój dziwny gość wyjął z kieszeni talię kort i ujawnił mi wszystkie szulerskie chwyt, na pozór proste, ale wy magające wielkiej zręczności. Ten, co rozda je karty, nigdy nie wchodzi do gry. To odsuwa podejrzenia. Wspólnicy początkowo udają że się nie znają wzajemnie. Po uroczystej prezentacji początkowo uchylają się od uczestnictwa w tej samej partii, Trzeba ich prosić namawiać. Te skomplikowane manewry mają uspić czujność graczy. Po czym współpraca ich przebiega bez zakłóceń.

O wizycie szulera opowiedziałem Podbielle. Sytuacja była skomplikowana. Zdemaskowanie szulerów i usunięcie ich z klubu uznaliśmy za zbyt ryzykowne. Mogli przez zemstę nasłać Gestapo. Podobny wypadek zdarzył się w klubie Elny Gistaedt. Uchroniło ją szwedzkie obywatelstwo.

Trzeba więc było pogodzić się z obecnością szulerów. Siadałem z nimi do pokera, patrzyłem im na ręce, nie zdołałem jednak zauważyć nic podejrzanego. Obrabiałem więc inny system. Wchodziłem do gry tylko wtedy, gdy karty rozdawałem ja albo księgarz. W rezultacie zacząłem wygrywać, chociaż siódemki przesładowały mnie nadal. Prawdę mówiąc, te igraszki z szulerami obudziły we mnie nową odmianę namiętności. Pasjonowałem się dodatkowo zmyślną metodą przechytrzania oszustów.

Po co to wszystko opowiadam? Czy można zagłuszyć miłość i zaspokoić nienasycony głód serca przy pomocy magii kart, w dodatku gdy Ją wspomagają szulerskie sztuczki?

Tęsknota dręczyła mnie ze zdwojoną siłą. Nie mogłem dłużej panować nad sobą, Poszedłem któregoś dnia do Klary, ukląknąłem przed nią i przyłgnąłem ustami do jej stóp. Klara stała wyniosła i niewzruszona.

4

Jesienią 1941 roku Marian, po kilku tygodniach milczenia, zjawił się niespodziewanie późnym popołudniem.

Matka drżała z niepokoju o niego, nie mogła więc ukryć wzruszenia i z wypiekami na twarzy krzątała się przy nim, okazując mu przesadną czułość. Marian był małowówny jak zwykle. Dopiero gdy wręczyłem mu Jego część ze sprzedanego ostatnio placu, z zadowoleniem schował do kieszeni plik „górali”, ożywił się i wesołe iskierki zamigotały mu w oczach.

— Niemcy zajęli Kijów — powiedział po chwili i znowu spoważniał.

Matka zaczęła go wypytywać o jego sprawy. Gdzie mieszka, gdzie jada, czy nie zanadto się naraża?

Odpowiadał wymijająco i nagle, Jakby chodziło o rzecz bez znaczenia, rzucił mimochodem:

— Ach, prawda... Chciałem was zawiadomić, że jutro rano jest mój ślub... O ósmej u Wizytek. Mama nie musi tak wcześnie się

7 — Opowiadania J. B. — 07 —

zrywać, ale ty przyjdź, będziesz moim świadkiem.

Wiadomość ta była tak nieoczekiwana, że matka aż podskoczyła na krześle:

— Żenisz się? W tych czasach? Z kim?

— Wiktor Ją zna — powiedział Marian wskazując na mnie. — To Klara Popielska.

Oniemiałem. Matka zagryzła dolną wargę, a twarz jej wyrażała taką konsternację, w oczach było tyle przerażenia, że Marian zerwał się od stołu i zamachał ręką, jak gdyby chciał usunąć niewidzialną zaporę.

— Mamol Okupacja to nie tylko walka i wyczekiwanie na lepszą przyszłość. Ludzie muszą pracować, uczyć się, kochać, zakładać rodziny. Muszą mieć zwykły dzień powszedni. Taka jest normalna biologiczna konieczność. Bimber i karty to nie jest droga do przetrwania.

Spoglądałem na brata, który był rzekomo bliźniaczko do mnie podobny, z uczuciem wzbierającej nienawiści. Nie wiem, co malowało się na mojej twarzy, gdy matka zawołała:

— Wiktorze! Błagam cię! Boże mój, Boże!

— Dobrze — powiedziałem z udanym spokojem. — Będę jutro na ślubie.

Po tych słowach wyszedłem do łazienki i długo zlewałem sobie głowę zimną wodą. Zrezygnowałem z pójścia do klubu. Demon gry na próżno usiłował zapuścić we mnie swoje szpony.

Po ślubie pani Antonina wyprawiła skromne weselne śniadanie. Przyniosłem kwiaty i dwie butelki francuskiego szampana. Zachowywałem kamienny spokój, a raczej moje serce zamieniło się w kamień.

Oprócz osób najbliższych obecna była Zuzanna, młoda lekarka, przyjaciółka Klary, oraz daleka jej krewna, Guga, ładna i zalotna, ale nieznośnie krzykliwa. Wreszcie — Paweł Romanowski. Jego twarz, blada i posepna, odznaczała się typowo męską urodą. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że jest to człowiek mocny i pewny siebie. I ja jeden znałem słaby, nieodporny charakter Pawłaj Tego dnia jego świetne obycie towarzyskie pozwoliło mu zachować się swobodnie i niewymuszenie. Brylował przy stole, dowcipkował, wygłosił błyskotliwy toast, ale wszystko, co mówił, przepojone było sarkazmem. Nie chciało się po prostu wierzyć, że Klara mogła go odtrącić, tak bardzo górował nad Marianem, który przy nim wydawał się nieokrzesanym prowincjuszem. Wobec Pawła ja także odczuwałem swoją niezręczność. Siłłem się na dowcip, starałem się emablować Gugę, ale w niczym nie mogłem zachować umiaru i z przesadnej egzaltacji wpadałem w płaskie banały. Na szczęście wszyscy byli trochę wstawieni i moje nieudolne popisy ginęły w ogólnym gwarze.

Klara, zaróżowiona, promienna, na ten dzień pozbyła się swego wrodzonego chłodu. Stała się jakaś dziewczęca i ludzka. Zachwycająca. (Patrząc na nią chciało się ją pojąć lub umrzeć[^]) Wymieniłem z Pawłem spojrzenia i zrozumieliśmy się bez słów.

Gdy wstaliśmy od stołu, Klara zaprosiła nas na kawę do swego pokoju. I tu przed naszymi oczami roztoczył się cud. Na ścianie wisiła kilkanaście miniatur, dokładnie — czternaście,

a każda z nich przedstawiała wizerunek Klary, za każdym razem innej. Dopiero w komplecie oddawały osobliwą zmienność rysów tej zadziwiającej twarzy, której syntezą udało się Marianowi utrwalić niemal genialnie. Porównanie z Coswayem czy Isabeyem byłoby tu nie na miejscu. Zamarliśmy w podziw. Nawet gadatliwa pani Antonina, nawet hałaśliwa Gu- ga w milczeniu przyglądały się arcydziełom, które nazwałbym Galeria Kłara. Zrozumiałem, że tak niąposipolity artysta mógł zawładnąć jej sercem.

— To wszystko jest nieudane — rzekł Marian stropiony naszym milczącym podziwem. — Muszę zacząć od początku. Spróbuję teraz malować na porcelanie.

Widziałem jego twarz, a równocześnie moją własną, odbitą w lustrze. Byliśmy w tym momencie uderzająco do siebie podobni. Ale Klara patrzyła na Mariana.

Przypomniały mi się jej okrutne słowa:

— Czekaj. Kto wie, co nam życie jeszcze przyniesie...

Już wtedy, gdy to mówiła, musiała być zakochana w Marianie.

Czy wierzyście w demony? Czy może wierzyć w demony przyrodnik, racjonalista i empiryk?

A jednak demon pokierował moją ręką. Porwałem ze stołu butelkę benedyktyna i z całych sił ugodziłem nią w sam środek Gallerii Klary. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i plaśnięcia spadających miniatur. Gęsty likier spływał po ścianie. Kątem oka zdążyłem zobaczyć osuwającą się na fotel matkę- Odepchnąłem Klare, wyrwałem się z rąk

Pawła i zostawiając za sobą czyjeś wołania i krzyki, wybiegłem na ulicę. Zdyszany wpadłem do klubu. Byłem prawdopodobnie kompletnie pijany.

Rotmistrz i mecenas, cedząc kawę, czekali na partnerów. Zawołałem prowokująco:

— Panowie szulerzy! Wyzywam was na ostrą grę. Proponuję dwudziestomarkowego pokera. Macie szansę, bo jestem kompletnie pijany.

— Widać to — rzekł spokojnie rotmistrz. — Tylko dlatego nie dostanie pan ode mnie po pysku.

— Kruk krukowi oka nie wykołę — powiedziałem z nonszalancją i kazałem przynieść karty. Podbiegło, aby załagodzić przykry incydent, usiadł z nami do gry. Zdemaskowani przeze mnie szulerzy zrezygnowali widocznie z podejrzanych chwytów i grali każdy na własną rękę.

Siódemki osaczyły mnie jak zwykle, ale tym razem sprzymierzyły się ze mną. Z dwóch par układały się w fule, roily się po trzy i po cztery, przynosząc mi za każdym razem wygraną. Demon gry zląkł się widocznie, że mogę wymknąć się spod jego władzy, jak to było dnia poprzedniego. Przede mną rósł stos banknotów, na których mi nie zależało. Przegrałem największą stawkę mojego życia.

Okolo północy poszedłem do kredensu zamówić kawę. Był to duży, ponury pokój, wypełniony ciężkimi meblami w stylu gdańskim. Na jednej ze ścian wisiała w rzędach cenna kolekcja porcelanowych i fajansowych talerzy. Paliły się tylko boczne kinkiety. Zaszyty w najdalszy kąt, nad szklanką wód-

ki siedział Marian. W pierwszej chwili nie poznałem go, tak był zmieniony. Nie potrafiłbym opisać tej twarzy ze skamieniałym, bolesnym grymasem, z obwisłą dolną wargą i martwym spojrzeniem, jak u trupa. Widok Mariana w klubie, gdzie nigdy dotąd nie bywał, w porze, na którą przypadała jego noc poślubna, obudził we mnie najgorsze przeczucia. Czyżby przyszedł porachować się ze mną za mój niepoczytalny, pijacki wybryk? Jednak szklany jego wzrok nie wyrażał gniewu. Skinął na mnie i wskazał krzesło stojące obok. Przez chwilę milczeliśmy obaj, patrząc sobie w oczy:

— Wytrzeźwiałeś? — spytał Marian.

■— Tak, wytrzeźwiałem... Nienawidzisz mnie? Zachowałem się jak chłystek.

— Nieważne. Wszystko jest nieważne. Idą w twoje ślady. Staczanie się rozpoczynam od klubu.

Znowu zapadło milczenie.

— Marian, czy stało się coś złego? Powiedz. Przecież coś musiało się stać.

— Nie, nie teraz... Nie pytaj... To wszystko jest straszne... Okropne... Można oszaleć... Nie dążyłem do małżeństwa... Ze względu na ciebie... ale znasz Klarę... była piekielnie zasadnicza. Nic bez ślubu. Zgodziłem się na wszystko... Zrobiła ze mnie szmatę.

— Więc co zaszło między wami? — spytałem drżąc z niepokoju i zniecierpliwienia, aby dowiedzieć się prawdy.

— Błagam cię, nie pytaj... Może kiedy in- dziej... Teraz nie mogę... Uciekłem, widzisz. To było potworne. Muszę zebrać myśli.

Opróżnił szklankę i poszedł po następni

Zauważyłem, że chwieje się na nogach. Zawołałem:

— Marian I Dostyc 1 Nie pij już więcej. Będzie ci gorzej.

— Nie może być gorzej, niż jest.

— Ale Klara I — zawołałem — Co z Klarą?

— Jest wolna. Wracaj do swoich kart. Później tam przyjdę.

W tym momencie u drzwi frontowych rozległy się gwałtowne dzwonki. Gwar dobiegający z sąsiednich pokojów ucichł. W drzwiach zobaczyłem mundury i czapki gestapowców.

Jedno kopnięcie hitlerowskiego buta unicestwiło w jednej chwili demona namiętności i demona gry.

5

O kacetach pisało się już wiele. Tuż po wojnie dwa zeszyty moich zeznań z pobytu w Oświęcimiu posłużyły prokuraturze jako materiał dowodowy w procesie norymberskim, a potem w procesie Hoessa. Działałem w obozowym ruchu oporu, dzięki czemu lepiej od innych poznałem cały tragizm obozowego życia i śmierci, cały mechanizm ludobójstwa.

Teraz pragnę wspomnieć jedynie losy mego brata Mariana.

Jego załamanie psychiczne postępowało tak niewiarygodnie szybko, że już po dwóch miesiącach, pomimo największych moich wysiłków i starań, stał się cieniem człowieka. Sypialiśmy na jednej pryczy, pod jednym kocem, i żarły nas te same wszy. „Eine Laus — dein Tod.” Zdobywałem dla Mariana dodatkowe

porcje zupy, oddawałem mu własny chleb, żeby go jak najdłużej utrzymać przy życiu. Korzystając z naszego bliźniaczego podobieństwa, wzięłem na siebie wyznaczoną mu karą chłosty. Od jugosłowiańskich towarzyszy wybrałem dla niego ciepłe skarpetki, starałem się wszelkimi siłami podtrzymać go na duchu, aczkolwiek prosił, żebym się nim nie zajmował, gdyż nie ma po co żyć. Spoglądał na swoje delikatne ręce artysty, odmrożone i całe w ranach.

— Myśl o sobie. Ze mnie już nic nie będzie.

A ja? Tak, ja chciałem przetrwać. Rozstanie Mariana z Klarą obudziło we mnie nowe nadzieje. Pamiętałem jej słowa:

— Czekaj... Kto wie, co nam życie jeszcze przyniesie?

Próbowałem raz i drugi wyciągnąć Mariana na zwierzenia. Nie byłem w stanie dociec, co mogło zająć między nim i Klarą, jaki dramat krył się w ich jednodniowym małżeństwie.

Moje natarczywe pytania wywoływały w nim zniecierpliwienie i rozpacz.

— Wiktor, nie dręcz mnie, Czy ci nie dość apeli, pieców, tych nieludzkich okropności? Jeszcze musisz zadawać mi dodatkowe tortury? jPrzestałem istnieć jako człowiek. Nie mam wczoraj ani jutra. Moje życie dobiega końca. Daremne twoje wysiłki. Ja nie chcę żyć. Rozumiesz? j _

Nie d^wał się ratować. Przyjmował ciós w z samobójczą biernością. Nie stawiał im opo-1 ru. Ginał samochcąc.

Spośród osób, wygarniętych owej pamiętnej nocy z klubu, w tym samym bloku znalazł się mecenas, który wkrótce, dzięki świetnej znajomości niemieckiego, zdobył sobie wygodną funkcję. Przez długi czas grał ze śmiercią, oszukiwał ją i wygrywał. Dopomógł mi też w umieszczeniu Mariana w bloku szpitalnym, czyli tak zwanym rewirze. Drugi mój wierny przyjaciel — rotmistrz, okazał się doświadczonym majstrem stolarskim i pracował przy budowie nowego baraku. Dobrych fachowców w jakimś sensie ceniono, a raczej oszczędzano. Dostawałem od niego codziennie łyżkę pokostu, ohydneho w smaku, ale cennego ze względu na zawartość tłuszczu. Nieszczęsny Marian, niestety, nie mógł go przełknąć, podczas gdy ja robiłem wszystko, co możliwe, żeby przeżyć. Klara jak dobry duch dodawała mi wytrwałości, a myśli o niej podtrzymywała we mnie słabnące siły psychiczne.

Ludziłem się nadzieją, że moje bliźniacze podobieństwo do Mariana pozwoli mi go zastąpić w jej sercu. Ulegając tym mrzonkom, nie czułem wyrzutów sumienia. Przecież rozstali się bez mojej winy i miejsce przy Klarze było wolne.

W połowie lutego Marian podpadł jednemu z esesmanów, który skatował go, a potem kazał oblać wodą i postawić na mrozie. Gdy moje komando wróciło z pracy na obiad, dowiedziałem się od mecenasa, że Marian znalazł jeszcze w sobie dość sił, by dowiec się do drutów i na nich zakończyć obozowe męczarnie. Tak umarł mój ukochany brat, a polska sztuka straciła jednego z największych swoich artystów.

Dzięki sprytowi mecenasa i staraniom rotmistrza udało mi się przyłączyć do grupy stolarzy. Odtąd pracowałem pod dachem, co

chroniło przed zimnym wichrem, śniegiem i deszczem. Za drobne wyroby z drzewa dostawaliśmy od kucharza dokładkę z dna kotła, gdzie zupa była najgęstsza. Do zupy dolewaliśmy zawsze trochę pokostu. Okraszona w ten sposób zawierała bądź co bądź nieco więcej kalorii. Kapo, przekupiony przez nas parą butów, które przemycił mecenas, patrzył przez palce na ubywający stale pokost.

W wolnych chwilach grywałem z rotmistrzem w kości, misternie wycięte z drzewa. Stawką w grze było jedno „sztachnięcie”. Rotmistrz nie potrafił oprzeć się pokusie, i tutaj także zaczął szachrować. Przyłapałem go, jak zręcznie podmieniał kostkę na inną, ukrytą w rękawie. Miała z jednego "boku wbity kawałek ułamanej szpilki, dzięki czemu mój niepoprawny szuler za każdym razem wyrzucał szóstkę.

Tak działo się w obozie. Dzisiaj, po zdobyciu przy mojej pomocy niezbędnych kwalifikacji, rotmistrz oajmuje odpowiedzialne stanowisko w jednym z przedsiębiorstw budowlanych. Jest powszechnie szanowany i, jak twierdzi, kart używa wyłącznie do zabawy z dziećmi. Ma ich dwoje, a ja jestem chrzestnym ojcem jednego z nich. Nasz przyjaciel mecenas nie dożył końca wojny, chociaż wielu skazańców uratował od śmierci. Demon gry nie przyszedł mu w niedoli z pomocą.

Wybiegłem nieco naprzód, mówiąc o późniejszych losach moich przyjaciół. A tymczasem nasze życie obozowe przebiegało ze zmiennym szczęściem. Wymagało sprytu, odwagi, przemyślności, szybkiej orientacji. Najlepiej udawało się to rotmistrzowi. Potrafił w każdej sytuacji zmylić czujność esesmanów, blokowych, kapów, aby zorganizować nieco żywności. Mieliśmy zawsze dodatkowe porcje chleba, a często nawet cebulę, kawałek kielbasy i papierosy. Był niewyczerpany w najzuchwalszych pomysłach i dbał o swoich pupilów jak dobry szef. Raz jeden tylko oberwał. Stracił wtedy prawe oko i kilka zębów.

Ja brałem wielokrotnie potężne cięgi. Skoro jednak żyję i nie doznałem żadnego kalectwa, mogę przypisać to wyjątkowemu szczęściu. Przecież spędziłem w Oświęcimiu prawie trzy i pół roku.

Po Powstaniu Warszawskim przybył do naszego lagru transport nowych więźniów. Postawa ich mogła budzić wiele zastrzeżeń, ale byliśmy przede wszystkim spragnieni wiadomości o samym powstaniu, o Warszawie, o losach naszych bliskich. Kontakt z nowo przybyłymi początkowo był utrudniony, jednak my, starzy więźniowie, wszędzie mieliśmy swoich ludzi.

Po kilku dniach mecenas kazał mi przyjść wieczorem na tyły jednego z bloków, gdzie można było bezpiecznie ukryć się za stosem desek.

— Wiktor, to ja — usłyszałem w ciemnościach znajomy głos. — Poznajesz mnie? Paweł.

To był Paweł Romanowski.

Długo ściskaliśmy sobie ręce. Październikowy chłód wydał mi się ciepłym powiewem.

— Paweł, mów... Co z matką? Co z Klarą?

—• Mają cię za umarłego. Klara po śmierci

Mariana stawiała na głowie, żeby cię stąd wydostać... Przez dyrektora „Bristolu” dotarła do

samego Fischera... Obiecał jej... A ipotem oświadczył, że już za późno... Matce doręczono urnę z twoimi prochami... Żyjesz, Wiktor, ży- jesz! Niech cię dotknę... Skóra i kości... O, Boże...

— Ale co z Klarą?

— Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz. W zeszłym roku pobraliśmy się...

— Ty z Klarą?

— Słuchaj, to było potworne. Po-twor-ne... Uciekłem od niej... Rozumiesz? Marzyłem o niej lata... I uciekłem...

Pobrali się? Uciekł od niej? Więc Klara żyje I Klara jest wolna I Ta myśl dodała mi skrzydeł, jeśli w ogóle można mówić o skrzydłach na dnie takiego upodlenia. Ptaki, wypłazane przez dymy krematoriów, rzadko zjawiały się na naszym niebie.

W pobliżu rozległy się niemieckie przekleństwa, szczekanie psów, padły strzały, błysnęło światło latarki elektrycznej.

— Uciekać I

Rozbiegliśmy się w różne strony. Przy wejściu do bloku dostałem deską po głowie. Było to najmniejsze zło, jakie mogło mnie spotkać, chociaż wtedy zdawało mi się, że mam rozplataną czaszkę.

Przez następne dni szukałem spotkania z Pawłem. Nie wiedziałem, w którym jest bloku, a znalezienie wśród tysięcy cieni tego jednego cienia — nie było łatwe.

Mój mózg drażyło palące pragnienie poznania prawdy, spotęgowane w dodatku przez ból I gorączkę. A więc już drugi opuścił Klarę zaraz po ślubie. Przecież zarówno Marian, jak i Paweł szaleli z miłości do niej. Tak samo jak

ja. Paweł nazwał ją czarownicą. Ale Oświęcim wybił mi z głowy niedorzeczne wyobrażenia o demonach, czarach, o magii kart, Piekło, które tu poznałem, było gorsze od wszystkiego, co zdołał wymyślić obskurantyzm średniowiecza razem z inkwizycją I paleniem na stosie. Czarownica? To wcielenie chłodnego, uwodzicielskiego piękna? Moja Klara? Oni obaj, Marian i Paweł, postradali rozum. Napór namiętności, a potem jej nagłe rozładowanie musiało wywołać w nich taki szok.

Ja jeden przetrzymam wszystko. Mogą bić we mnie gromy i klęski, pałki kapów i ciosy moralne. Ja przetrwam i dobrnę do Klary, czy będzie to ogród udręczeń, czy kraina rozkoszy. Ja czekam. „Kto wie, co nam życie jeszcze przyniesie.”

(Wreszcie spotkałem Pawła. Przypadkiem, w latrynie. Ledwie się trzymał na nogach. Wypruwała z niego życie biegunka, ta mordercza choroba obozowa. My, starzy więźniowie, wiedzieliśmy, że w takim wypadku trzeba przez parę dni powstrzymać się całkowicie od jedzenia. On nie mógł opanować głodu i dlatego musiał zginąć. Powiedziałem mu o tym. Odrzekł mi z rezygnacją w głosie:

— Ja nie jestem silnym człowiekiem. W normalnych warunkach mogłem udawać silnego. Ale tu? Zobaczysz mnie w grupie muzułmanów, idących do pieca.

Obiecałem mu, że pomówię z mecenasem, aby postarał się go zabrać do siebie, do magazynu. Potem pomogłem mu przejść kilka- naście metrów. Osunął się na ziemię. Zapadał zmierzch i dał silny wichur, sypiąc gęstym,

lepkim śniegiem. Na dwa kroki nic nie było widać. Każdej chwili mógł wyrosnąć przed nami esesman, ale mnie obchodziło tylko jedno:

— Paweł, nie wiem, kiedy się znów spotkamy... Może nigdy... Zaklinam cię... Powiedz mi całą prawdę o Klarze... Otwórz oczy, nie umieraj, słyszysz?

Krzyczałem mu prosto w ucho. Paweł ocknął się z chwilowego zamroczenia, wreszcie zaczął mówić głosem przerywanym, ledwie dosłyszalnym w poświstach zamieci:

— Zamarzniemy tu... Pomóż mi wstać...

— Pytam o Klarę! Mówi

— Racja... Powiem... Klara ma ogon... Rozumiesz? To nie jest prawdziwy ogon... To takie przedłużenie kręgosłupa... Dwa czy trzy sterzące kręgi... Nie potrafię ci opisać wstrętu... Można się wyrzygać... Pomóż mi wstać...

Wziąłem go na plecy i zaniosłem pod drzwi bloku. Na mnie czekał już przekupiony przez organizację blokowy. Zbliżał się koniec wojny i wielu spośród dotychczasowych naszych dręczycieli zaczęło się bać o własną skórę. Wsunął mi w rękę kawałek kielbasy:

— To od mecenasa. A to ode mnie.

Po czym kopniakiem rzucił mnie na pryczę.

Mecenas, dawny szuler, był obecnie duchem opiekuńczym najbardziej zagrożonych więźniów. Tylko dzięki niemu Paweł utrzymał się na powierzchni i przetrwał.

Leżałem na pryczy zziębnięty do szpiku kości, żułem po ciemku kielbasę i marzyłem o Klarze. Wyobrażałem sobie tę jej dziwaczną anomalię, która w Marianie i Pawle obudziła tak nieodpartą odrazę i wstręt. Nie, oni jej nie kochali! Trzeba być tępym prostakiem, że by powiedzieć: „ona ma ogon”. Nędzni, małoduszni głupcy! Taki Nie wahał się użyć tego określenia, aczkolwiek chodzi tu o mego brata, który zginął męczeńską śmiercią. Gdyby nie uciekł od Klary, nie dostałby się w ręce Gestapo. Jego miejsce było przy żonie, tej najcudowniejszej kobiecie świata, a nie w klubie wśród karciarzy i szulerów. Nie dziwię się Pawłowi, To zwykły snob. Ale Marian? Artysta? A tak pozbawiony wyobraźni Nie, moja miłość wytrzyma wszelkie próby! Klara powiedziała: „Czekaj”. Będę czekał.

6

Po wojnie wprost z obozu wylądowałem w Łodzi, gdzie zaproponowano mi docenturę przy katedrze biologii. Objąłem to stanowisko, gdyż kadra naukowców, mocno przetrzebiona przez wojnę, musiała sprostać bieżącym potrzebom.

Matkę odnalazłem bez trudu. Na ruinach naszego domu, z którego ocalała jedynie brama, znalazłem przybitą tekturkę z adresem w Opaczu. Nie uwierzyła ani w śmierć Mariana, ani w moją, chociaż przysłano jej dwie urny i zawiadomienie, że zmarliśmy na zapalenie płuc. Teraz witała mnie łzami radości, którymi jednocześnie opłakiwała Mariana.

W drodze do Łodzi zagadnąłem ją o Klarę.

— Klara? Odwiedzała mnie czasami. Dwa lata nosiła żałobę po Marianie, a potem wyszła podobno powtórnie za mąż. Nawet nie wiem, za kogo. Wtedy przestałyśmy się widywać. Uważałam, że powinna była czekać do końca wojny. Tak postępowały inne żony.

Matka nie dowiedziała się nigdy, że to Marian opuścił Klarę w noc poślubną.

Po wojnie, gdy tylko znalazłem się w Łodzi, rozesłałem listy do wszystkich wyższych uczelni, które już istniały albo były w stadium organizacji, z zapytaniem o Klarę. Przypuszczałem, że wróciła do pracy naukowej.

Stopniowo nadchodziły odpowiedzi. Klara Popielska? Nie, nic o niej nie wiadomo.

Kochałem ją tak jak dawniej. Tylko że podczas okupacji moje zachowanie było nieobliczalne. Poczucie degradacji, poniżenia, klęski, wszystko to doprowadziło do zachwiania mojej równowagi psychicznej. Obecnie zdawałem sobie sprawę, że na obojętność Klary reagowałem jak człowiek niezupełnie normalny. Musiałem budzić w niej niesmak, odrazę, lęk. Z perspektywy czasu sam sobie wydawałem się ludzką karykaturą. Byłem chyba chory i moje histeryczne załamania, moje obsesje wymagały interwencji neurologa, jeśli nie psychiatry. Z uczuciem zażenowania wspominałem okupacyjne upadki, niepoczytalne wybryki, walkę z urojonymi demonami. Odkąd wróciłem do normalnego życia, z zapałem oddałem się pracy naukowej i społecznej. Znowu byłem sobą. Byłem człowiekiem. I moja miłość, moja tęsknota do Klary stała się zwyczajna. Ludzka.

Nie ustawałem w poszukiwaniach. Dałem ogłoszenia do gazet, zwróciłem się o pomoc do Czerwonego Krzyża. Niemożliwe było, aby Klara, dość znana już przed wojną jako bakteriolog, mogła zniknąć tak bez śladu.

Aż nagle pewnego dnia zastałem na uniwersytecie list z Poznania od profesora Turleja.

m 112 —

W odpowiedzi na moje ogłoszenie, w lakonicznym, krótkim zdaniu, podał mi adres Klary bez jakichkolwiek bliższych informacji.

Nocnym pociągiem wyruszyłem do Krakowa. Wczesnym rankiem, z biciem serca zadzwoniłem do mieszkania na ulicy Basztovej. Przez dłuższy czas nikt nie otwierał. Wreszcie zgrzytnął zamek i stara, zaspana kobieta, w ponemieckim kolejarским płaszczu zamiast szlafroka, uchyliła drzwi. Była pełna nieprzewidywanego jeszcze okupacyjnego lęku.

— O co chodzi? Co pan za jeden? Podałem moje imię i nazwisko.

— A to pan jest bratem nieboszczyka Mariana? Córka jeszcze śpi, ale zaraz ją obudzę. Czekala na pana.

Wprowadziła mnie do małego pokoiku, skąd pośpiesznie wyniosła zgarniętą z sofy pościel. Na ścianie wisiała akwarela Mariana z Taorminy, gdzie byliśmy razem na rok przed wojną.

Za oknem siał marcowy deszcz. W miarę oczekiwania rosła moja niecierpliwość. Pojęcie upływu czasu nie jest jednoznaczne. Minuty bywają krótsze i dłuższe. Niektóre trwają wiecznie. Za chwilę miałem zobaczyć Klarę, ale ta chwila ciągnęła się w nieskończoność. Nie, to nie było dawne rozprężenie nerwów. Stałem się normalnym człowiekiem i jak normalny człowiek przeżywałem emocję spotkania z ukochaną kobietą po latach rozłąki.

Przypomniałem sobie, że jeden z moich znajomych, który wrócił po wojnie do Warszawy, z nadmiaru emocji umarł na lotnisku. Przez chwilę miałem wrażenie, że ze mną może stać się to samo.

I wtedy weszła Klara, i wyciągnęła do mnie obie ręce. Oboje byliśmy wzruszeni i przejęci, oboje staraliśmy się rozpoznać na nowo znajome rysy. Słowa więzły nam w gardle, jak gdybyśmy się obawiali zacząć rozmowę z fałszywego tonu.

Mógłbym powtórzyć tu zdanie, które umieściłem na początku mojej relacji: Klara była olśniewająco piękna. Czy była to jednak ta sama kobieta, którą widziałem po raz ostatni w dniu jej ślubu z Marianem? Dostrzegłem, że jej złociste włosy są z lekka osrebrzone. Promieniowanie oczu jak gdyby przygasło, ale spojrzenie nabrało większej głębi. Wyraz twarzy nie posiadał już dawnej zmienności. Leżał na niej nieruchomy cień smutku i tylko kąciki ust zdradzały melancholijny uśmiech.

— Wróciłeś? — powiedziała niemal szeptem.

— Wróciłem. Kazałaś czekać — czekałem.

— Wierzyłam, że żyjesz... Musiałeś okropnie wycierpieć...

— Wszystko minęło. Myśl o tobie dodawała mi siłę do przetrwania.

Pozwoliła mi się objąć i z westchnieniem przytuliła głowę do mojej piersi. Poczułem, jak serce we mnie ucicha i pierwszy raz odpoczywa po latach niepokoju i udręki.

Wszystko stało się proste, naturalne i zrozumiałe.

— Cieszę się, że nie jesteś już taki roztrzęsiony, rozdygotany jak dawniej. Bałam się ciebie. Czy wiesz, że byłeś nieznosny? Nie mogłam przecież kochać szaleńca.

— A teraz?

Klara spojrzała na mnie i w jej oczach wy

— 114 —

czytałem odpowiedź, na którą czekałem całe lata.

— Teraz zjemy śniadanie. Mama już pewnie nakryła do stołu.

Spędziłem z Kiarą cały dzień. A więc jednak to prawda, że serce kobiety zdobywa się uporem. Moje wytrwałe i wierne uczucie zostało nagrodzone. Gdy wieczorem odjeżdżałem do Łodzi, zapytałem po prostu:

— Czy teraz wyjdiesz za mnie?

— Tak — odparła Klara.

Wszystko stało się proste, łatwe, zrozumiałe.

Obojgu nam potrzeba było sporo czasu na odtworzenie niezbędnych dokumentów. Mnie — w Warszawie, Klarze — w Krakowie.

Po dziesięciu dniach znów udało mi się wyrwać z Łodzi, chociaż Klara prosiła w listach, żebym nie zaniedbywał dla niej swoich obowiązków, żebym był cierpliwy i czekał na wezwanie od niej.

Przyjechałem do Krakowa pełen radości i nadziei. Otworzyła mi drzwi Jakaś obca kobieta.

— Pani profesorowa jest w szpitalu.

— A pani Klara?

— Właśnie przy pani Klarze. Pani Klara miała jakąś operację.

Złapałem dorożkę i popędzając sennego dorożkarza, zajechałem przed szpital. W zatłoczonych korytarzach snuły się postacie z zabandażowanymi głowami, nogami w gipsie, niektóre o kulach, inne podtrzymywane przez pielęgniarki. Z trudem, po długim, męczącym wyczekiwa-

— 115 -

niu udało mi się dotrzeć do lekarza dyżurnego. Czułem w skroniach nierówne pulsowanie, jak gdyby co chwila zatrzymywało się bicie serca.

Lekarz spojrzął na mnie zza szkieł zmęczonymi oczami:

— Klara Popielska? Tu takiej nie ma.

— Może w takim razie Romanowska? Klara Romanowska?

— A, tak... To ciężki przypadek. Musi pan porozumieć się z chirurgiem. Jest na obchodzie, ale za jakieś pół godziny znajdzie go pan w pokoju lekarskim. Proszę zapytać siostrę, ona panu wskaże.

Ciężki przypadek... Do sali, gdzie leżała Klara, nie wolno było wchodzić. Poprosiłem Jedną z pacjentek, żeby wywołała panią Popielską.

Wyszła do mnie przygarbiona, w nie dopiętej sukni. Kosmyki siwych włosów spadały jej na oczy.

— Po co pan przyszedł? — spytała szorstko. — Ona jest nieprzytomna. Kazała się operować wbrew mojej woli. Kiedy jeszcze była dzieckiem, lekarze mówili, że taka operacja jest ryzykowna. Mogła z tym żyć do późnej starości. Niech pan sobie stąd idzie. To wszystko przez pana.

Odwróciła się i odeszła bez pożegnania.

Przemierzałem korytarz, paląc jednego pa* pierosa po drugim. Mózg miałem kompletnie sparaliżowany, nie mogłem zebrać myśli. Kotłowały mi się w głowie urywki zdań:

„Kiedy jeszcze była dzieckiem...” „Mogła | tym żyć...” „To wszystko przez pana...”

Wreszcie udało mi się złapać chirurga. Był już w palcie. Podrapał się zgiętym kciukiem

— 116 —

f> / , \ u . ' , , !

w policzek, popatrzył na końce swoich butów, potem na mnie, wreszcie spytał:

— Czy pan Jest krewnym?

— Nie. Właśnie zamierzamy się pobrać.

— Ach, tak. No cóż, mam nadzieję, że wszystko skończy się pomyślnie. Robimy, co w naszej mocy, zresztą, za jakąś godzinę będzie konsylium. Proszę zaczekać.

Mijały godziny. Ziemia usuwała mi się spod nóg. Na korytarzu zablęły oszczędne światła. Siedziałem otępiały i odprowadzałem wzrokiem zaaferowanych lekarzy. Specyficzny odór szpitalny przyprawiał mnie o mdłości. Ten sam chirurg przechodząc zatrzymał się przede mną, jakby chciał coś powiedzieć, ale wykonał tylko ręką nieokreślony gest i oddalił się szybkim krokiem.

Śmierć nastąpiła o godzinie siódmej. Czy ważne jest również to, że Klara umarła siódmego kwietnia na sali numer siedem?

Niebo nie pękło, świat się nie zawałił. I nawet ja żyję nadal. Ja, który, nie będąc mężem, zostałem wdowcem.

Tym razem przegrałem wszystko. Los okazał się najbardziej wyrafinowanym szulerem.

Quasi una fantasia

i

Okazałaś się najcudowniejszą kochanką. Mówię ci to ja, stary Don Juan. Wiesz sama, że nie ja tego chciałem. Przeciwnie, broniłem się. Wreszcie jednak uległem. Ale teraz nie żałuję. Nie każdemu mężczyźnie w moim wieku dane jest przeżyć równie pasjonującą przygodę. Mógłbym powiedzieć — miłość, ale nie chcę się ośmieszać. Jesteś, Agnieszko, taka młoda! A ja? Starszy pan, któremu raczej wypadaloby poddać się rezygnacji i żyć wspomnieniami. O, właśnie. Niektóre z tych wspomnień ściśle związane są z tobą. Oświadczyłaś mi, że czujesz wewnętrzny imperatyw, aby mnie uczynić pierwszym swoim mężczyzną, że przemożna siła kazała ci spędzić tę noc ze mną. Wewnętrzny imperatyw. To ładnie powiedziane. Co prawda brzmi trochę antycznie. Że niby tak postanowiła Afrodyta albo któryś z innych bogów nieśmiertelnych. Nie będę się z tobą spierał. Ale wobec tego pozwól, że postaram się rozumować tymi samymi kategoriami, a to z kolei wymaga pewnych zwierzeń. Spośród przygód mojego bujnego i długiego życia muszę opowiedzieć ci dwie, gdyż to one prawdopodobnie przyczyniły się do obudzenia w tobie owego wewnętrznego imperatywu. Jestem wprawdzie zdecydowanym racjonalistą, ale chętnie przyjmę to mistyczne usprawiedliwienie mojej wobec ciebie uległości. Przysuń się do mnie, o tak, i posłuchaj. Nie, nic się nie stało. Po prostu połaskotały mnie twoje włosy. Teraz już dobrze. Tylko proszę cię, nie zaśnij. Nawet gdyby cię moje opowiadanie cokolwiek nużyło.

Działo się to na początku roku 1926. Wiem, że dziewczęta w twoim wieku nie lubią takich zamierzchłych historii. Ale możesz być pewna, że i ciebie czas nie oszczędzi. Ani się obejrzysz, jak nasza dzisiejsza rozmowa stanie się odległym wspomnieniem z epoki dawno minionej. Nie zdajesz sobie sprawy, jak szybko biegą lata. Byłem i ja niegdyś młody. Ba, najmłodszy ze wszystkich. Wtedy nie uwierzyłbym nawet, że spotka mnie złośliwość losu, która każe mi przekroczyć pięćdziesiątkę. Uważam to za jawne bezprawie, gdyż nigdy jeszcze nie czułem w sobie tylu sił żywotnych, co dziś, gdy jestem przy tobie. Ale wtedy miałem siedemnaście lat i ze sztubackim infantyлизmem odczuwałem bezsens istnienia.

Tak, droga Agnieszko, możesz uważać to za przechwałki z mojej strony, ale był taki czas, kiedy miałem siedemnaście lat.

W szkole uchodziłem za wzorowego i statecznego ucznia, nic więc dziwnego, że dyrektor zaproponował mi korepetycje w domu pewnego lekarza, którego syn był dzieckiem trudnym, wymagającym pomocy w nauce, dobrego przykładu i zbawiennego wpływu. To właśnie ja miałem stać się mentorem, kimś w rodzaju Seneki dla tego rozhukanego i nieokiełzanego Neronka. Nie, Agnieszko, to tyl-

ko przenośnia. On się tak nie nazywał. Miał imię o wiele pospolitsze i niczym w historii nie utrwalone. Nazywał się Wojtek.

Gdy przyszedłem przedstawić się, pan doktor oświadczył mi, że nie może sobie z synem poradzić, że ani on, ani jego żona nie posiadają zdolności pedagogicznych, natomiast dyrektor polecił mnie jako młodzieńca, który potrafi tego małego diabła przerobić w anioła.

Wojtek miał jedenaście lat i był najniesforniejszym chłopcem, jakiego ludzkość wydała od czasów faraona Menesa. Już przy pierwszej wizycie potrafił wsunąć mi do kieszeni płaszcz okrągły kaktus, o który pokłułem sobie palce, a gdy wychodziłem, podstawił mi nogę i niewiele brakowało, żebym się rozciągnął jak długi, co pociągnęłoby za sobą całkowitą i nieodwracalną utratę autorytetu.

Po kilku dniach zorientowałem się, że musiałbym mieć asystę uzbrojonych policjantów, aby zmusić Wojtkę do odrabiania lekcji. Nie mogłem go tłuc, chociaż w pełni na to zasługiwał; nie potrafiłem też obudzić w nim niezbędnego posłuszeństwa i respektu. Obrałem więc inną metodę: postanowiłem go obłaskawić. W tym celu zacząłem ulegać jego zachciankom. Prowadziłem go na mecze piłki nożnej i na filmy niedozwolone dla jego wieku, pozwalałem mu zżerać pół kilo chałwy na jednym posiedzeniu, pokrywałem wobec rodziców jego wargi, gdy zamiast do szkoły szedł na welodrom. To pozorne deprawowanie chłopca dało nadspodziewane wyniki. Zdobyłem jego zaufanie, a nawet coś więcej.

Ten mały urwis zaczął okazywać mi uczucia zbliżone do uwielbienia, stał się posłuszny i wierny jak obłaskawione tygrysiątko. Odtąd powoli, za pomocą różnych podstępnych forteli, udawało mi się kierować nim tak, że przejął moje zamiłowanie do książek, zaczął bez sprzeciwu odrabiać lekcje i stosował się coraz chętniej do moich wymagań. Prowadziło to jednak do sytuacji, w której stawałem się raczej guwernerem niż korepetytorem. Spędzałem z nim wiele godzin ponad czas przewidziany na naukę. Miałem odtąd na Wojtkę wpływ o wiele większy niż Jego rodzony ojciec.

Pan doktor był współwłaścicielem prywatnej kliniki ginekologicznej. Nie przyjmował pacjentek w domu, lecz całe dni spędzał w lecznicy, odbierając porody, głównie zaś ratując przed macierzyństwem lekkomyślne panny z dobrych domów. Miał worki pod oczami, surowy wyraz twarzy i mroził otoczenie swoim nieprzystępnym sposobem bycia. Każdego pierwszego wypłacał mi wynagrodzenie ze słowami:

— No cóż... będziemy kontynuowali... mówiła mi żona, że wywiązuje się pan niezłe z podjętych obowiązków.

Nie podejrzewał, że nie pieniądze, które mi płaci, ale właśnie osoba jego żony nadawała mojej pracy sens, i tylko przez wzgląd na nią traciłem godziny, tak potrzebne mi samemu w okresie poprzedzającym egzaminy maturalne.

Była to kobieta delikatnej, powiedziałbym — poetycznej urody, o smutnym wyrazie twarzy. Dzisiaj przyrównałbym ją do Teresy Cabarrus z obrazu Chassériau. Tak, to ta sama, dla której zakochany Tallien, by uratować ją przed

gilotyną, obalił Robespierre'a. Potem na „balu ofiar” Teresa zjawiła się z obciętymi włosami — „& la victime”, i zapoczątkowała w ten sposób twoje dzisiejsze uczesanie. Bardzo ci w nim do twarzy, Agnieszko. Nie, wcale nie mówię niedorzeczności. Po prostu lubię przyrównywać postacie, które odegrały w moim życiu ważną rolę, do dzieł sztuki. W ten sposób utrwalam je sobie w pamięci. Pytasz o Wojtka? Oczywiście. Przypomina mi jednego z urwisów Murilla, tego z melonem. A ty? O, ty, Agnieszko, w swojej uległej nagości jesteś jak „Dziewczyna z papugą” Courbeta. Gdy będziesz w Paryżu, postaraj się ten obraz zobaczyć. A papuga — to ja. Papuga gadająca, która opowiada ci pradawne swoje dzieje.

Pani doktorowa była dużo starsza od Teresy, ale w moich oczach godna największego uwielbienia. Pamiętam jej zatroskane wejrzenie i wyraz bezsilnej rozpacz, kiedy usiłowała okiełznać niesfornego Wojtka. Nie mogła poradzić sobie ani z nim, ani z gospodarstwem, ani z wymagającym i bezwzględny mężem, który potrafił bez słowa wyjść z domu, jeśli obiadu nie podano na czas. Był to jeden z tych tyranów, brutalnych wobec żony, ale pełnych kurtuazji w stosunku do innych kobiet.

Moja Teresa — przyjmijmy umownie to imię — miała usposobienie pełne uległości. Tym łatwiej mężowi udawało się ją pognebić. Stałem się więc guwernerem Wojtka, gdyż pragnąłem ulżyć jej troskom. Tak, zakochałem się, masz rację, Agnieszko. Ty nie wiesz, co to jest pierwsza miłość młodego chłopca, chłopca rozbudzonego, o wybujałej wyobraźni, al© nie mającego jeszcze doświadczenia i poczucia proporcji. Wszystko przybiera wtedy kształt nadzwyczajności, podniety zmysłowe, będące zaledwie przecuciem nieznanych rozkoszy, osaczają umysł, doprowadzają go do stanu wrzenia. Mówi się, że pierwsza miłość to mrzonki i urojenia. Być może. Ale udręki młodego ciała są jak najbardziej prawdziwe i rzeczywiste.

Przeciągałem godziny lekcji, szukałem pretekstów, by przedłużyć pobyt w domu doktora, podpatrywałem każdy ruch snującej się po pokojach Teresy, odprowadzałem ją spojrzeniem, uśmiechałem się do niej, prawdopodobnie głupawo i po smarkaczowsku. ćŹ"

Pod byle pozorem wpadałem do Wojtka albo po Wojtka, gdyż mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Świadczyłem Teresie drobne usługi, a kiedy pojawiły się pierwsze kwiaty, przyniosłem jej bukietik fiołków. Powiedziałaś mi wczoraj, Agnieszko, że jestem najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego znałaś. Czy dzisiaj nie zmieniłaś zdania? Naprawdę? To ładnie z twojej strony. Nie, przestań, nie mów w ten sposób, bo wbię się w pychę jak tysięjący Cezar u boku Kleopatry.

Ale wróćmy do Teresy. Stała właśnie przed lustrem. Z odbicia w lustrze spojrziała na mnie i wachając fiołki powiedziała:

— Jesteś najbardziej czarującym chłopcem, jakiego znałam.

Nie zapanowałem nad sobą. Chwyliłem ją z tyłu za ramiona i pocałowałem w ciepły, pachnący kark.

Wtedy ona odwróciła się gwałtownie, popatrzyła na mnie swoimi smutnymi oczami i powiedziała:

— Ach, ty głuptasie...

A kiedy przerażony własnym zuchwalstwem chciałem się cofnąć, nagle objęła mnie za szyję, rozchyliła wargi i przyłgnęła do moich ust w długim pocałunku.

Wierz mi, Agnieszko, że ten pierwszy prawdziwy pocałunek wstrząsnął mną jak trzęsienie ziemi. To było jedno z tych przeżyć, których się nigdy nie zapomina.

Odtąd, gdy Wojtek rozwiązywał zadania albo pisał ćwiczenia na dzień następny, wymykałem się z pokoju, odnajdywałem Teresę w sypialni lub w ciemnym korytarzu, wypełnionym szafami, i z nienasyconą pożądlivością wpijałem się w jej wilgotne, uległe wargi. To było cudowne!

Wojtek uczył się coraz lepiej, a ja coraz gorzej. Napomnienia mojej matki niewiele pomagały. Wymykałem się z domu używając różnych wybiegów i kłamstewek, a po nocach rozpalona wyobraźnia erotyczna odpędzała ode mnie sen i zamieniała krew w gorącą lawę. Nie, ty nie wiesz, Agnieszko, co to są pierwsze pożądania młodego, rozbudzonego chłopca. Nie wiesz, bo sama jeszcze jesteś uśpiona. Ant dzisiejsza noc, ani żadna z poprzednich, których nie znam, nie potrafiły cię rozpłomić. Masz to wszystko jeszcze przed sobą. Lady Chatterley nie trafiła dotąd na swego kochanka! Pozwalam ci podziwiać moją skromność. Jestem zaledwie czarującym mężczyzną, ale nigdy nie byłem kochany tak, jak bym tego pragnął. Czy mnie rozumiesz, Agnieszko?

Teresa nie odmawiała mi pocałunków. Odczuwała potrzebę czułości i ciepła, odczuwała potrzebę zwierzeń. Żaliła się przede mną na oziębłość męża, na jego zdrady. Wiedziała, że ma romans z jakąś aktorką. Zresztą nie bardzo z tym się krył, często nie wracał do domu na noc. W Teresie budził mistyczną niemal trwogę, wymuszał na niej tolerancję wobec wszystkich swoich poczynań i bezwzględną uległość. Teresa bez szemrania godziła się z losem. Uważała swoje życie za przegrane, chociaż miała niewiele ponad trzydziestkę, a jeśli chciała żyć, to tylko dla Wojtka. W oczach jej zapalały się iskierki radości, kiedy mówiłem:

— Wojtek jest podobny do pani. Ma w sobie dużo szlachetności i dobroci serca.

Chłopca tego pozyskałem sobie chyba również i tym, że na każdym kroku podkreślałem zalety jego pięknej mamy. Sprawiało mu przyjemność okazywane jej uwielbienie, którego nie widział u własnego ojca.

Upływały tygodnie na ukradkowych pocałunkach, na oszołomieniu pierwszą, coraz bardziej płomienną, miłością.

Późną wiosną, w przededniu majowego zamachu, wymknąłem się w południe ze szkoły i od kuchni wśliznąłem się do mieszkania Teresy. Tak, Agnieszko! Zgadłaś! Z tęsknoty. Służąca Władzia, która traktowała mnie poufale i trochę z góry, powiedziała półgębkiem:

— Cóż to? Pan nie w szkole? Wojtka nie ma. A pani doktorowa się kąpie. Proszę sobie iść do stołowego i poczekać. Jakby kto zadzwonił, niech pan otworzy, bo muszę skoczyć po włoszczyznę.

Kiedy drzwi zatrzęsły się za Władzią, na palcach zakradłem się pod drzwi łazienki. Chwilę stałem nasłuchując, po czym zdecyd-

wanie nacisnąłem klamkę, wszedłem i zatrzymałem się w progu. Zaparło mi dech. Zobaczyłem Teresę w jej olśniewającej nagości. Czy była aż tak piękna? Nie wiem. Dla mnie na pewno. Przecież była pierwszą kobietą, którą widziałem nagą z tak bliska. Siedziała* w wannie i wyglądała jak akt kobiecy Mail- lola. Rzeźbę tę widziałem we Francji. Teresa miała podobnie obfite kształty, tylko piersi bardziej dziewczęce, niemal takie jak ty. Spojrzała na mnie wystraszona i zawołała szorstko:

— W tej chwili stąd wyjdź! Bezczelny smarkacz!

Ale ja stałem obezwładniony widokiem jej ciała. Nie słyszałem nic prócz bicia własnego serca.

— Mówię ci, wyjdź! — powtórzyła Teresa z gniewem.

Ale ja stałem nadal jak urzeczony i pozeralem oczami to wcielenie moich tajemnych pragnień i pożądań. Teresa, nie zwracając na mnie więcej uwagi, podniosła się ościężale z wody, wyszła z wanny i powiedziała obojętnym głosem:

— Podaj mi prześcieradło.

Otuliłem prześcieradłem jej plecy i ramiona. Przez grubą tkaninę czułem pod palcami kształt jej nagości. Przelamywałem onieśmielenie, byłem coraz pewniejszy siebie, coraz zuchwalszy. Aż nagle porwałem ją na ręce i zaniósłem do sypialni. Nie opierała się, a nawet powiedziała ze śmiechem:

— Ależ ty jesteś silny! Silny i niemądry.

Położyłem ją na łóżku i zacząłem całować, naprzód w usta i szyję, a potem z coraz większym zuchwalstwem, z zapamiętaniem i^w

zupelnym zamroczeniu moje usta zaczęły przesuwać się po jej ciele, jeszcze wilgotnym, coraz niżej.

Teresa palcami, wplecionymi w moje włosy, usiłowała delikatnie powściągnąć te namiętne zapędy, a równocześnie przyciskała moją głowę do swoich piersi, poddając się pieszczocie w trwożliwym milczeniu.

Dopiero gdy zacząłem rozpalać się jeszcze bardziej i niezgrabnie usiłowałem rozsunać jej uda, nagle jak gdyby oprzytomniała. Zerwała się gwałtownie i zawołała z rozpaczą:

— Oszalałeś? Co ty robisz, głuptasie? Czy nie widzisz, że będę miała dziecko? Jestem w piątym miesiącu.

Słowa te spadły na mnie jak bicz lodowatej wody. Ogarnęła mnie słabość, pociemniało mi w oczach.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że ta cudowna, ukochana Teresa spędza noce w ramionach odpychającego, nienawistnego człowieka, który ją zdradza, dla którego jest tylko workiem z mięsem. Rozpacz, żal, poczucie zniewagi popchnęły mnie do drzwi. Wybiegłem na schody i tam w niewidocznym kącie długo płakałem dziecinnymi łzami.

Nie wróciłem już do tego domu. Czy dostałem maturę? Więc to cię interesuje? Tak, nadrobiłem stracony czas. Pomógł mi w tym dyrektor. Pamiętał, że wyciągnąłem z impasu syna pana doktora, który jego żonę uwalniał od niepożądanych ciąży.

Potem wyjechałem z rodzicami do Dubrownika, gdzie poznałem śliczną dziewczynę. Nazywała się Pava Macanović. Ale to jest całkiem inna historia. Po powrocie do Warszawy,

kiedy moją pierwszą miłość ostudziły fale Adriatyku, spotkałem Teresę przypadkowo na ulicy. Dźwigała przed sobą wielki brzuch, miała oczy bezgranicznie smutne, podbite sińcami, wyglądała staro i nieładnie.

— Czy ci nie żal? — zapytała z bladym uśmiechem.

— Żal... — odrzekłem starając się na nią nie patrzeć.

— Może nas odwiedzisz? Wojtek wciąż ciebie wspomina.

Serce zabiło mi mocniej.

— Wojtek? Niech przyjdzie do mnie.

— Powiem mu... Do widzenia, głuptasku.

Tak zakończył się pierwszy niefortunny romans mojego życia.

Jesteś rozczarowana? Ja też byłem rozczarowany. Nie spełniona miłość pozostawia gorzki osad. Może znudziłaś się, Agnieszko, moją opowieścią? Jaki ona ma związek z tobą? Zaczekaj, przecież to jeszcze nie koniec. Bądź trochę cierpliwa. Teraz właśnie zaczyna się drugi rozdział.

2

Mógłbym powiedzieć cytując poetę, że młodość przychodzi z wiekiem. Niechętnie więc wracam do wspomnień przeszłości, a jeśli dzisiaj uległem ich przewrotnym urokom, to tylko przez wzgląd na ciebie. To twój kaprys wciągnął mnie w orbitę urojonych przeznaczeń. I nawet nie będziesz mogła pochlubić się przed sobą wymyślnym, perwersyjnym grzechem, gdyż jestem z gatunku prawdziwych Don Juanów, którzy każdą miłość podnoszą do rangi wielkiego przeżycia. Jeszcze nie dojrzałaś do świadomej miłości. Twoje lata są zaledwie srebrną pianką na powierzchni życia. Upoiłem się odrobiną tej pianki i wiem tylko tyle, że za godzinę opuścisz mnie dla kogoś innego. Moja pierwsza żona, a potem także druga mówiły mi tak samo jak ty. Ze jestem najbardziej czarującym mężczyzną. I obie mnie porzuciły. Dlatego nie chciałem wcale wrócić do tych lat, kiedy żyłem bez wiedzy o ludzkich sercach, a właściwie i bez nadziei. Bo ona także przychodzi z wiekiem.

Ale wtedy, w czasach mojej pierwszej miłości, a nawet znacznie później, nie zdawałem sobie sprawy z nieważkości moich przeżyć. Była to przecież tylko srebrna pianka, którą spijałem z lekkomyślną bez troską i nie pozostało po niej nic prócz ledwie dostrzegalnego cienia smutku.

Z tamtego sztubackiego okresu przetrwała tylko przyjaźń z Wojtkiem. Było coś wzruszającego w jego oddaniu i przywiązaniu. Stałem się powiernikiem tego chłopca, opowiadał mi o tyranii ojca, o małym braciszku, którego opiekunem stał się z kolei Wojtek. Nigdy natomiast nie wspominał o matce, jak gdyby czuł, że ten temat wiąże się z moją porażką.

Po skończeniu szkoły, kiedy ja byłem już lekarzem, Wojtek wstąpił na prawo. A potem pewnego dnia zaprosił mnie do kawiarni, aby mi przedstawić swoją narzeczoną. Chciał się nią przede mną pochwalić, a także zaobserwować moje wrażenie. Pamiętam to spotkanie w małej kawiarence

na Filtrowej, w jesienny, deszczowy dzień. Zobaczyłem dziewczynę o rok młodszą od Wojtka. Jak na mój smak miała zbyt regularne rysy i trzymała się nienaturalnie, zanadto posągowo. Mówiła wolno, dobierając i odmierzając słowa, jak gdyby chciała podkreślić, że nie jest to mowa potoczna, tylko jej własna proza. Wszystko w niej było zanadto wyczelowane i sztuczne, a przy tym jednakowo ważne — twarz, intelekt, uczesanie, rękawiczki.

Nie znając jeszcze jej imienia, powiedziałam — f łem:

— Przypomina mi pani Dianę z Gabii, której posąg widziałem w Luwrze. Będę panią nazywał Dianą.

— To brzmi dość paradoksalnie — odrzekła z wystudiowanym uśmiechem. — Bogini łowów, upolowana przez małego diabła.

Domyśliłem się, że Wojtek opowiadał jej o początkach naszej przyjaźni, gdyż ja go właśnie tak w dzieciństwie nazywałem.

— Jemy po ciastku z kremem — rzekła Diana decydując za nas wszystkich.

— Po dwa — powiedziałem jej na przekór.

— Pan doktor funduje! — zawołał Wojtek. — Fundował mi stale i doprowadził do tego, że na całe życie nabrałem wstrętu do chałwy.

Kiedy kelnerka podała kawę i ciastka, Diana zapomniała o swojej pozie i oblizywała łyżeczkę po kremie z dziecinnym łakomstwem. Posągowa bogini chwilami odzyskiwała swoją naturalną dziewczęcość. Ale dla mnie j pozostała już Dianą na zawsze.

Nie masz racji, Agnieszko. Powiedziałem tyl' I

— 130 —

ko o moim pierwszym wrażeniu. A czy mi się później podobała? Oczywiście, przecież patrzyłem na nią oczami Wojtka, który ją kochał mało skomplikowaną, odwzajemnianą miłością.

Na wiosnę 1939 roku, w samą Wielkanoc, byłem na ich ślubie w roli drużby. Ojciec Wojtka wtedy już nie żył. Teresa ze swoim młodszym synem, delikatnym i nieśmiałym chłopcem, podczas weselnego obiadu siedziała z dala ode mnie. Chociaż nie lubię przemawiać, wygłosiłem toast, a chwając urodę Diany i zalety Wojtka napomknąłem o Teresie, jako tej, która jednoczy w sobie wszystkie te dodatnie cechy. Może mi się tylko zdawało, ale mógłbym przysiąc, że po zniknięciu, przedwcześnie zwiędłej twarzy Teresy spłynęły dwie łzy. Gdy goście odśpiewali „sto lat”, Wojtek chwycił mnie za rękę i zaciągnął do matki.

— Mamo — powiedział — to nasz prawdziwy przyjaciel. Pocałuj go.

Pochyliłem się do jej ręki, a ona musnęła ustami moje czoło. Jakie to wszystko było śmieszne i dziwne zarazem. Przez otwarte drzwi do dawną znajomej sypialni widać było wezgłowie staroświeckiego łóża. W mojej pamięci zadźwięczały słowa: „Co ty robisz, głuptasie? Czy nie widzisz, że będę miała dziecko?”. Od tego czasu upłynęło kilkanaście lat. Pierwsze niefortunne małżeństwo miałem już poza sobą, medycynę studiowałem w Paryżu, a teraz byłem wziętym chirurgiem, i patrząc na Teresę nie dostrzegłem nic, prócz powiększonej tarczycy. Nigdzie przemijanie czasu nie rysuje się tak wyraźnie, jak na twarzach kobiet, które przestaliśmy kochać.

Nie, Agnieszko, ciebie to nie dotyczy. Nie dożyję niestety tej chwili, kiedy miałbym okazję w podobny sposób powiedzieć o tobie. A powiedziałbym bez wątpienia. Ludzie w moim wieku lubią otaczać się młodymi, żeby obserwować, jak ich młodość także stopniowo przemija. To jest taki mały tryumf starych ludzi. Śmiejesz się? To dobrze. Ja też mam poczucie humoru. Traktuję wszystko jak zabawę karnawałową, w której głównym punktem programu jest karuzela mojego życia. Dopóki kręci się — niechaj ludzie się śmieją. Kiedy przestanie się kręcić, tylko ja jeden zachowam poczucie humoru. Cóż to, Agnieszko, przyptyw czułości? Czyżby nie tylko imperatyw? Kochana, jesteś naprawdę czarująca.

A teraz... wróćmy do Diany.

Muszę wyznać, że odrobinę zazdrościłem Wojtkowi szczęścia, ale któż by się wtedy spodziewał, że będzie ono tak krótkotrwałe.

Wybuchła wojna. Wojtek odjechał do swego pułku. Wyglądał świetnie w kawaleryjskim mundurze. Ja trafiłem do szpitala wojskowego w Modlinie. Wiesz, jak to się wszystko skończyło. Nie bój się, nie mam zamiaru roztaczać przed tobą smutnej epopei klęski. Inni opisali ją lepiej, niż ja bym to potrafił.

Nie chciałem iść do niewoli. Udało mi się zamienić mundur na cywilne ubranie i po wielu tarapatach dotrzeć do mego stryja, który dzierżawił nieduży folwark pod Miechowem. Tam zaszłem na trzy lata, udzielając po* mocy lekarskiej okolicznym mieszkańcom. Po* tem jednak bezczynność zaczęła mi ciążyć. Zrezygnowałem z bezpieczeństwa osobistego i w trzecim roku okupacji wróciłem do Warszawy, gdzie znowu mogłem poświęcić się chirurgii.

Wiem, Agnieszko, że te prozaiczne szczegóły mego życiorysu są nudne. Przepraszam. Przechodzę do właściwego tematu.

Jednego dnia wstąpiłem do pewnego baru kawowego na Wspólnej. Podczas okupacji pełno było w Warszawie takich barów i małych restauracyjek, gdzie pracowały żony oficerów, aktorki i tak zwane panie z towarzystwa. W barze kawowym na Wspólnej zobaczyłem Dianę, która podawała tam jako kelnerka.

Gdzieś ulotniła się jej dawna posągowość, ale uroda dzięki temu zyskała więcej ciepła, stała się szczególnie ujmująca. Właściwie dopiero w tym momencie stwierdziłem, jak ładna była Diana.

Usiadła na chwilę przy moim stoliku i opowiedziała pokrótce koleje swego losu. To już nie była ta afektowana dziewczyna, którą poznałem w kawiarni na Filtrowej, lecz kobieta pełna prostoty i bezpośredniości. Lata wojny w jakimś stopniu ją wyprostowały.

— Wojtek jest w oflagu, wie pan? A ja mieszkam z teściową i z córeczką. Ale nie tam, gdzie dawniej. Musiałyśmy zmienić mieszkanie na mniejsze. Tamto za trudno byłoby dziś utrzymać. Proszę nas koniecznie odwiedzić. Co prawda wracam codziennie późno, tuż przed godziną policyjną, ale mógłby pan u nas zanoćować. Poza tym na obiedzie zawsze jestem w domu. Od drugiej do czwartej. Bardzo nam będzie miło. Proszę przyjść. Koniecznie.

Tak się zaczęło.

Dwa czy trzy razy odwiedziłem Dianę, poznałem jej trzyletnią córeczkę, porozmawia*

łem z Teresą, która była całkowicie pochłonięta domem, kłopotami, dziećmi. Młodszy brat Wojtka miał już chyba z piętnaście lat. Diana wyznała mi, że zapowiadał się nieszczególnie. Kiedyś przyłapano go w sklepie na kradzieży i Teresa musiała słono zapłacić policjantowi za zatuszowanie sprawy. Później unikałem już tych wizyt, stałem się natomiast codziennym gościem w barze kawowym na Wspólnej.

Pewnego razu, gdy opuściłem jedną niedzielę, Diana powiedziała mi z wyrzutem:

— Boże, jaka ja byłem niespokojna. Myślałam, że coś się stało. Przecież pan wie... Czekałam na pana. Proszę tego więcej nie robić.

Z każdym dniem zacieśniała się nasza zażyłość. Lubiłem patrzeć, jak mówi, lubiłem dotykać jej ręki, śledzić jej ruchy, gdy obsługiwała gości. Wkrótce sens mego okupacyjnego życia zaczął sprowadzać się do paru godzin spędzanych w barze. Po wyjściu ze szpitala wsiałem w riksę i rezygnując z obiadu jechałem na Wspólną do Diany. Którejś niedzieli zaprosiłem ją na kolację do „Fregaty”. Wypiliśmy po parę wódek i zaczęliśmy sobie mówić po Imieniu.

— Jesteś najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego znałam — powiedziała mi w przypiływie szczególnej serdeczności.

— Nie mów tak do mnie, Diana. To zły znak. Mogę się w tobie zakochać.

Był ciepły wieczór, siedzieliśmy przy stolicku w ogrodzie, pod akacjowym drzewem, które kwitło i upajało swym aromatem. Uśmiechasz się, Agnieszko? Masz rację, to zabrzmia-

— 134 —

ło zbyt sielankowo jak na te okropne czasy. Ale tak było naprawdę. Diana tego dnia działała na mnie oszłamiająco. Miała usta wilgotne i kuszące, a jej oczy wyrażały więcej niż usta. Nie zważając na restauracyjnych gości, całowałem naprzód jej dłonie, a potem palce. Każdy palec osobno. Stolik pod akacją wydawał mi się wyspą szczęścia na oceanie łez, cierpień i okrucieństwa. Czułem się, jak gdybym był poza czasem i rzeczywistością.

Opuściliśmy restaurację niemal ostatni, szliśmy przytuleni do siebie, w skupionym milczeniu, a kiedy skręciliśmy w Marszałkowską, mijający nas pośpiesznie młody człowiek szepnął:

— Nie chodźcie tam! Na placu łapanka i

Istotnie, ludzie uciekali od strony placu

Zbawiciela i ostrzegali przechodniów:

— Zajechały budyl Wygarniają z bram! Za- wracajciel

Było już dosyć późno. Drogę do mieszkania Diany mieliśmy odciętą.

— Musimy iść do mnie — powiedziałem.

Diana milczała, oparta bezradnie o witrynę sklepu.

— Musimy iść do mnie — powtórzyłem z zakłopotaniem.

— To fatalne — rzekła Diana bijąc się widocznie z myślami. — Jak się później wytłumaczę?

W oddali ukazał się na jezdni niemiecki patrol.

Mieszkałem na Nowogrodzkiej w sublokatorskim pokoju. Właściciele mieszkania wyjechali akurat z dziećmi na wakacje do Świdra. Powiedziałem o tym Dianie.

— To nawet lepiej. Byłoby mi głupio wobec nich.

— A co dzieje się z twoimi rodzicami? — przypomniałem sobie nagle i nawet zdziwiłem się, że dotąd o to nie zapytałem.

— Matka umarła przed trzema laty, zaraz po wkroczeniu Niemców do Warszawy. Była chora na serce. A ojciec postanowił przedostać się do Lwowa. Pisywał przed wojną artykuły antyhitlerowskie i obawiał się Gestapo. Co z nim teraz się dzieje — nie wiem.

Weszliśmy do mieszkania. Diana zatelefonowała do teściowej, powiedziała Teresie o łapance i wymieniła imię koleżanki, u której rzekomo została na noc.

— Chcesz się napić herbaty?

— Nie, raczej wody. Suszy mnie.

Siedzieliśmy na tapczanie, trzymając się za ręce, i nie wiedzieliśmy, co począć dalej. Nie dziw się tak, Agnieszko. W gruncie rzeczy zawsze byłem nieśmiały. Nie wierzysz? Chyba musiałas to zauważyć. Inicjatywa wyszła od ciebie. Jestem ci za to niezmiernie wdzięczny. Szczęście przychodziło mi w życiu zbyt trudno, abym mógł pozwolić sobie sięgnąć po nie bez zachowania środków ostrożności.

Diana pierwsza rozładowała napięcie. Powiedziała z rozbrajającą prostotą:

Przecież wiem, że chcesz mnie pocałować. Czekam na to.

Cóż ci mam powiedzieć, Agnieszko? Całowaliśmy się tak, jak ja z tobą tej nocy. Namiętnie i zapamiętałe. A gdy rozpiąłem jej stanik, poczułem pod wargami piersi kształtne i tak samo dziewczęce, jak twoje. Tęskniłem do nich aż do chwili, kiedy znalazłaś się przy

mnie. To były te same piersi, wierz mi, Agnieszko.

Diana szeptała mi słowa, których nie powtórzyłbym nawet tobie. Oboje płonęliśmy tak żarliwym głodem pieśnycoty, że zapomnieliśmy o wszystkim. O wojnie, o ludziach, o ziemi i o świecie.

Kochałem Dianę, wiem na pewno. Chyba ją pierwszą kochałem prawdziwie. I pragnąłem tak, jak żadnej innej kobiety w życiu.

I właśnie wtedy rozległ się dzwonek w przedpokoju i gwałtowne walenie w drzwi.

— Gestapo! — szepnęła Diana.

Zamarliśmy oboje. Drzwi dygotały od natarczywych uderzeń.

Włożyłem buty, które zdążyłem już zdjąć, i czekałem, aż Diana się ubierze. Dopiero wtedy otworzyłem. Ją na szczęście zostawili. A ja znalazłem się naprzód na Pawiaku, potem w Oświęcimiu.

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Nie dla ciebie opowieści o tych straszliwych latach, nie dla twego wrażliwego serduszka.

I cóż, Agnieszko? Niczego się nie domyślasz? Zastanów się przez chwilę. Milczysz? Odrzućmy więc alegoryczne imiona portretów i rzeźb. Diana to twoja matka. Tak, Agnieszko. Czy teraz wszystko już jest jasne? Musiałem ci to wyznać, gdyż dwie niespełnione miłości przeszły w dziedzictwie na ciebie i obudziły ów mistyczny imperatyw. Stąd powstała twoja wiara w przeznaczenie, któremu się poddałaś. Ale dla mnie, jako racjonalisty, jest to tylko przypadek, czysty zbieg okoliczności. Daję ci, kochanie, wdzięczny temat do rozmyślań. A teraz czas już na ciebie. Dochodzi jedenasta,

musisz się pośpieszyć. Nie wypada przecież spóźnić się na własny ślub. Będziesz miała uroczego męża. Kiedy przedstawiłaś mi go w kawiarence na Filtrowej, wydał mi się godny twoich uczuć. Myślę, że będziesz wierną żoną. Tak jak twoja babka i twoja matka.

W domu zastaniesz róże ode mnie. Poznasz Je po tym, że nie znajdziesz przy nich żadnego biletu wizytowego, żadnej kartki. Tylko serce starego Don Juana, w którym trzy pokolenia kobiet z twojego kręgu wzniecały pożary.

Jutro nie zostanie po nim śladu ni popiołu.

Zazdrość

—■ śmierć osoby ukochanej nie od razu dociera do naszej świadomości. Myśli nasze, które z tym się wiążą, są zazwyczaj niedorzeczne. Kiedy odchodzi człowiek bliski, jeszcze przez długi czas fakt na pozór tak oczywisty wydaje się nam czymś nierealnym. Pamiętam, po śmierci ojca, którego bardzo kochałem, nie mogłem sobie w żaden sposób uzmysłwić, że go straciłem na zawsze. Dopiero po wielu ty- godniach zacząłem odczuwać jego utrwalającą się nieobecność, stopniowo narastało we mnie uczucie tęsknoty. Tak, to była nękająca tęsknota, chociaż gdy żył, nigdy za nim nie tęskniłem podczas rozstań o wiele dłuższych, niż to kilka pierwszych pośmiertnych tygodni. Upłynęło sporo miesięcy, zanim pojąłem istotę śmierci. To było dla mnie zaskakujące odkrycie. Sądzę, że podobne procesy psychiczne będzie przeżywał biedny Andrzej. On przecież tak kochał Irenę. Ale jestem przekonany, że teraz, w tym momencie, nie uświadamia sobie jeszcze nieodwracalności tego faktu. Stan odrętwienia i jakiejś martwoty wewnętrznej paraliżuje Jego umysł. Chyba sama przyroda wymyśliła taki bieg rzeczy, żeby ludziom łatwiej

było stopniowo oswajać się z tym ciosem, jakim jest śmierć osoby najbliższej.

Anna słuchała w milczeniu. Widziała przed sobą twarze skupione i obojętne. Ludzi było na ogół niewiele. Stare, zażawione ciotki, kilku kolegów-architektów, oficer, który rozglądał się niespokojnie, jak gdyby chciał upewnić się, czy trafił na właściwy pogrzeb, grupka młodych dziewcząt, zapewne z konserwatorium, ojczym Andrzeja, który z nim nie utrzymywał stosunków, trzej panowie z wiązkami kwiatów, dwoje dzieci uczyszanych przez kobietę w chustce na głowie, młody człowiek z wąsikami, stojący na uboczu, wpatrzony bezmyślnie w jeden punkt

— Przypuszczam, że my oboje bardziej realnie odczuwamy to, co się stało, aniżeli Andrzej. Spójrz, jaki jest Opanowany i spokojny. Żal mi go okropnie. To było takie dobre małżeństwo. A Irena... Mój Boże... Ile niesprawiedliwości losu kryje się w tym, że to właśnie ona musiała umrzeć... Taka ładna, dobra, czarująca. Małoż to jest ludzi nikomu niepotrzebnych, będących ciężarem dla siebie i dla innych?... Dlaczego Irena?

Ceremonia pogrzebowa przedłużała się i Wiktor snuł swoje rozważania półgłosem, monotonicznie, przekazując Annie, myśli, które zazwyczaj nurtują każdego, kogo smutny obrządek sprowadza na cmentarz. Zresztą ciepły, wiosenny dzień usposabiał raczej pogodnie. Drzewa okryte były delikatną zielenią. Siateczka świeżych liści napępiała powietrze ledwie uchwytnym, a równocześnie jakby nieco lepkiem zapachem wiosny. Ten majowy nastrój obudzonej do życia przyrody, ta pełna nadziei pora roku kontrastowała z prawdziwym czy też tylko konwencjonalnym smutkiem uczestników pogrzebu. I Annie wydawało się, że nawet śmierć w takim dniu powinna być odczuwana mniej boleśnie. Wydawało się jej, że Andrzej dzięki wiosnie mniej cierpi.

Słuchała wynurzeń Wiktora z roztargnieniem, przyglądała się murarzom, którzy układali z cegieł sklepienie grobu. Domyślała się, że większość z obecnych czeka niecierpliwie na zakończenie ceremonii, aby wrócić do swego normalnego życia, do obowiązków i spraw tak dalekich pojęciu ostateczności, jaką jest śmierć człowieka. Domyślała się, że szeptem wymieniają pomiędzy sobą mało ważne uwagi, plotki, słowa bez znaczenia, które wypełniają ich szarą codzienność, dającą jednakże poczucie istnienia i trwania. Słowa Wiktora odbijały od tych domysłów powagą i pozorną głębią. Był starym przyjacielem Andrzeja, umiał podziwiać zalety Ireny, toteż Anna wierzyła w jego szczerość. I ona poczuła nagły żal, głównie z tego powodu, że tak młoda kobieta nie doczekała wiosny. A właśnie w bocznej alei cmentarza pod murem widać było krzak bzu, który dopiero rozkwitał. Wzięła Wiktora pod rękę i powiedziała: — Pójdiesz do Andrzeja? Chciałabym pójść z tobą. Nie możemy go zostawić samego.

Po pogrzebie wyszli razem z cmentarza. Udało się im złapać wolną taksówkę. Andrzej był opanowany i uroczysty. W jego mieszkaniu czyjaś zyczliwa ręka zaprowadziła porządek i ład. W wazonie stały świeże żonkile. Po chwili rozległo się pukanie do

drzwi. To sąsiadka, pani Rysicka, podała tacę z termosem:

— Panie Andrzeju, zaparzyłam kawę. To panu dobrze zrobi.

Po tych słowach usunęła się dyskretnie. Andrzej bezradnie trzymał tacę i rozglądał się po pokoju.

Anna wzięła od niego termos, przyniosła z 'kuchni filiżanki i nalala (kawę. Jej czynności przywróciły w tym mieszkaniu, opuszczonym przez panią domu, normalne procesy życiowe, co otrzeźwiło nieco Andrzeja. Widział obok siebie dwoje przyjaciół, wobec których nie musiał zbytnio maskować swego bólu, ale nie chciał też nadużywać ich serdeczności i współczucia przez nadmierne okazywanie żałoby. Z Wiktorem zaprzyjaźnił się w czasie wojny, przebył z nim drogę bojową od Lenino do Kołobrzegu, gdzie został ciężko ranny i gdzie Wiktor uratował mu życie, wynosząc go z pola walki. Takie przeżycia tworzą związki nierozzerwalne. Po wojnie razem ukończyli studia i pracowali w tym samym biurze projektowym, Wiktor był świadkiem na jego ślubie. Działo się to dziewięć lat temu. A więc dziewięć lat szczęśliwego pożycia z Ireną. I właśnie dziś wszystko się skończyło. Wspominając te dawne czasy Andrzej odszedł do okna, aby się opanować. Tak, Wiktor zawsze będzie mu przypominał dzień ślubu z Ireną. Powiedział wtedy żartując:

— Andrzeju, musisz jej dobrze pilnować. Ładna żona to owca wśród wilków.

Tamtego dnia Irena miała na sobie granatowy kostium i białą bluzkę z krawatem, którego nie umiała zawiązać. Wiktor jej w tym po

magał. Przez parę lat opierała się naleganiom Andrzeja, który ją kochał wytrwale i cierpliwie. Był głęboko przekonany, że uczucia kobiety zdobywa się głównie uporem. W rezultacie wierną adoracją skruszył jej początkową obojętność, umiał być uprzedzająco uważny i z czasem stał się w życiu Ireny absolutnie niezbędny. Gdy go nie miała przy sobie, odczuwała jeśli nie pustkę, to w każdym razie brak czegoś, co wypełniało puste miejsce. Podobnie bywa po usunięciu z pokoju ulubionego mebla. Nie dostrzegamy jego obecności, ale gdy go zabraknie, nasze przyzwyczajenie odczuwa to jako zakłócenie ustalonego ładu. Przyzwyczajenie Ireny do widoku Andrzeja, do uwielbienia, jakie jej okazywał, przełamało opory. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy podczas kolacji w „Bristolu” Irena bardziej żartem niż serio powiedziała:

— Tak ci zależy na tym, żebym została twoją żoną? Jakie to banalne i nudne. Ale ostatecznie mogę się zgodzić. Przecież wiem, że mi nie dasz spokoju. Na kochanka się nie nadajesz, bo za mało cię na to kocham, ponieważ jednak nie kocham nikogo innego, ciebie zaś lubię bardziej niż tych, którzy zabiegają o moje względy, pozwałam ci zająć się sprawą naszego ślubu. Traktuj tę moją zgodę jako oznakę sympatii, ale równocześnie jako akt rezygnacji. Marzył mi się królewicz z bajki. Rozstaję się z tym marzeniem dla ciebie. Nie będę pierwszą, dla której zabrakło na świecie królewicza.

Mówiła to z przekorą i z zalotnym uśmiechem, jakby pozorami słów starała się pokryć

prawdziwe uczucia, których po kobiecemu nie chciała objawiać zbyt otwarcie.

I tak rozumiał to Andrzej, zmęczony długotrwałym oczekiwaniem, ufny w spełnienie utrudzonej, ale upartej nadziei.

Pożądał Ireny przez długie lata, kochał ją uczuciem bolesnym, którego napięcie z czasem osłabło, stępiła się namiętność, a pozostała nieugięta potrzeba osiągnięcia upragnionego celu. I w końcu dopiął swego, jak wędrowiec, który resztkami sił dobrnął do miasta swoich marzeń, do jakiegoś Asyżu czy Sieny, ale ze zmęczenia nie jest już w stanie odbierać w pełni jego piękna.

Małżeństwo z Ireną było pozornie szczęśliwe. W pierwszej fazie dawało Andrzejowi zadowolenie, którego nie umiał jeszcze całkowicie ogarnąć. Miało w sobie coś z radosnej rekonwalescencji. Potem przyniosło wewnętrzne uspokojenie i uczucie błogości, podatne na ustępstwa i kompromisy, tak niezbędne w stosunku do kobiety świadomej swojej przewagi. Ale nawet te nieodzowne ustępstwa nie umniejszały nawyku adorowania Ireny i same w sobie stały się dla Andrzeja potrzebą serca.

Powierzchność Ireny nie fascynowała na pierwszy rzut oka. Dopiero przy bliższym poznaniu ujawniały się Jej utajone powaby. Włosy i oczy o złotawym odcieniu harmonizowały ze smagłą barwą skóry. Nos, regularny i zgrabny, jakby unosił nieco górną wargą, odsłaniając zęby i kawałek górnego dziąsła. Przedziałek pomiędzy przednimi zębami obnażał w uśmiechu pewną zaborczość. Głowa, osadzona na długiej szyi, nigdy nie trzymała się

-i

prosto, lecz pochylona nieco na bok nadawała spojrzeniu, niekiedy cechy senności, niekiedy znów kokieterii. W tym przegięciu głowy mieściło się wiele nieświadomego wdzięku Ireny. Stan miała przydługi, ale wadę budowy pokrywała zręcznie plisowanymi spódnicami i wysoko noszonym paskiem. Ale największą jej ozdobą były ręce, którymi umiała gestykulować, nadając palcom wymowę bardziej wyrazistą niż słowom i uśmiechom.

Na prośbę Andrzeja Anna, która była rzeźbiarką, zdjęła po śmierci Ireny formę jej pięknej ręki i teraz gipsowy odlew leżał na biurku w swej martwej bieli.

Po wypiciu kawy Andrzej przeniósł odlew na ¹ bidermayerowski stół w głębi pokoju, opróżniony i jakby zawczasu przygotowany na przyjęcie relikwii.

— Tu będzie miejsce pamiątek — rzekł Andrzej. — Nie, nie żaden ołtarzyk. Nie mam zamiaru ośmieszać wspomnień po Irenie. To obrażałoby jej dobry smak. Ale chciałbym mieć zawsze przed oczami to, co łączyło nas w naszych upodobaniach. Tutaj powieszę reprodukcję „Śniadania na trawie”. Sześć lat temu, gdy byliśmy w Prowansji, urządziliśmy sobie takie śniadanie dokładnie według obrazu Maneta. Dam także oprawić portrecik Ireny i postawię go na stole w tym miejscu. Spójrzcie, jak dobrze uchwycone jest podobieństwo. To dzieło mało znanej malarki. Zaprojektowałem półki do jej mieszkania, a ona w ten sposób mi się zrewanżowała. Irena bardzo się z nią zaprzyjaźniła. A to książka. Ostatnia, którą czytała. Nawet nie wiem, czy zdążyła ją dokończyć. Każę oprawić ją w skórę. Albo nie...

■

1

■

Przecież Irena książką tę trzymała w rękach... Na okładce są jeszcze ślady jej palców. To wszystko pragnę zachować,

Anna obserwowała krzątanicę Andrzeja z mieszanymi uczuciami. Ten inteligentny człp- wiek, utalentowany architekt, z którym wspólnie pracowała nad projektem pomnika, usiłował rozproszyć swoją żalobę zaprzatając uwagę sprawami powierzchownymi, bez znaczenia, jak przeciętny człowiek, który nie potrafi głębiej odczuwać tragizmu sytuacji. Przecież Irena umarła i wszystko, co z nią się wiązało, zginęło bezpowrotnie. Anna uświadamiała sobie nieodwracalność, nieubłaganą nieodwracalność tej przedwczesnej, okrutnej śmierci. Co przeżywał Andrzej, co działo się w jego sercu, gdy pieczołowicie układał książkę obok gipsowej dłoni?

Andrzej wrócił znowu do biurka i zagłębił się w szufladach w poszukiwaniu pamiątek po Irenie.

..-!- Ta tabakierka to ostatni podarunek, jaki od niej dostałem -r- rzekł przecierając srebro połą marynarki, - r? Podarowała mi ją na imieniny... Na krótko przed pójściem do szpitala.

Anna pamiętała ten dzień. Prześwietlenie wykazało już wtedy nowotwór. Andrzej nie zdawał sobie sprawy z grozy sytuacji, nie tracił nadziei, odsuwał od siebie niepokojące myśli. Potem spędzał przy łóżku Ireny wszystkie wolne chwile, przesiadział przy niej ostatnie noce. Zżerana przez nieuleczalną chorobę, po dwóch kolejnych operacjach, Irena zmieniła się, zdrobniała, cierpienie zniekształciło twarz, starło z niej żywą barwę. Z odchy

loną górną wargą i obnażonymi zębami przypominała teraz wystraszone zwierzątko. Tak wyglądała zabita wiewiórka, którą Andrzej widział kiedyś w łazienkowym parku. I taka Irena utkwiała mu w pamięci. Nie była to już kobieta, o której zdobycie niegdyś walczył, której pragnął, którą podziwiał. Jej przewlekłe cierpienia udreżyły go, wprawiły w stan odrętwienia, przestawał rozumieć następujące po sobie zdarzenia i fakty, poddawał się tepej bezmyślności. W chwili poprzedzającej agonię Ireny, kiedy morfina nie mogła już znieczulić jej cierpień, powiedział:

— Kochana, bądź jeszcze trochę cierpliwa... Już niedługo...

I wydawało mu się, że śmierć jest równoznaczna z ulgą, jakiej doznaje człowiek po dokonanych bolesnym zabiegu. Zresztą, kiedy Irena przestała jęczeć i umarła, Andrzej zrozumiał tylko tyle, że ustało cierpienie. Gdy zaś po kilku sekundach w umęczonym ciele rozległo się krótkie burczenie, a potem dopiero wyleciał z niego ostatni dech, Andrzej istotnie doznał uczucia ulgi.

Teraz spokojnie i rzeczowo układał na stole pamiątki po Irenie i w tych czynnościach przypominał Annie kustosza muzeum Szopenowskiego w Mariańskich Łaźniach, którego przed miesiącem widziała przy pracy.

— Irena żyła tyle samo lat, co Szopen — powiedział Andrzej, jakby odgadując jej myśli. Hj Szopen miał w sobie wszelkie cechy geniuszu, był równy bogom. A i on umarł. A także Rafael. I Lorca. I Rimbaud. Tacy młodzi. Wszyscy umarli. Gdybym wierzył w Boga, stałbym się apostatą. Za jego okrucień-

stwo, za jego bezmyślność w ferowaniu wyroków. Irena miała dopiero trzydzieści dziewięć lat.

Słowa te mówił półgłosem. Przyrównywał Irenę do genialnych artystów, chociaż była tylko mierną pianistką. Ale Andrzej był niemuzykalny i nie umiał odróżnić jej gry od gry Rubinsteina. Opanowanie nut i klawiatury przyjmował jak magię. A teraz powołując się na wielkich ludzi, którzy zmarli młodo, starał się sam sobie wytłumaczyć niesprawiedliwość losu, która dopuściła do śmierci Ireny.

Wiktor nie przerywał mu w obawie, aby jakimś nierozważnym słowem nie zakłócić żałobnego nastroju. Miał umysł trzeźwy i sceptyczny, śmierć widział z bliska na wojnie, sam o nią nieraz się otarł, stracił wielu przyjaciół — towarzyszy broni. Wiedział, że umrzeć, to znaczy nigdy już nie być, nie widzieć, nie słyszeć, nie czuć, nie myśleć. Że to już koniec wszystkiego, co wiąże się z pojęciem istnienia człowieka.

— Przeżyłem z Ireną dziewięć lat — powiedział Andrzej przeglądając jej fotografie. — Spójrz, Wiktorze, to nasze zdjęcia znad morza. Ileż w niej było radości życia i ile pogody. Ile życzliwości w stosunku do ludzi. Miała w sobie nieodparty urok. Lubiła zalotną grę, chociaż — mogę wam to wyznać — była w istocie kobietą chłodną, powiedziałabym nawet — beznamietną. Może właśnie dlatego nigdy nie wystawiała na próbę mojej zazdrości. Zresztą wiecie, jak mi była oddana. Zawdzięczam jej najpiękniejsze lata, najszcześniejsze, prawdziwie bezchmurne. Muszę fotografie te

— 148 —

powklejać do albumu. Ich miejsce także jest tutaj, pośród pamiątek.

— Szkoda, że nie mieliście aparatu filmowego — powiedziała Anna.

— Szkoda i — podchwycił Andrzej. — Mógłbym ją teraz oglądać w ruchu, słyszeć mówiącą. Nigdy dawniej nie pomyślałem o tym. Zaraz... Jak to? Ależ oczywiście! Mam jej głos na taśmie, przecież go nagrałem! Mówiąc to z nerwowym pośpiechem otworzył magnetofon i zabrał się do szukania taśmy.

— Andrzej, jest już po czwartej, może pójdziesz z nami coś zjeść? Pod „Kandelabry” albo do „Grand Hotelu” — odezwał się wreszcie nieśmiało Wiktor. I od razu poczuł niewłaściwość tych słów, zwłaszcza że Andrzej spojrział na niego z wyrzutem.

— Jeść? Nie, nie! O, znalazłem! To było w zeszłym roku. Nie pamiętam już nawet, po co i z jakiej okazji nastawiłem wtedy magnetofon. Posłuchajcie, usłyszemy jej głos.

Nacisnął klawisz magnetofonu, po czym rozległ się podniesiony głos Ireny. Wszyscy troje słuchali z uwagą:

— Męczysz mnie — mówiła Irena — męczysz i nudzisz. Nie mam żadnych przyjemności, wystraszyłeś wszystkich moich przyjaciół. Ciągle tylko ta napsuzona, egzaltowana Anna. Nie znoszę jej, rozumiesz? Po co zmusiłeś mnie do małżeństwa! Trzeba było ożenić się z nią. Mam cię dosyć, dosyć, rozumiesz? Zrobiłeś sobie ze mnie niewolnicę. Tylko twoja praca jest ważna, a ja? Co ja mam z ciebie? Czy obchodzi cię moja muzyka? Jesteś głuchy, głuchy jak pień! Chcę żyć, ro-

zumiesz? A ta cała twoja miłość! Zmusiłeś mnie do małżeństwa przez próżność, przez głupią męską ambicję. A teraz, co? Czy ja mam męża? Odejdź! Nie zbliżaj się do mnie! Jesteś...

Andrzej wyłączył magnetofon. Na Jego twarzy pojawiły się czerwone plamy.

— Idźcie teraz na obiad — powiedział unikając wzroku Anny. — Ja tu zostanę. Chcą być sam. Nie jestem głodny.

— Dobrze, pójdziemy — rzekła Anna. — Ale obiecaj mi, że przyjdiesz wieczorem. Rodzice bardzo się ucieszą. Nie zrobisz nam zawodu?

— Trzymaj się, stary — dorzucił Wiktor, klepiąc go po ramieniu. — Wprawdzie Anno mnie nie zaprasza, ale chętnie zjem razem z wami kolację. Nie rozklejaj się. Bądź mężczyzną.

Wszystko, co mówił, było niezgrabne, zdawkowe. Głos Ireny z magnetofonu wdarł się w atmosferę pietyzmu i żałoby jak ostry zgrzyt. Był przygnębiającym świadectwem życiowej prawdy, o której Andrzej nie mówił nigdy, nawet z przyjaciółmi. Toteż Wiktor szybko zbiegł po schodach, aby jak najprędzej znaleźć się na ulicy. Tu oboje z Anną odetchnął! świeżym, wiosennym powietrzem i zonurzył się w tłum Jak w ożywczy strumień. Życie było piękne i pachniało fiołkami.

Andrzej, stojąc w oknie, odprowadzał ich spojrzeniem. Ciężka mu obecność przyjaciół, wobec których należało odgrywać jakąś nieokreśloną rolę człowieka znękanego, złamanego nieszczęściem. Łaknął samotności, aby w sposób nieprzymuszony uporządkować swoje uczucia i myśli. Po nie przespanych nocach, po straszliwym nerwowym napięciu odczuwał znużenie graniczące z otępieniem i obojętnością.

Taśma magnetofonowa przypomniała mu okrutne słowa, których mu Irena nie szczędziła przy lada sprzeczce i które układały się między nimi jak cień odlatującego ptaka.

Usiadł w fotelu i starał się możliwie naj- trzeźwiej przeanalizować swój stan wewnętrzny. Próbował myśleć z chłodną rozwagą.

— Śmierć to absolutny koniec istnienia. Dlatego też z punktu widzenia biologii śmierć człowieka niczym nie różni się od śmierci muchy... Nie, nie! Cóż za niedorzeczność! Po śmierci człowieka pozostaje nicność, to prawda. Ale po śmierci niektórych nicność zamienia się w pustkę. Takie sformułowanie jest chyba trafniejsze. Nie wydaje mi się, abym prawdziwie i głęboko cierpiał. I czy wogóle potrafię cierpieć? Odczuwam przeraźliwą pustkę. Mam za małą wyobraźnię. Albo też jestem tak wyczerpany psychicznie, że na cierpienie przestałem już reagować.

Wziął ze stołu portret Ireny i zaczął mu się uważnie przyglądać. Pomimo całego wysiłku i napięcia nie mógł w żaden sposób wskrzesić w pamięci obrazu dawnej Ireny, jej żywego ciała, ruchów rąk, zmiennego wyrazu twarzy. Na próżno starał się przypomnieć sobie sceny z ich wspólnego pożycia, każde wspomnienie przybierało kształt płaski, dwuwymiarowy, martwy. Miał przed oczami wciąż tą samą postać ze szpitalnego łóżka, wychudzoną i wyniszczoną przez chorobę, widział szarą, zapadłą twarz, wyblakłe, gasnące oczy,

usta rozwarte i zniekształcone bolesnym grymasem. Pyszczyk nieżywej wiewiórki. I obraz ten przysłał całą całkowicie dawne wcielenie Ireny, którego Andrzej nie umiał już ożywić ani przywrócić w pamięci.

Podszedł do stołu, przesunął palcami po Igipsowym odlewie ręki i w tym momencie [uświadomił sobie całą bezcelowość tego rodzaju pamiętki. Twardy, chropowaty gips niczym, nawet wyglądem, nie przypominał dłoni Ireny, ani żywej, ani martwej.

Zabrał się machinalnie do układania innych pamiętek na stole. Zajrzał do książki, która była ostatnią lekturą Ireny. „Mon coeur mis en nu”. Stare, przedwojenne wydanie Beaudelaire'a. Kilka podkreśleń przy nazwisku George Sand.

Przeszedł do sypialni. Spojrzał na małżeński tapczan, ale i tu nie zdołał wykrzesać z siebie żadnego wspomnienia. Znowu wyobraźnię jego opanował widok wykrzywionej twarzy i zarys wynędzniałej postaci pod szpitalną kołdrą.

Zajrzał do szafy, potem otworzył bielizniarkę, jak gdyby szukał ucieczki od tej natrętnej wizji. Wyjął koszulę nocną Ireny i przyłożył ją do twarzy. Przez krótką chwilę owiał go zapach upranej bielizny, pomieszany z lawendą, której pęk wisiał na wewnętrznych drzwiach bielizniarki. Sięgnął po inne, bardziej jeszcze intymne części bielizny, miał je w rękach, tulił do ust i w zapadającym zmierzchu starał się obudzić w sobie dawne podniety. Ale i tu nie dopisała mu wyobraźnia. Zanurzył ręką głębiej, zdawało mu się, że odnajdzie wśród delikatnych jedwabi i koronek upragnioną aurę minionych lat. Pod warstwą miękkich

— 152 —

tkanin ipoczuł coś twardego. Była to paczka listów, przewiązana wstążeczką.

Andrzej wrócił do gabinetu, usiadł przy biurku i zapalił lampę. To były jego listy pisane do Ireny, listy z różnych okresów. Czytał je z zainteresowaniem. Pełne były uwielbienia, natarczywych oświadczeń, upokarzających próśb. Irena widocznie wybierała i chowała te z nich, które schlebiali jej kobiecej próżności. Andrzej czytał z uwagą jeden po drugim. I nagle trafił na list pisany obcym charakterem pisma.

W pierwszej chwili myślał, że list ten zabłąkał się tu przypadkowo. I do kogo był pisany? Co miały znaczyć zawarte w nim słowa? Andrzej odwrócił ostatnią kartkę i zobaczył na końcu inicjały „K. B.” List nie miał żadnego wstępu. Ale treść jego nie mogła budzić wątpliwości. Andrzej naprzód przejrzał list pobieżnie, a potem pochylił się nad nim jak człowiek, który kładzie głowę pod topór. Wyczytał dwa zdania i one same wystarczyłyby, żeby zabić. „Będę czekał miesiąc, rok, całe życie, byle przeżyć z tobą jeszcze choć jedną taką noc... Każdą myślą pieszczę cię, całuję, tulę twoje ciało jak wtedy, w Krakowie...” Trzy dalsze listy, pisane takimi samymi okrągłymi literami, nosiły datę z dwóch lat następnych i były podpisane imieniem Karol. Przewijały się w nich wylewne czułości, pełne wspomnień i miłosnego żaru. Ale ostatni list w paczce nie pochodził już od Karola. Pisany był przez kogoś innego. Nosił datę z marca ubiegłego roku. Andrzej czytał go i zapadał się w przepaść. Imię Ireny powtarzało się w liście w rozmaitych spieszonych odmianach, zwroty były banalne i górnolotne, a równocześnie ob-

— 153 —

nażały wulgarną poufałość nieznanego amanta. List kończył się słowami: „Zgubiłaś w moim łóżku bursztyny. Przypominają mi koniuszki twoich piersi. Zachowam je na pamiątkę naszych rozkosznych nocy... Twój Romeo”. Któż to jest ten chłystek? Jakiś prowincjonalny uwodziciel? Na pewno dużo młodszy od niej. Romeo!... Błazen!

Andrzej przeczytał listy powtórnie, potem raz jeszcze. Z wolna docierała do jego świadomości druzgocąca prawda o Irenie. Odczuwał w skroniach łomotanie tak głośne, jak gdyby dwie blachy uderzały jedna o drugą. Nie chciał, nie miał siły uwierzyć w rozpustne eskapady Ireny, w jej zdradę i obłudę. Ale stopniowo lodowate igły zaczęły mu przeszywać serce i mózg.

— A więc tak... Moja Irena... Chłodna, beznamiętna, ale kochająca i wierna. Jej wyjazdy do Zakopanego i zatrzymania w Krakowie. Tęsknota do gór. Wiosenne rozdrażnienie po powrocie. Napady spleenu i nudy. Moja Irena. Tak... Teraz wszystko staje się jasne. Kwiaty! Nigdy nie wiedziała, od kogo są te kwiaty. Bursztyny zgubiła w pociągu. Prosiła, żebym późno nie dzwonił do Zakopanego, bo wyrzynam ją ze snu. W Krakowie musiała być w konserwatorium. Chłodna i beznamiętna. Tak, teraz rozumiem.

Andrzej powoli budził się z letargu, otrząsał się z odretwienia, które owładnęło nim po śmierci Ireny. Wyobraził ją sobie w łóżku z innym mężczyzną. Zaczął przypominać sobie pierwsze lata małżeństwa, ciało Ireny, jej burzliwe miłosne spazmy w chwilach oddania i stłumiony szept:

m

— Teraz mnie pocałuj... Jeszcze...

Czy mówiła tak samo do tamtych? Można oszaleć!

Nagle Irena wróciła do jego wyobraźni w pełni powabu i dojrzałej kobiecości. Stała mu w pamięci z całą wyrazistością. Przypominał sobie nieomylnie kształt jej nagości, ramiona, piersi, uda. Zalotne i przekorne kusicielstwo. Zawsze wilgotne wargi, spojrzenia niby znudzone, a obiecujące zarazem. To już nie była wychudzona postać umierającej Ireny ani pyszczek zabitej wiewiórki. Miał przed oczami dawny, tak niedostępny niegdyś i upragniony przedmiot miłości, z czasem żonę chłodną i obojętną, a w końcu zdračliwą i rozpustną. Tyle obłudy! Tyle fałszu!

Oblewała go fala straszliwego gniewu, a zwłaszcza zazdrości, dla której nie było już ani ujścia, ani zaspokojenia. I znowu przypomniał sobie, jak upokarzał się przed tą kobietą, jak miotał się w jej sidłach i usychał z pragnienia. To pragnienie czuł jeszcze w sercu, a zazdrość jak gdyby odświeżyła dawne szaleństwo, wzmogła namiętność. Nigdy jeszcze nie cierpiał przez Irenę tak, jak teraz. Nigdy nie doznawał uczucia rozdzierającej rozpacz na myśl, że nie może jej dopaść, bić i dusić z zazdrości i nienawiści. Albo nie! Upokorzyć ją i sponiewierać. Rzucić ją na łóżko jak szmatę i pastwić się nad jej ciałem, smagać ją imionami Karola i tego błazna Romeo, nasycić się rozkoszą, a potem nagą wypędzić na ulicę. I nigdy jej więcej nie widzieć!

Nigdy nie widzieć? Przecież Irena nie żyje. Nie zobaczy jej, choćby tego nie wiem jak pragnął. Ośłania ją śmierć. Irena umarła i

skończyło się wszystko, wszystko. Zdrada i nienawiść na równi odeszły w niebyt. Już nic jej nie może powiedzieć, nie może rzucić jej w twarz oskarżenia. I nigdy Irena się nie dowie, że on poznał jej nikczemne sekrety, wykrył niewierność, zdemaskował podłość i fałsz. Każda jego myśl uderza w próżnię.

Wtedy nagle przypomniał sobie, że ma przecież jeszcze jej głos, ten szczątek istnienia. Pozostał mu głos i z nim będzie mógł się rozprawić. Na wpół przytomny z rozpaczy i bólu, drżącymi rękami uruchomił magnetofon. Rozległ się zły, rozdrażniony głos Ireny. Andrzej stał obok i w ten głos utrwalony na taśmie wmixował swój żywy krzyk, obelgi i wyzwiska.

— Męczysz mnie — mówiła Irena, tymi samymi słowami, których przed chwilą wysłuchał w obecności Anny i Wiktora — męczysz i nudzisz.

Ja ciebie nudzę? — wołał Andrzej. — Ty rozpustnico, ty dziwko!

— Po co zmusiłeś mnie do małżeństwa...

— Milcz, bo cię zabiję! — wdierał się krzyk Andrzeja pomiędzy zdania płynące z magnetofonu.

— Mam cię dosyć, dosyć, rozumiesz? Zrobiłeś sobie ze mnie niewolnicę... Co ja mam z ciebie? — brzmiał głos Ireny.

— Nie wystarczyła ci moja miłość — usiłował przekrzyknąć ją Andrzej — zachciało ci się jeszcze wycierać po hotelowych łóżkach z kochankami, ty suko! Romeo!

— Odejdź! Nie zbliżaj się do mnie! — wołała Irena.

Głos umarłej kobiety przeplatał się z żywym głosem zdradzonego męża, rozbrzmiewał w pokoju narastającym wrzaskiem.

— Milcz, bo cię uduszę! — krzyknął Andrzej, rzucił się na magnetofon i zerwał taśmę.

Wszystko umilkło. Nastąpiła śmiertelna, przerażająca cisza. Andrzej gniótł w rękach taśmę, jakby to było gardło Ireny. Przez jego rozpalony mózg przemknęła myśl, że udusił Irenę i że ona umarła z jego ręki za popełnioną zdradę. Doznał uczucia ulgi, po chwili jednak oprzytomniał. Przecież Irena nie żyje i nie można jej zabić powtórnie. Zobaczył nagle znowu pyszczek nieżywej wiewiórki. Ale wiedział, że to wszystko nieprawda. Piekała tęsknota za Ireną wdarła się do jego serca. Tęsknota, miłość i zazdrość.

Tracił panowanie nad sobą. Kopnął magnetofon, potem zasunął kotarę u okna, wyjął z kredensu koniak i pił prosto z butelki, dużymi haustami. Zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wziął ze stołu gipsową rękę Ireny i roztrzaskał ją o ścianę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła pani Rysicka.

— Panie Andrzeju, co się u pana dzieje? Przepraszam, ale zaniepokoiłam się...

— Cóż ma się dziać? Przecież widzi pani, że nie ma nikogo. Nikogo! Jestem sam.

Kiedy sąsiadka wyszła, Andrzej rzucił się na tapczan i po raz pierwszy od śmierci Ireny zaniósł się rozpaczliwym szlochem.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bezgranicznie ją kochał. Dopiero teraz.

Kirę poznałem w Strasburgu w okolicznościach wyjątkowych. Na to, by ilosy nasze się połączyły, trzeba było splotu wielu zbiegów przypadków. Wspominam o tym dlatego, że stosowana przeze mnie metoda naukowa opiera się w znacznym stopniu na rozplątywaniu podobnych splotów i poddawaniu analizie ich poszczególnych elementów.

Jako psychiatra przyjąłem żelazną zasadę, aby każdy wstępny wywiad, przeprowadzany z pacjentem, zaczynał się od drobiazgowego prześledzenia łańcucha przyczynowego, który doprowadził go do sytuacji końcowej. Poznanie przyczyn i skutków pozwala mi odtworzyć procesy psychiczne pacjenta, wniknąć w pobudki kierujące jego postępowaniem, a tym samym wejrzeć obiektywnym okiem w układ i przebieg jego dotychczasowego życia, co moim zdaniem w psychiatrii rozstrzyga w sposób decydujący o kierunku terapii. Zebrany podczas wywiadu materiał układam w usystematyzowane schematy i wykresy, które więcej mówią o psychice chorego, niż najlepsza nawet fotografia o jego wyglądzie zewnętrznym.

Mam właśnie przed sobą tego rodzaju wy-

— 158 —

Schizofrenia

kres, dotyczący ostatniego mego pacjenta, którego jak zwykle określam z imienia. A więc w danym wypadku chodzi o Adama. Sporządzony przeze mnie schemat wygląda następująco. Adam obecnie ma lat sześćdziesiąt cztery. Przed pierwszą wojną światową, w wieku lat trzynastu, poznał na ślizgawce swego rówieśnika Andrzeja. Z bratem Andrzeja — Waławem, Adam zetknął się wtedy przelotnie, ale dzięki temu w późniejszych latach, w okresie studiów uniwersyteckich, przypomniał go sobie i nawiązał z nim bliższy kontakt. Później, gdy razem przygotowywali się do egzaminów końcowych, Waław sprowadził pewnego dnia swego przyjaciela Henryka, żeby ich przepisał z zakresu kodeksu cywilnego. Znajomość z Henrykiem utrwaliła się i po kilku latach, gdy Adam spotkał go w Krakowie, Henryk był już żonaty z Krystyną. Zwiedzali we troje Wawel, pojechali razem do Wieliczki. Między Adamem i Krystyną wywiązało się głębsze uczucie, które doprowadziło do rozbicia jej małżeństwa. Po roku była już żoną Adama. Przypadek zrządził, że w parę lat później Krystyna złamała na nartach nogę. Leczył ją chirurg Jerzy, którego żona Anna prowadziła w Warszawie zakład kosmetyczny. Krystyna zaczęła odwiedzać ten zakład i stopniowo zbliżyła się z Anną. Na imieninach u niej Adam poznał zalotną rozwódkę Marię, która go usidliła, zwabiła do siebie i wkrótce nawiązał się między nimi romans. Sprawa szybko wyszła na jaw i Krystyna, pomimo wielu starań ze strony Adama, opuściła go, nie mogąc darować mu zdrady. Romans Adama z Marią trwał blisko dwa lata. Tuż

— 159 —

przed wojną, podczas pobytu nad morzem, Maria spotkała swego kuzyna Witolda. Adam zainteresował się jego żoną Heleną, która na plaży, w słońcu, wydała mu się niezwykle pociągająca. W drugim roku okupacji Adam spotkał ją przypadkowo na ulicy. Dowiedział się od niej, że jej mąż Witold zginął w Oświęcimiu. Umówił się z nią raz i drugi. Niebawem zakochał się w niej bez pamięci, zerwał z Marią i zaraz po wojnie ożenił się z Heleną.

W schematycznym skrócie ten życiorys Adama przedstawia się dosyć banalnie, obfitował on jednak w wiele dramatycznych spięć, wstrząsów, konfliktów moralnych i głębokich przeżyć. Wysłuchałem go jak romantycznej powieści. Formułując mój schemat, odarłem procesy psychologiczne z ich powabu, spłycałem je, żeby uwydatnić jedynie łańcuch przyczynowy, który doprowadził mego pacjenta konsekwentnie od szkolnej ślizgawki do późniejszego małżeństwa z Heleną. Pomiędzy pierwszym i ostatnim ogniwem łańcucha upłynęło czterdzieści lat, właśnie ta zależność kolejnych wydarzeń ułatwia mi poznanie psychiki Adama, daje przesłanki do postawienia diagnozy i wskazuje na przyczyny schorzenia, które w ostatnim roku doprowadziło go do schizofrenii. W moim opisie pomijam wiele istotnych faktów, gdyż nie jest to praca naukowa, która wymagałaby przecież bardzo szerokiego omówienia szczegółów. Chodzi mi jedynie o szkieletowe zaznaczenie metody stosowanej przeze mnie w badaniu chorych. Mógłby ktoś powiedzieć, że nie jest to metoda nowa. Oczywiście, Ale ja nadałem jej nie znany

do kierunku poprzez specjalny układ schematów liczbowych, dzięki czemu można dziś w psychoterapii korzystać z maszyn matematycznych, stosować sterowanie programowe i ustalać bezbłędne sposoby skutecznego leczenia zaburzeń natury psychicznej.

Amerykańscy plagiatorzy, stosując swoją metodę Programme Evaluation and Review Technique, okradli mnie XL mego pomysłu zmieniając jedynie nazwę wykresów liczbowych na siatkę zależności. Nieraz już padałem ofiarą podobnego złodziejstwa, ale prawo nie zna ochrony myśli naukowej.

Byłem przez dwanaście lat dyrektorem Głównej Kliniki Psychiatrycznej. Jako lekarz poświęciłem się badaniom nad schizofrenią. Opracowanie metody schematów liczbowych w zakresie analizy łańcuchów przyczynowych przyniosło mi pewien rozgłos, a wiele z moich prac ukazało się w światowej prasie specjalistycznej. Nie będzie mi to chyba poczytane za chępliwość, jeśli stwierdzę, że dzięki tym publikacjom mówi się na Zachodzie o warszawskiej szkole psychiatrycznej. Poczciwi i łatwowierni uczeni za granicą nie zdają sobie sprawy, ilu nieuków i szarlatanów panoszy się u nas w tej dziedzinie medycyny. Jakiś anonimowy sprawozdawca, recenzując w „Kwartalniku Psychiatrycznym” moje prace dotyczące teorii schematów liczbowych, miał czelność napisać:

„Niektórzy dystymicy i kwerulanci, ciesząc się nadmiernym, a w każdym razie niezasłużonym autorytetem, szerzą niedorzeczne teorie, świadczące o zupełnej nieznajomości symptomatologii w zakresie objawów psychotycznych

i sami kwolflkują się raczej do roli pacjentów aniżeli lekarzy",

Aluzja to, rzecz prosto, wywołała wioło szu* mu w środowisku uniwersyteckim, Długo ukrywana zawiść znalazła dla siebie ujście, Uwi» klany w siód Intryg, musiałom rzucić się ka* todry, a wkrótce potatn pod naciskiem władz przelożonych ustąpi łom zo stanowiska dyro* która Głównej Kliniki Psychiatrycznej, Zmowa moich oponentów i wrogów doprowadziło do całkowitego niemal podkopania mego autorytetu naukowego. Pozostała mi praktyka prywatna, którą dla uniknięcia dalszych nieprzyjemności starałam się wykonywać raczej w spoiób dyskretny.

Nio wdaJeTTę tu w szczegóły, chociaż mógł* bym boz trudu obalić stawiano mi zarzuty, Nio chciałbym Jednak obciążać tej relacji bala* stem materiału teoretyczno-naukowego, gdyż posłużyć ma ona Jodynio do wyjaśnienia do- cy/.Ji, którą powzięłam, a którą osoby przynależno do pownego typu konstytucjonalnego uznają za desperacką, Nio ina ona nic współ* nago z kompleksem Majakowskiego, Jak okraślił skłonność do samobójstwa profesora SłorgioJow. Myślę raczej katogorlam! Hplkurai „Póki Jesteśmy, nio ma śmierci, a odkąd Jest śmierć, nie ma nas".

Piszę to w polni świadomości, Psychopato Nietzsche dla ratowania swój reputacji twierdził, że obłąd Jednostki Jant zjawiskiem niezmiernie rzadkim, natomiast u grup ludów i opok występuje jako roguła. Miał oczywiście na myśli uczonych, których mózgi wskutek or/.ołamlającego rozwoju władzy współczesnej ulegają protuberancjom i doprowadzane są do stanu psychicznego wrzonła. Toza ta może JohŁ i słuszna, Ja jednak, Bogu dzięki, zdołałam zachować niolunaruiizalną sprawność umysłu. Nio podoba się to oczywiście zgrai zawistnych kombinatorów.

Doszły mnie właśnie, że ten cynik, profesor Ligonhorn, na podstawie swojej ahsurdalnej teorii o Intoksykacji psychotycznej dopatrył się u mnio objawów schizofrenii, której uległam rzokomo przez obcowanie z osobnikami dotkniętymi tym schorzeniem. Jest to zupełna brednia, gdyż nio ma chyba wątpliwości, że zbliżona do siebie poglądy Morela i Kretsch- mora, oparta na fatalizmie i dyludziem, są jak najbardziej słuszne i naukowo uzasadnione. Opinia Ligonhorna, zaprzyjaźnionego z dygnitarzami z resortu zdrowia, stanowiła Jedoń z podstępnych chwytów, zmierzających do podcięcia mojej kariery.

I właśnie w tym tak krytycznym dla mnio momencie, kiedy czułam się osaczony ze wszystkich stron, zaproponowano mi, dzięki Interwencji nioloznanych przyjaciół, wyjazd do Strasburga, Zrosztą jestem przekonany, że przyczyniło się do tego wcześniejsze zaproszenie ze strony profesora Garraud, który pro* wadzi w Strasburgu Instytut Psychiatrii Hks* porymentalnoj. fakt zaproszenia, oczywiście, zatajono przede mną, nie mam Jednak wątpliwości, że uczony tej miary, co profesor Garraud, musiał zainteresować się moją metodą schematów liczbowych w diagnostyce i torą- pil chorób psychicznych,

Z uczuciom zrozumiałej ulgi zllkwldaualom najważniejszo sprawy i wyjechałem do rraa- cji.

Było to w lipcu 1962 roku. Utkwiły mi w Jpamięci poźółkłe od posuchy pola, które oglądałem z okiem wagonu, a także zatarg ze współpasażerem, jakimś Francuzem, który na złość mnie raz po raz otwierał okno. Sprzeciwiałem się temu, gdyż powiew wiatru targał mi włosy, co wywoływało we mnie drażniące uczucie łaskotania mózgu. Pamiętam, że Francuz, podobnie jak ów anonimowy paszkwilant z „Kwartalnika Psychiatrycznego”, nazwał mnie kwerulantem, ja zaś pokazałem mu język. Był to odruch niezbyt może odpowiadający powadze mego wieku i stanowiska, ale dziś sam już nie potrafiłbym go sobie wytłumaczyć. Chyba postąpiłem tak wskutek owego łaskotania mózgu.

Profesor Rene Garraud okazał się człowiekiem niezwykle kulturalnym i przyjął mnie z wielkimi honorami. Przedstawił mi swoich współpracowników, a następnie polecił mnie opiece jednego z asystentów, doktorowi Adlerowi. Ten Alzaczyc o rudej czuprynie i wyglądzie prowincjonalnego kłowna nie wywarł na mnie przyjemnego wrażenia. Miał tik w prawym oku, co nadawało jego słowom i zachowaniu zabarwienie ironii czy drwiny. Zresztą wydał mi się nieco podejrzany, gdy po wprowadzeniu mnie do apartamentów gościnnych powiedział:

— Znajdzie tu kolega wszelkie niezbędne leki. Cały personel naszego Instytutu obowiązany jest stosować się do zasad profilaktyki, celem uniknięcia intoksykacji psychotycznej. Udzielę koledze później niezbędnych wskazówek i zaleceń przepisanych przez profesora Garraud.

Wydało mi się, że poufalskość doktora Adlera była nie na miejscu. Aczkolwiek bowiem odebrano mi katedrę i gdyby nawet doktor Adler o tym wiedział, powinien był tytułować mnie profesorem. Wzmianka o intoksykacji psychotycznej wskazywała też na to, że ze wszystkich osiągnięć warszawskiej szkoły psychiatrycznej do Adlera dotarły jedynie absurdalne poglądy Ligenhorna, którego ja właśnie zwalczałem jako dyletanta. Powstrzymałem się jednak od wszelkich uwag, aby w oczach cudzoziemca nie dyskredytować polskiego, bądź co bądź, lekarza, nawet tak mało zasługującego na szacunek, jak ten niedoważony pseudonaukowiec Ligenhorn. Przez chwilę żałowałem nawet, że Ligenhorn nie przyjechał tu ze mną, gdyż jego starcze psychozy mogłyby być skutecznie leczone w Instytucie profesora Garraud. Ale myśl tę uznałem natychmiast za niedorzeczną. Wyobrażam sobie, do jakich scysji mogłoby dojść między nami, gdybym musiał być świadkiem jego niepoczytalnych popisów. Oddany do mojej dyspozycji apartament na pierwszym piętrze składał się z dużej sypialni, urządzonej ze smakiem, ale utrzymanej w stylu nowoczesnego szpitalnictwa. Do sypialni przylegał salonik i wygodna łazienka. Spośród zapowiedzianych przez doktora Adlera leków zauważyłem w szafie komplet tabletek o nieznanej mi nazwie „Nosilid” oraz aparat elektryczny wynalazku profesora Ganaud, noszący znak jego patentu. Była to obręcz

przystosowana do wymiarów czaszki ludzkiej, zaopatrzona w trzy regulatory.

Przez kurtuazję i szacunek dla moich gospodarzy poddawałem się ich zabiegom przez cały czas pobytu w Strasburgu, chociaż uważałem je za zbędne i nonsensowne.

Wieczorem profesor Garraud zaprosił mnie na obiad do wykwintnej restauracji „La belle Alsacienne” przy ulicy Świętej Genowefy. Obecni byli również jego asystenci, doktor Adler i Amblard, oraz neurochirurg, sławny profesor Charles du Crochet.

Rozmawialiśmy o sprawach obojętnych. Musiałem opowiadać im o Warszawie, którą doktor Amblard znał jeszcze sprzed wojny, o „Fizykach” DOrrenmata, o sytuacji w polskiej onkologii.

— Sądzę — powiedział profesor Garraud — że wasza rodaczka, pani Curie, musiała szczególnie zaważyć na kierunku badań nad istotą nowotworów złośliwych. Należy przypuszczać, że właśnie z Polski będą promieniowały nowe idee w dziedzinie walki z rakiem.

— Pani Curie-Skłodowska — odrzekłem kładąc szczególny nacisk na polską część jej nazwiska — pchnęła naprzód całą naukę światową, nie tylko naszą. Ale jak dotąd zespolone wysiłki wszystkich uczonych nie dały upragnionych rezultatów. Nie żądajcie od Polaków zbyt wiele, wystarczy na razie to, co zdołaliśmy w dziedzinie psychiatrii,

Garraud nie podtrzymał tego tematu, tylko zaczął rozwódzić się nad zaletami win alzackich. Nazwał kilka ich gatunków oraz wymienił szczególnie wartościowe roczniki.

— Wypijmy na cześć naszego gościa — rzekł z uśmiechem du Crochet i kazał kelnerowi napełnić kieliszki.

— Romain Rolland, ten znał się na wi- nach! — zawołał ni z tego, ni z owego doktor Amblard. — Można mu było mieszać w kieliszku pięć gatunków białego wina, a on nieomylnie potrafił rozróżnić każdy z nich i w dodatku określić jego rocznik. Tylko człowiek o takim podniebieniu mógł napisać „Colas Breugnon”.

Doktor Adler nie tknął wina. Jestem może nieco przewrażliwiony, ale poczułem się dotknięty, że ten rudzielec pominął toast wzniesiony na moją cześć.

— Kolega po raz drugi okazuje mi brak szacunku — powiedziałem szorstko i przytknąłem palcem w jego kieliszek.

Alzaczek zaczerwienił się, pofolgował swemu tikowi, po czym rzekł:

— Z pana jest typowy Polak. Znałem takich podczas wojny.

Du Crochet mrugnął do mnie porozumiewawczo, a po pewnej chwili, gdy Adler poszedł do telefonu, powiedział do mnie poufnie:

— Biedak ma obsesję na jednym punkcie. Jest przekonany, że Niemcy, uciekając stąd, zatruli wszystkie alzackie winnice. Profesorze — zwrócił się do Garrauda — kiedy wreszcie wybije pan z głowy swemu asystentowi lęk przed winem?

— To drobiazg. Mam nadzieję, że przy zastosowaniu mego cyborgizatora szybko usunę te objawy.

— Czy mowa o jakimś nowym leku? — zapytałem.

— Nie, cyborgizator to aparat, który opra-

cowalem wspólnie z amerykańskim uczonym Klinem* Zresztą znajduje się on w pańskim pokoju. Sądzę, że zechce pan z niego skorzystać. Jego urządzenie elektroniczne zastępuje w pełni bodźce biochemiczne i daje człowiekowi możliwość adaptacji do normalnego środowiska. Sam się pan przekona, drogi panie Sotela.

Nazwisko moje wymówił z francuska, co brzmiało jak „sautez Ih”. Był w tym odcień ledwie dostrzegalnej ironii, na którą musiałem, rzecz prosta, zareagować.

— Polacy nie skaczą — powiedziałem, — Polacy kroczą do wytkniętego celu.

Amblard wziął to za dowcip i zarechotał rubasznie. Śmiał się pobekując jak kozioł. Zresztą, jeśli przyjąć, że każdy człowiek przypomina jakieś zwierzę, muszę stwierdzić, że Amblard miał w sobie właśnie coś wyraźnie koziego. Nosił jasną, jedwabistą bródkę, a włosy rozczesywał na boki i układał je w rozki po obu stronach głowy. Nos miał nieco spłaszczony, o dużych, brzydkich nozdrzach. Mówił niewyraźnie i z lekka seplenił.

Na tle koziego Amblarda i rudego Adlera Garraud prezentował się wyjątkowo nobliwie. Bujne, siwe włosy podkreślały wyraz czarnych oczu o inteligentnym, sugestywnym spojrzeniu. Były to oczy jeśli nie hipnotyzera, to w każdym razie człowieka pewnego siebie, który potrafi narzucić innym swoją wolę.

Nawiązując do jego wzmianki o cyborgiza* torze, powiedziałem świdrując go wzrokiem:

— Urządzenie elektroniczne, o którym pan wspominał, byłoby chyba przydatne do mojej

metody wykresów liczbowych, przystosowanych do sterowania programowego.

— No tak, owszem, ale... niezupełnie — odrzekł Garraud i spojrzał ukradkiem na Amblarda, co nie uszło mojej uwagi. — A propos ... Jest w klinice naszego Instytutu pewna pacjentka, pańska rodaczka. Byłoby dobrze, gdyby zechciał się pan nią zająć. Patofizjologia wyższych czynności nerwowych daje obecnie możliwość wytłumaczenia mechanizmu objawów chorobowych tej kobiety. Stwierdziliśmy u niej schizofrenię urojeniową. Może zatem pan, stosując swoją metodę, wyjaśni patogenezę choroby i znajdzie skuteczne sposoby terapii. Przyznaję, że nasze wysiłki nie dały dotąd pożądanego rezultatu.

Po wysłuchaniu tej dosyć mętnej wypowiedzi Garrauda zrodziło się we mnie podejrzenie, że ten wybitny uczony jest w gruncie rzeczy francuskim odpowiednikiem naszego Ligenhor- na. Nie dałem jednak nic po sobie poznać.

— Cenię pańskie zaufanie, profesorze — powiedziałem z udanym szacunkiem. — Chętnie podejmę się leczenia mojej rodaczki. Uważam to za mój obowiązek i jestem przekonany, że nie zawiodę pokładanych we mnie nadziei.

— Wy, Polacy, macie ogromną pewność siebie — zauważył Adler. — W psychiatrii ma ona decydujące znaczenie.

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie i rzekłem z naciskiem:

— Tak, my, Polacy, nie skaczymy, lecz kroczymy do wytkniętego celu.

Du Crochet odwiózł nas swoim samochodem do Instytutu. Siedziałem na przednim siedzeniu obok niego. Powiedział do mnie półgłosem:

— Niech pan ich nie drażni. Proszę to przyjąć jako przyjacielską radę. Jestem neurochirurgiem i nie znam się na abstrakcjach. Ale wiem, że psychiatrzy są piekielnie drażliwi. Pan, jako cudzoziemiec, może napotkać tu wiele rzeczy dla siebie niezrozumiałych. W końcu żyjemy wśród ludzi psychicznie chorych, a to nie jest ani proste, ani łatwe. Zresztą, według mego przekonania, wszyscy ludzie w jakimś stopniu dotknięci są chorobą psychiczną.

Gdy znalazłem się w swoim pokoju, poczułem śmiertelne znużenie, a mimo to długo nie mogłem zasnąć. Znowu opanowało mnie uczucie osaczenia. Dopiero o świcie zapadłem w kamienny sen. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Pokojówka Colette przyniosła śniadanie.

2

Wkrótce zjawił się doktor Adler. Miał na sobie jedwabny kraciasty szlafrok, a pod spodem piżamę. Poprzedniego dnia sądziłem, że zarówno on, jak i profesor Garraud w chwili mego przybycia odbywali poobiednią drzemkę i na czas nie zdążyli się przebrać. Byłem nawet nieco urażony tą nonszalancją, ale uprzedzająca serdeczność Garrauda szybko złagodziła uczucie podrażnienia. Teraz przyglądałem się Adlerowi z wyraźnym zdziwieniem*

Adler przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu i rzekł:

— Muszę poinformować pana o panujących u nas zwyczajach. W zeszłym roku profesor uległ intoksykacji psychotycznej i podczas kuracji stwierdził, że białe kitle personelu szpitalnego wpływają deprymująco i rozdrażniają chorych. Gdy więc powrócił do zdrowia, wydał zarządzenie, aby lekarze nie różnili się ubiorem od pacjentów. Odtąd wszyscy chodzimy w piżamach i nosimy szpitalne szlafroki. Pana również, drogi kolego, przepraszam, profesorze, obowiązywać będzie ten strój.

Gdy to mówił, w nerwowym tiku przymrużył oko, co wyglądało szczególnie dwuznacznie. Następnie Adler podał mi dwie tabletki „Nosilidu” prosząc, abym je przy nim od razu zażył. Postanowiłem stosować się do obowiązującego regulaminu, dlatego też bez oporu połąkałem podane mi tabletki, jak również zgodziłem się włożyć na głowę idiotyczny cy- borgizator.

— Nie ma to nic wspólnego z elektroencefalografią — pośpieszył zauważyć Adler. — Cyborgizator połączony jest przewodami z aparaturą centralną, gdzie nasi specjaliści prowadzą odpowiednie obserwacje i regulują wewnętrzne środowisko organiczne pacjenta. Jest to zabieg nader skuteczny w presbiofrenii, a zwłaszcza w chorobie Alzheimera, na którą właśnie zapadł profesor Garraud. Profesor cierpiał na porażenie nerwów czaszkowych, drżenie języka i zaburzenia mowy. Ale dziś jest zdrow jak ryba, nieprawdaż? Sam pan mógł to wczoraj stwierdzić.

Podczas tej paplaniny Adler manipulował regulatorami na obręczy cyborgizatora i muszę przyznać, że odczuwałem dziwną błogość w całym organizmie, a także w umyśle moim zapanowało niejake ukojenie. Tik Adlera

mniej mnie drażnił niż przedtem. Powiedziałbym, że uprzedzenie, jakie żywiłem do Alzacyjnyka, ustąpiło teraz miejsca uczuciu pewnej sympatii.

Zanim jeszcze skończył się zabieg, Adler zadzwonił na pielęgniarkę. Po chwili zjawiała się mademoiselle Reymond, przezywana ogólnie Żabą. Była to stara panna z bielmem na lewym oku, niezwykle korpulentna i silna jak atleta, dzięki czemu pacjenci odnosili się do niej z wielkim respektem. Żaba przyniosła mi szlafrok, taki sam, jaki miał na sobie Adler. Powiedziała grubym, nie dopuszczającym sprzeciwu głosem:

— W szufladzie biurka znajdzie pan regulamin naszego Instytutu. Obowiązuje on wszystkich przebywających w tym budynku. W pawilonie zachodnim znajdują się chorzy niebezpieczni dla otoczenia. Zwiedzanie pawilonu dopuszczalne jest tylko za uprzednim zezwoleniem ordynatora, gdyż po wstrząsach elektrycznych większość chorych wymaga spokoju. A teraz obaj panowie są proszeni do profesora Garraud.

Stwierdziłem nie bez zdziwienia, że ten poważny uczoney siedzi przy biurku i zabawia się układaniem z zapalek różnych figur geometrycznych.

— Widzi pan — rzekł do mnie z rozbijającym uśmiechem — pańska koncepcja wykresów liczbowych nasunęła mi myśl rozwinięcia ujęć arytmetycznych w sekwencje geometryczne.

Z tymi słowy zgarnął zapalki, jak gdyby obawiał się, ażeby nie podpatrzył jego pomysłu.

Udaliśmy się na zwiedzanie Instytutu. Jak już wspomniałem, w pawilonie zachodnim mieścił się oddział dla ciężkich przypadków chorób psychicznych, gdzie osoby postronne nie miały wstępu. Zresztą przypadki te nie należały do mojej specjalności, zrezygnowałem więc chętnie z odwiedzenia pawilonu. W skrzydle wschodnim znajdował się oddział chirurgiczny, gdzie królował Charles du Crochet. Z dużym niesmakiem asystowałem przy operacji mózgu, którą ten sławny rzeźnik przeprowadzał przy pomocy skalpela gazowego, skonstruowanego przez amerykański Instytut Wiedzy Medycznej. Były to pierwsze próby zastosowania nowej metody, które kończyły się przeważnie, jak poinformował mnie Adler, śmiercią pacjentów. Niemniej jednak sława du Crocheta rosła i eksperymenty jego przynosiły mu coraz większy rozgłos. Zresztą podobne operacje, dokonywane przy pomocy noża laserowego, dawały jak najlepsze wyniki, ale nie zaspokajały dostatecznie nowatorskich ambicji chirurga.

W głównym gmachu na parterze mieściła się kancelaria, izba przyjęć, restauracja dla personelu oraz liczne magazyny. Pierwsze piętro zajmowały gabinety i apartamenty lekarzy. Trzy pozostałe piętra stanowiły właściwą klinikę, przeznaczoną wyłącznie do leczenia wszelkich postaci schizofrenii oraz niektórych objawów psychozy starczej, jak presbiofrenia, zwłaszcza zaś amnestyczny syndrom Korsakowa, stanowiący temat nowej pracy Garrauda. Tak, tutaj mogłem zademonstrować zrozumia

łym Francuzom moją niezawodną metodą wy- kresów liczbowych.

Po korytarzach snuli się pacjenci zdradzający zupełne otepienie i obojętność. Po prostu nie dostrzegali naszej obecności.

— Unikamy w stosunku do pacjentów najmniejszych nawet pozorów izolacji — rzekł chełpliwie profesor Garraud. — Nie usuwamy klamek, pozwalamy nawet chorym wychodzić do miasta. Jesteśmy o nich zupełnie spokojni. Dzięki cyborgizatorom oraz przy zastosowaniu 1,3,3, trójcjanoaminoproprenu panujemy całkowicie nad ich wolą. Są oni przez nas niejako zdalnie kierowani. Dopiero doprowadzeni do takiego stanu wykazują podatność na działanie terapii indywidualnej. Proszę spojrzeć na tego starca.

— Ojcie Pujot — zwrócił się do stojącego przy oknie łysego, wychudzonego osobnika — pozwólcie tu na chwilę.

Starzec niechętnie, trzęsąc się jak w febrze, podszedł do nas i spoglądał siwymi oczami na Gar- rauda.

— Zabiliście siekierą córkę i wnuka, nieprawdaż?

— Zabiałem, panie sędzio — rzekł obojętnym głosem Pujot.

— Nie jestem sędzią, mówiłem wam o tym.

— Nie jest pan sędzią — powtórzył posłusznie Pujot.

— Czy teraz także zdolni bylibyście ich zabić?

— Przecież wiadomo, że jestem niepoczytalny.

— Ale czy zdajecie sobie sprawę z potworności swego czynu?

— 174 —

— Jak pan rozkaże, panie sędzio.

— Kolego Adler — zwrócił się Garraud do Alzatzczyka — proszę wstrzymać cyborgizację i podwoić dawkę leków, Od jutra zastosujemy wstrząsy elektryczne.

Pujot przestał dygotać i rzekł głosem zupełnie normalnym:

— Panie doktorze, błagam pana, zwolnijcie mnie do domu. Mam jeszcze drugą córkę, mieszka w Audruicą, niedaleko St. Omer. Nikogo nie zabiję, panie doktorze, daję słowo.

— Nie mogę was jeszcze wypisać — rzekł Garraud.

A kiedy ruszyliśmy w dalszy obchód, powiedział do mnie znacząco:

— Oni wszyscy symulują zdrowych, przekona się pan.

Z pawilonu zachodniego dobiegł brzęk tłuczonych szyb i dzikie wrzaski jakiegoś szaleńca. Zbliżyłem się do okna. Za kratami pawilonu dostrzegłem dwóch barczystych pielęgniarzy, którzy szamotali się z pacjentem. Miał pokrwawioną twarz i wydzierał się wniebogłosem:

— Ty jesteś Obersturmführer Kronel! Poznaję cię! Ratunku!

Adler odciągnął mnie od okna:

— Chodźmy, chodźmy... Profesor chce oprowadzić pana po oddziale kobiecym.

Weszliśmy po schodach na trzecie piętro. W jednej z sal grupa kobiet śpiewała półgłosem „Quand nous chanterons le temps de ce- rises”.

Pacjentki zajmowały przeważnie dwuosobowe pokoje, ładnie urządzone, różniące się całkowicie od pomieszczeń szpitalnych, które wi

działem na oddziale męskim. Przypominały raczej apartamenty w komfortowym pensjonacie. Ale i tutaj chore prześlizgiwały się po nas tępym spojrzeniem, chociaż były starannie ubrane i uczesane z przesadną kokieterią.

Jedna z nich, przedwcześnie posiwiła, ale

0 młodej i ładnej twarzy, podeszła do nas

1 powiedziała jakby od niechcenia:

— Ożeń się ze mną, słyszysz, tyl Albo tyl Albo tyl Albo tyl

Wymawiała te słowa jak automat, po czym gwałtownie odwróciła się i zniknęła w swoim pokoju.

— To właśnie pańska rodaczka, o której panu wspominałem — rzekł Garraud. — Proszę, niech się pan nią zajmie. Może pana będzie darzyła większym zaufaniem.

Po zwiedzeniu kliniki rozstałem się z francuskimi kolegami, a po obiedzie wróciłem znów na oddział kobiecy.

Ta, którą nazwano moją rodaczką, siedziała w pokoju sama. Piórkiem w zeszytcie rysowała ptaki, ale wszystkie obute były w damskie pantofelki na wysokim obcasie.

— Pani rysuje? — odezwałem się po polsku.

— Przecież pan widzi. Czy pan też ma chęć traktować mnie jak umysłowo chorą? A w ogóle proszę się przedstawić. Przynajmniej my zachowujmy jakieś przyzwoite formy.

— Pani wybaczy — rzekłem speszony — jestem profesorem z Warszawy, Nazywam się Witold Sotela. Przyjechałem tu zapoznać się z francuskim lecnictwem... Dowiedziałem się» że pani jest Polką...

— No i cóż z tego? Czy pan też ma zamiar mnie leczyć?

— Przyszedłem porozmawiać z panią. Chciałbym w zamian za moją życzliwość pozyskać pani zaufanie.

— O, jestem gotowa zaufać każdemu, kto nie należy do tej nikczemnej zgrai. Czy dawno pan tu przyjechał?

— Wczoraj po południu.

— To dobrze. Jeszcze nie zdążyli pana opętać. Trzeba się mieć na baczności. Ostrzegam.

Już tych kilka zdań potwierdziło słuszność diagnozy Garrauda. Młoda kobieta zdradzała objawy schizofrenii urojeniowej. Trzeba było poznać bliżej jej stany maniackalne i przystąpić czym prędzej do opracowania wykresu liczbowego.

— Myślałam, że pan jest jednym z pacjentów, któremu kazali, aby mi nadszakał — rzekła po chwili namysłu. — Mają szczególne zamięłowanie do kojarzenia par. Zwłaszcza ten erotoman Amblard. Nie można się od niego opędzić. Pan jest lekarzem? Ciekawe. Oni tu wszyscy noszą szlafroki szpitalne, żeby ich trudniej było rozpoznać. Chodzą między nami i szpiegują. Ale ja jestem dobrze zorientowana. Siedzę tu od roku i w dodatku po raz trzeci. Wmawiają we mnie chorobę, kłamią, kręcą, a trzymają mnie w szpitalu po to, żeby na mnie eksperymentować. Jestem im potrzebna. Zresztą muszę pana ostrzec, że tu wszyscy symulują. Zdrowi symulują chorych i odwrotnie. Ja też symuluję, żeby im dogodzić. A wszyscy lekarze są psychicznie chorzy. Niech pan uważał W zeszłym roku profesor Garraud dostał ataku szału i o mało nie udusił du Crocheta. A potem du Crochet przez zemstę chciał operować Garrauda. Myślałam, że się pozabijają.

Najwięcej symulantów jest w pawilonie zachodnim. Tam ukrywają się zbrodniarze wo* jenni i kolaboranci z czasów okupacji. To robota Adlera. Rozpoznałam w nim dawnego gestapowca. Chciał mnie za to otruć. Stale mi podsuwa zatrute pigułki. Ale Ja udaję tylko, że je połykam. Wszystko wyrzucam! Wyrzucam I Wyrzucam!

Była tak wzburzona swymi urojeniami, że mówiła coraz szybciej i coraz bardziej niedorzecznie. Staralem się ją uspokoić, a w końcu, aby Jej dłużej nie drażnić rozmową, wyszedłem i wróciłem do swego apartamentu.

Analizowałem dokładnie opowiadanie nieszczęsnej schizofreniczki i układałem w myśli plan najwłaściwszej metody leczenia.

Odwiedzałem ją odtąd codziennie. Przy pomocy wielu podstępnych pytań i zabiegów zdołałem stopniowo wydobyć od niej to, co było mi potrzebne do wyprowadzenia łańcucha przyczynowego z życiorysu pacjentki i opracowania na tej podstawie wykresu liczbowego.

Po upływie dwóch tygodni wiedziałem Już o niej wszystko.

3

Nazywała się Kira Sowicka. Urodzona w roku 1927 w Radomiu. Kiedy miała lat Jedenaście, przeniosła się z rodzicami i siostrą bliźniaczką do Warszawy. Ojciec jej był nauczycielem i zginął na początku wojny. Matka wraz z córkami zajmowała się podczas okupacji kolportażem prasy podziemnej. Utrzymywały się z preparowania liści tytoniowych oraz z wyrobu i sprzedaży papierosów. W lutym 1944 roku w łapance ulicznej znaleziono przy nich gazetki. Naprzód trzymano Je na Pawiaku, potem wysłano do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Po dwóch miesiącach przewieziono Je do Mauthausen. Przeszły wszystkie okropności życia obozowego. Pod koniec roku Kirę umieszczono w bloku szpitalnym. Tam dowiedziała się o śmierci matki i siostry. W kwietniu 1945 roku organizacja obozowa włączyła ją do grupy Francuzek, które hitlerowcy wymieniali za pojmane w południowej Francji żony niemieckich dygnitarzy. Dostała fałszywe dokumenty i jako Francuzka samochodem Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża opuściła obóz. Po przekroczeniu granicy, pod wpływem tragicznych przeżyć, nerwowego napięcia i nagłego odprężenia, nastąpiło w niej załamanie psychiczne, które doprowadziło do silnego szoku. Umieszczono ją w paryskiej klinice psychiatrycznej, gdzie później pracowała jako pielęgniarka. Do Polski nie miała do kogo wracać. Po czterech latach atak choroby się powtórzył. Skierowano ją wtedy do Instytutu Psychiatrii Eksperymentalnej. Po roku profesor Garraud uznał, że jest całkowicie wyleczona. Wyrobił Jej posadę w Strasburgu na bardzo dobrych warunkach, ale po kilku latach objawy choroby zaczęły powracać. Zapewne wskutek manii prześladowczej, a także rozwijającej się pelagry Kira dwukrotnie usiłowała popełnić samobójstwo. Profesor Garraud leczył ją prywatnie, w końcu jednak uznał za konieczne umieszczenie jej w swoim zakładzie.

Przytaczam tu tylko najistotniejsze fakty z życia Kiry. Ich dokładny opis zajął piętnaście stron maszynopisu. Opracowywałem go przez kilka dni, po czym zabrałem się do układania wykresu liczbowego.

Ponieważ niektóre szczegóły, podane przez Kirę, budziły we mnie wątpliwości, postanowiłem skonfrontować je z zapisem w karcie choroby.

Zszedłem więc pewnego dnia na parter do kancelarii. Była to pora obiadowa i cały personel biurowy udał się zapewne do restauracji na sakramentalne dójjeuner. Sekretarka, która w tym czasie powinna pełnić dyżur, była nieobecna.

Pozwoliłem sobie wobec tego na rzecz niezbyt może właściwą i sam zabrałem się do szperania w szafie zawierającej kartoteki chorych. Szukałem na literę „S” i nagle, ku memu nieopisanemu zdumieniu, wpadła mi w ręce teczka z napisem „Sotela Witold”. Otworzyłem teczkę i zacząłem czytać. Przyznaję, że z trudem mogłem opanować wzburzenie. Poznałem drobne, kaligraficzne pismo Adlera. To on pisał o mnie:

„Polak z Warszawy. Urodzony w roku 1909. Z wykształcenia matematyk. Rzekomo ukończone studia medyczne we Fryburgu. Cierpi na schizofrenię urojeniową... Podaje się za kierownika warszawskiej kliniki psychiatrycznej, za profesora uniwersytetu. Przypisuje sobie wynalezienie rewelacyjnych jakoby metod leczniczych. Objawy charakterystyczne: konfabulacja, amnestyczny syndrom — Iłorsakowa <~ ^aprijksja. SEtSfbwafiyna^złeczenie władz polskich. Opis choroby i jej dotychczasowego przebiegu nadesłał profesor dr Ligenhoni, członek honorowy Francuskiej Akademii Medycznej”.

Oto, do czego zdolni są ludzie! Ten dyletant i nieuk, którym zawsze pogardzałem, okazał się na dobitkę zwykłym szubrawcem. Nie przypuszczałem, że zawiść zawodowa może doprowadzić do podobnego upodlenia.

Pierwszym moim odruchem było zniszczyć oszczerczy dokument. Miałem nawet nieodparte pragnienie, aby zdemolować kancelarię, powybijać szyby, podpalić cały ten kram, ale ogromnym wysiłkiem woli zdołałem się opanować. Podobny postęp mógłby być komentowany jako potwierdzenie oszczerczej diagnozy Ligenhona. Nie wolno było do tego dopuścić. Niepostrzeżenie wymknąłem się z kancelarii i nigdy nie dałem po sobie poznać, że wiem o istnieniu mojej teczki w szpitalnej kartotece. Zdwoiłem czujność i okazywałem odtąd szczególną, choć udaną uległość profesorowi Garraud, a zwłaszcza Adlerowi, który nade mną rozciągał opiekę. Poddawałem się również rozmaitym idiotycznym zabiegom, demaskując w myślach nieudolną szarlatanerię personelu lekarskiego. Z prawdziwą życzliwością odnosiłem się jedynie do młodziutkiej i bardzo ładnej lekarki, panny Riviére, smutnej i apatycznej, skłonnej zawsze do westchnień I fez. Było widoczne, że nie wytrzymała nerwowo atmosfery panującej w Instytucie. Starłem się ją podtrzymać na duchu. A jednak w dwa miesiące po moim przyjeździe popełniła samobójstwo. Wskoczyła z czwartego piętra. Podejrzewam, że do tego desperackiego kroku doprowadził ją doktor Amblard, któ-

ry po nocach dobijał się do jej pokoju. Wiem

O tym, gdyż często spędzałem noce u niej

I wraz z nią analizowałem metodą równań seksualnych ogniwa naszego łańcucha przyczynowego.

Choroba Kiry nie budziła we mnie żadnych wątpliwości. Jako podstawowy objaw występował u niej autyzm wyrażający się głównie w ośpieniu uczuciowym. Na to kładłem szczególny nacisk przy układaniu wykresu liczbowego. Odkąd zrezygnowałem ze współpracy z Garraudem, mogłem poświęcić się całkowicie leczeniu Kiry i Simony Tournier, która dzieliła z nią pokój. Początkowo asystowałem w naradach z ordynatorami i adiunktami oraz w konsultacjach ze stażystami. Jednak nie* ustanne interpretacje stanów psychotycznych według metody Ligenhorna, stałe powoływanie się na jego prace w dziedzinie patofizjologii, kurczowe trzymanie się poglądów tego nieuka doprowadzało mnie do stanu skrajnego rozdrażnienia. Nie mogłem dłużej znieść tych szykan, podkreślanych jeszcze szyderczym tikiem Adlera, i pod pierwszym lepszym pretekstem wycofałem się z dalszej współpracy z Garraudem. Poprosiłem go, aby mi przydzielił kilka pacjentek z oddziału kobiecego, które mógłbym leczyć moją własną metodą.

Garraud wzruszył tylko ramionami, spojrział porozumiewawczo na Amblarda i rzekł:

— Oczywiście, chętnie dam panu wolną rękę. Proszę zająć się pacjentkami z pokoju numer 29. Ich stan wymaga szczególnie umiejętnego i troskliwego podejścia.

W ten sposób Kira i pani Tournier dostały się pod moją wyłącznie opiekę. Mogłem całkowicie poświęcić się ich leczeniu.

Simona Tournier cierpiała na Jxebeirenie~po- łączoną z halucynacjami, które pod wpływem mojej obecności, jak wkrótce zdołałem to stwierdzić, wypełniały się urozmaiconą treścią o zabarwieniu erotycznym. Za każdym razem widziała we mnie jednego ze swoich urojonych kochanków, wskutek czego z trudem udawało mi się opanować jej natarczywość. Simona była bardzo piękną kobietą i noce spędzone przy niej, gdy Kira pod wpływem środków nasennych twardo spała, pozostawiły we mnie niezatarte wspomnienia. Tak czy inaczej zdołałem w szybkim czasie przywrócić jej równowagę psychiczną i dzięki umiejętnie wyprowadzonym wykresom liczbowym uwolnić ją od halucynacji. Garraud wysoko ocenił moją metodę leczniczą i wkrótce wypisał Si- monę ze szpitala.

Pozostała mi więc tylko Kira, której leczeniem zająłem się ze zdwojonym wysiłkiem

Była to kobieta w pełni rozkwitu, wybitnie inteligentna i niezwykle wrażliwa. Powiedziałbym, używając terminu może nie całkiem naukowego, że obok Innych urojeń maniakałnych cierpiała na kompleks matrymonialny. Zwrot „ożeń się ze mną", kierowany do każdego spotkanego mężczyzny, znany był wśród pacjentów na całym oddziale. Powtarzała go też za każdym razem, gdy zjawiałem się u niej w pokoju.

Badałem ją codziennie internistycznie, aby miała poczucie lekarskiej troskliwości. Badania te wpływały na nią uspokajająco, a mnie dawały zawodową satysfakcję. Adler, który

wszedł kiedyś przypadkowo do pokoju, przyglądał się mojej pracy z aprobatą. Jednak w czasie obiadu pozwolił sobie na powiedzenie pół żartem, pół serio:

— Radzę wziąć jeszcze kawałek kurczęcia, żeby nie musiał pan pożerać wzrokiem pacjentki. Kurczę jest o wiele zdrowsze dla ludzi w naszym wieku.

Była to wyraźna złośliwość, zwłaszcza że Adler jest młodszy ode mnie o lat co najmniej piętnaście.

Odpowiedziałem mu kostycznie:

— Mógłbym dopatrywać się w pańskich słowach francuskiej erotomanii, gdyby oczywiście był pan Francuzem.

Adler spałował i rzekł:

— Jestem oficerem Legii Honorowej.

Po czym wstał i przesiadł się do innego stołu.

Pomimo starannie i wyczerpująco ułożonego wykresu liczbowego, pomimo wielu skomplikowanych obliczeń matematycznych stan zdrowia Kiry poprawił się tylko nieznacznie. Trapiła ją w dalszym ciągu mania prześladowcza, bała się przyjmować posiłki, przynosiła sobie z pobliskiego sklepu owoce i papierosy. Moich nie chciała palić, jakkolwiek miała do mnie pełne zaufanie. Musiałem odwiedzać ją w porze obiadu i kosztować każdej potrawy, zanim zdecydowała się na jej zjedzenie.

Po półrocznym pobycie w klinice Instytutu czułem się pełen sił i energii, chociaż stosowałem się do miejscowego regulaminu tylko ze względu na profilaktykę. Stałem się mniej drażliwy i nawet zgodziłem się na mówienie sobie z Adlerem po imieniu. Nabrałem też przekonania do Amblarda i nie chcąc robić mu przykrości, poddawałem się różnym zabiegom, które wykonywał na mnie, jak sądzę, dla wprawy. Dałem się również namówić do zażywania „pigulek szczęścia”, wytwarzanych przez szpitalny dział farmaceutyczny. Potem dowiedziałem się z prasy, że stosowanie tych pigulek jest zakazane przez wydział zdrowia, czułem się przeto w obowiązku poinformować poufnie prokuraturę przy Trybunale w Strasburgu o praktykach Amblarda. Poza tym okazywałem mu nadal życzliwą sympatię, na którą całkowicie zasługiwał. Garraud często przychodził do mnie na kieliszek koniaku i prowadził ze mną długie dyskusje, po których odczuwałem wyraźne odprężenie. Rozmowy z człowiekiem na poziomie są niewątpliwie potrzebne dla dobrego samopoczucia.

Gdy minął czas mego pobytu w Instytucie i zbliżał się termin wyjazdu ze Strasburga, poszedłem pożegnać się z Kirą.

— Ożeń się ze mną! — zawołała, gdy tylko stanąłem w progu pokoju.

Ten stereotypowy zwrot, wypowiedzianej głosem sztucznym i egzaltowanym, stanowił w moim przekonaniu objaw nieudolnej symulacji, ale sama symulacja występowała tu jako oczywisty symptom choroby. Wbiłem w Kirę sugestywne spojrzenie, które działało na nią w sposób paraliżujący. Jej piękne, czarne oczy płonęły niewypowiedzianym blaskiem, wargi drżały. Ścisnęła mnie oburącz za rękę i poczułem przepływający przeze mnie fluid rozgorączkowanej psychiki. Zrozumiałem, że tyl

ko pocałunkiem zdołałam rozładować jej patofizjologiczne napięcie. Był to zabieg, o którym czytałem bodaj że u Kraepelina czy Bleulera, ale nie jestem pewien.

Gdy zakomunikowałem Kirze o moim wyjeździe, popadła naprzód w odrętwienie, a po chwili wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Uspokajałem ją, stosując różne zabiegi, które teoretycy pokroju Felda uważają za intymne.

Terapia ta okazała się nadzwyczaj skuteczna. Po krótkim czasie Kira odzyskała równowagę psychiczną, którą w moich wykresach liczbowych określałem cyfrą 137. Jedyńka, trójka i siódemka świadczą tu o stanie pełnej świadomości pacjentki. Przy zabiegach tego rodzaju Kira wyzwalała się z syndromu schizofrenicznego, przestawała symulować i przybierała pozory osoby całkowicie uzdrowionej.

Powiedziała też tonem pełnym szczerości:

— Pana wyjazd Jest dla mnie równoznaczny z wyrokiem śmierci. Nie mogę tu zostać. Pan widzi, że cała tutejsza medycyna opiera się na mistyfikacji. Będę musiała zginąć, jeśli mnie pan porzuci na pastwę tych wszystkich Adlerów i Amblardów. Przecież to są psychopaci i zbrodniecy, a w najlepszym razie szarlatani. Tylko pan może mnie uratować, przywrócić do życia. Chcę stąd wyjechać, wrócić do Polski, zamieszkać w kraju. Musi mi to pan ułatwić, jeśli mój los nie ma obciążać pańskiego sumienia. Jestem przecież całkiem normalna, a moje symulacje były jedynie samoobroną przed napastliwością Amblarda i jego sztrasburskich kompanów. Nie, nie mogę tu zostać I Nie mogę!

Wróciłem do swego apartamentu, żeby roz

ważyć ten zawili problem. Jeszcze raz przeanalizowałem ogniwa łańcucha przyczynowego, składające się na życiorys Kiry. Sprawdziłem ponownie wszystkie elementy wykresu liczbowego i skontrolowałem wyniki działań matematycznych. W blokach obliczeniowych 137 powtarzało się z zadziwiającą regularnością. Sprawa wyzdrowienia Kiry wydawała się rzeczą pewną. Metoda moja znowu odniosła tryumf,

Stanałem przed lustrem i złożyłem sobie gratulacje, jak to czyniłem zazwyczaj, gdy udawało mi się obalić fałszywe teorie Ligen-horna. Przyglądałem się własnej twarzy z zadowoleniem, a nawet z pewną dumą. Czarne, krzaczaste brwi odcinały się od przeredzonej nieco siwizny, przez którą przeświecał kształt wielkiej, sokratycznej czaszki człowieka myślącego. Siodełkowaty nos i odstające uszy nadawały twarzy wyraz dobrotliwej Jowialności, co ułatwiało mi maskowanie pobudliwego usposobienia i kostycznej niechęci do otoczenia. Oczy niebieskie, o bystrym spojrzeniu, miały wyraz łagodny, ale igrające w nich iskierki zdradzały osobnika o gwałtownych namiętnościach. Największą jednak ozdobę twarzy stanowiły usta, zawsze trochę szydercze, a przy tym zmysłowe, które musiały działać na kobiety szczególnie pociągająco. Zapewne dzięki nim, pomimo moich lat pięćdziesięciu pięciu, mogłem wywierać na pacjentki wpływ tak niezbędny w praktyce każdego psychiatry.

Udałem się do profesora Garraud i przedstawiłem mu sprawę Kiry. Przez chwilę bębnił palcami po biurku i przyglądał mi się z Iro

nicznym uśmiechem, który zawsze wyprowadzał mnie z równowagi. Teraz jednak panowałem nad sobą i na jego uśmiech odpowiadałem twardym spojrzeniem. Wreszcie Garraud wykonał ręką ruch mający oznaczać rezygnację, wstał zza biurka i chłodno oświadczył:

— Zgadzam się. Każę wypełnić kartę choroby i mogę wypisać pacjentkę. Proszę porozumieć się z kancelarią. Jeszcze dziś wydam odpowiednie polecenia. Jest Polką — ma prawo wrócić do Polski. Oczywiście, na pańską odpowiedzialność i pod pańską opieką. To chyba wszystko.

Tego samego dnia wysłałem do naszej ambasady w Paryżu pismo i dokumenty Kiry, prosząc o załatwienie niezbędnych formalności.

Wieczorem Garraud, jak gdyby nigdy nic przyszedł do mnie, zadzwonił na pokojówkę i kazał przynieść koniak oraz kieliszki. Po chwili zjawili się też nasi przyjaciele: du Crochet, Amblard, Adler oraz lekarka z oddziału kobiecego, pani Chavance. Gawędziliśmy bardzo wesoło, du Crochet był w świetnym nastroju, chociaż przed godziną pacjent umarł mu na stole operacyjnym. Pani Chavance opowiedziała nam swoje ciekawe przygody w Algierii, kiedy to cały lazaret francuski dostał się do niewoli, po czym wszystkie pielęgniarki wyszły za mąż za Algierczyków. Mówiła o tym z pewną melancholią w głosie, gdyż była niemłoda i brzydka. Powodowany czysto polską rycerskością, przyjąłem raz jeden jej zaloty, gdy przyszła do mnie pewnego wieczoru sprawdzić działanie cyborgizatora. Od tej chwili przez wdzięczność zaczęła wyrażać się entuzjastycznie o Polsce, co, rzecz prosta, do

gadzało moim uczuciom patriotycznym i dlatego nie miałem potrzeby wyrzucać sobie owej chwili słabości. Irytujący tik Adlera zdawał się przekazywać mi na ten temat porozumiewawcze znaki, ale pominąłem je milczeniem, aby nie psuć miłego nastroju. Amblard początkowo nie brał udziału w rozmowie. Gdy jednak zeszała ona na Kirę, jego kozia twarz ożywiła się nagle, a na spłaszczony nos wystąpiły drobne kropelki potu. Adler tego wieczoru przemógł lęk przed zatrutymi winnicami i pił tyle koniaku, że Garraud zadzwonił po następną butelkę. Zresztą wszyscy byliśmy trochę pod rauszem.

Amblard, z lekka podпиты, powiedział do mnie zaczepnie:

— Jestem dla pana pełen podziwu. Byłem niegdyś w Warszawie i wiem, że Polacy to wytrawni uwodziciele. Opowiadano mi przezabawne anegdoty o polskich ginekologach, ale widzę, że psychiatrzy im nie ustępują. Cha-peau basi

— Nie rozumiem pańskiej aluzji — odrzekłem oziębłe. — Chyba nie zdaje pan sobie sprawy z własnych słów. Pańskie docinki uwłaczają memu wiekowi i stanowisku.

— Tra-la-lal — zawołał Amblard. — Cóż to za stanowisko? Chore urojenia, nic więcej. A może jest pan sekretarzem ONZ? Czy cesarzem Napoleonem? W zachodnim pawilonie mamy już dwóch Napoleonów, pan byłby trzecim.

Nie wiem, jak to się stało. Bez udziału moich władz umysłowych ręka sama wykonała nieprzewidziany ruch. Dość, że nagle porwałem ze stołu kieliszek i chlusałem koniakiem

Amblardowi w twarz. Alkohol musiał go piec w oczy, gdyż zerwał się z krzesła, wymachując na oślep rękami. Krzyczał i wymyślał mi tak ordynarnie, że Monika Chavance zatkała sobie uszy, aby tych słów nie słyszeć. Du Crochet starał się uspokoić Amblarda, co sprawiło go w jeszcze większą wściekłość.

— Wezwij pielęgniarzy. Szybko! — rzekł Garraud do Adlera.

Schowałem się za szafę, gdyż Amblard porwał ze stołu butelkę i mierzył nią we mnie. Miał oczy przekrwione, broda trzęsła mu się jak u kozła. Du Crochet i Garraud trzymali go za ręce, a on kopał ich po nogach. Szamotali się z nim aż do chwili, gdy zjawili się dwaj pielęgniarze i wyprowadzili szaleńca. Pozostali panowie wyszli za nimi.

— A więc Amblard znowu trafił do gwałtowni ^ rzekła obojętnym głosem Monika, używając określenia pielęgniarzy, którzy gwałtownią nazywali pawilon zachodni. Przeciągnęła się leniwie, przeszła do mojej sypialni i rzuciła się na tapczan.

— Chodź tu do mnie, Wit — rzekła zduszonym szeptem. — Wit, mam ci coś do powiedzenia, słyszysz? Wit! Wit!

Moje spieszzone przez nią imię brzmiało jak francuskie „vite”.

Słuchałem z rozdrażnieniem jej nawoływań:

— Prędko, prędko, no chodź!

— Zaraz, za chwilę.

Mówiąc to, udałem, że idę do łazienki. Tymczasem jednak niepostrzeżenie wymknąłem się z pokoju. Dyżurnej pielęgniarce nie było na korytarzu. Wbiegłem po schodach i przemknąłem się przez nikogo nie zauważo-

— 190 —

W

ny do pokoju Kiry. Gdy ją obudziłem, rzuciła mi się na szyję. Trapiły ją nocne lęki i męczące obozowe sny. Pracując nad nią do świtu, doprowadziłem jej układ psychiczny do stanu liczbowego 137. Omówiliśmy też sprawy związane z wyjazdem.

Gdy wróciłem do siebie, Moniki już nie było. Zostawiła mi na stole kartkę tej treści: „Nigdy się nie wyleczysz, jeśli nie przestaniesz pić. A poza tym znudziłeś mi się. Jesteś taki sam, jak oni wszyscy”.

Ambasada odpowiedziała bardzo szybko. Wkrótce też nadeszły z konsulatu dokumenty Kiry.

Załatwiliśmy w Instytucie szereg formalności, przy czym musiałem złożyć oświadczenie, że zabieram na swoją odpowiedzialność pacjentkę przed jej ostatecznym wyleczeniem. Odebraliśmy depozyt Kiry, który składał się z około 3000 nowych franków gotówką, kilku złotych monet oraz mało wartościowej biżuterii.

•— To mój posag — rzekła z uśmiechem.

Odbyliśmy pożegnalną przechadzkę po mieście, zwiedziliśmy katedrę, twierdzę, a potem długo siedzieliśmy w kawiarni nad Renem w pobliżu portu. Dał ciepły, wiosenny wiatr. Dopiero teraz, z dala od szpitalnych murów, poczuliśmy się jak normalni ludzie. Byliśmy weseli i lada błahostka pobudzała nas do beztróskiego śmiechu. Siwe włosy Kiry srebrzyły się w słońcu. Wyglądała prześlicznie. Patrząc na nią zrozumiałem, że jest dla mnie najbliższą istotą na świecie.

— Myślę, że nigdy się nie rozstaniemy — powiedziała przechylając kokieteryjnie głowę.

— 191 —

— Myślisz? Ja jestem pewien — odrzekłem i pomyślałem, że słowa te brzmią jak zaręczyny.
Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu.

Na dworzec odprowadził nas profesor Garraud, doktor Adler i przełożona pielęgniarek, pani Grivet.
Przynieśli dla Kiry pęki konwalii, jak to jest w zwyczaju pierwszego maja.

Gdy pociąg ruszał, Garraud zawołał:

— Piękna z was para. Dajcie nam znać o sobie I Bądźcie szczęśliwi I

Objąłem Kirę ramieniem i nie chciałem myśleć o tym, że jestem od niej osiemnaście lat starszy. A trzeba było...

4

Zajmowaliśmy w sleepingu dwa sąsiednie single, gdyż wolałem uniknąć dwuznacznej sytuacji, zwłaszcza wobec tych, którzy mogli nas oczekiwać na dworcu w Warszawie. Nie było jednak nikogo. Z krewnymi od dawna się poróżniłem, koledzy lekarze musieli pełnić swoje obowiązki w szpitalach, a Weronika była na to za stara. W domu moich rodziców prowadziła gospodarstwo i wychowywała mnie od dziecka. Uważaliśmy ją za domownika. Moja pierwsza żona nie chciała trzymać jej u siebie, ale gdy umarła, a właściwie zginęła w katastrofie kolejowej, odszukałem Weronikę, która odtąd prowadziła mi dom. Miała już chyba ponad osiemdziesiątkę, ale była bardzo sprawna, tyle tylko, że cierpiała na zanik pamięci. Widocznie zapomniała o dacie mego przyjazdu.

Zajmuję niedużą willę na Żoliborzu. Sypialnię z łazienką na piętrze odstąpiłem Kirze, a sam przenieśliem się na dół. Pierwotnie miałem zamiar wystarać się dla niej o osobne mieszkanie, ale po tym, co między nami zaszło, ani ja, ani ona nie powracaliśmy więcej do tego tematu.

Kira była oszołomiona widokiem Warszawy, która tak się przeobraziła przez te wszystkie lata. Pogodne majowe dni sprzyjały naszym przechadzkom. Zachwycało ją Stare Miasto, nowe mosty na Wiśle, nabrzmiałe pęki bzu w łańcuchowym parku. Chciała zobaczyć dom, w którym niegdyś mieszkała, ale nie istniał już ani dom, ani nawet ulica jej dzieciństwa.

Z każdym dniem kochałem Kirę coraz bardziej i głęboko przeżywałem najdrobniejszy objaw, grożący nawrotem choroby. Niepokoiły mnie jej melancholijne zadumy, a także podejrzliwość, z jaką traktowała potrawy przyrządzane przez Weronikę. Powiedziała mi wkrótce po naszym przyjeździe:

— Starzy ludzie są często zawistni w stosunku do młodych. Nigdy nie wiadomo, czego się można po nich spodziewać. Twoja żona miała rację, że nie chciała Weroniki przyjąć do służby. Dzisiejsza zupa była podejrzenie gorzka.

W połowie maja niespodziewanie zjawił się u mnie Ligenhorn.

Powinienem być zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, ale powstrzymał mnie wrodzony takt. Przyjąłem go nawet z udaną radością, kazałem Weronice podać kawę i potraktowałem go nadzwyczaj serdecznie.

Wypytywał mnie o wrażenia z pobytu w Strasburgu, napomknął też, że miał stałe

— Posłuchaj, Witoldzie, chcę ci zrobić pewną propozycję. Mógłbyś otrzymać wprawdzie pełną emeryturę, ale uważam, że bezczynność byłaby zgubna dla twego samopoczucia. Proponuję ci, abyś w mojej klinice objął dział matematyki leczniczej. To przecież jest twoja specjalność. Miałbym dla ciebie wolny etat i przyzwoite uposażenie. Z dodatkami za specjalizację i wysługę lat będziesz mógł wyciągnąć około pięciu tysięcy. Co o tym sądzisz?

Powiedział „w mojej klinice”! Jak już wspomniałem, byłem przez dwanaście lat dyrektorem tej kliniki, kiedy Ligenhorn zabiegał o stanowisko ordynatora! Teraz on był dyrektorem i proponował mi nędzną posadkę. Zresztą, może wyraził się inaczej. Znadto byłem zbulwersowany, aby dokładnie pamiętać jego słowa. Widziałem w nim po prostu zniechęconego Ligenhorna, szarlatana o niezwykłym tupecie, lizusa i karierowicza, który przywłaszczył sobie moje godności i splendor twórcy warszawskiej szkoły psychiatrycznej. Zrozumiałem dobrze jego ukryte intencje. Chciał

— 194 —

wiadomości od Garrauda, który podobno wyrażał się o mnie i o mojej pracy z największym uznaniem.

Uważałem ich obu za naukowych cyników i ani przez chwilę nie wątpiłem, że są ze sobą w zмовie. Robiłem jednak dobrą minę i ze swojej strony nie szczędziłem pochwał dla Garrauda.

Po dłuższej rozmowie, która podobna była raczej do seansu psychoanalitycznego niż do niewymuszonej wymiany zdań, Ligenhorn rzekł nagle, klepiąc mnie przyjacielsko po kolanie: mnie mieć przy sobie, aby bezkarnie szpiegować i podpatrywać moje eksperymenty naukowe, a potem podać je jako własne i unieszkodliwić niebezpiecznego rywala. Przejrzałem go na wylot. Ale równocześnie zdawałem sobie sprawę, że konkretna sytuacja daje mu przewagę nade mną i że w gruncie rzeczy nie mam innego wyjścia.

Odpowiedziałem tedy głosem wibrującym, co nadawało słowom odcień szczerzego wzruszenia:

—Oskarże, drogi przyjacielu, wiedziałem, że zawsze mogę na ciebie liczyć. Sprawiliś mi wielką przyjemność proponując tak zaszczytną współpracę. Oczywiście, godzę się i jestem do twojej dyspozycji choćby od jutra.

—Od pierwszego czerwca, zgoda? — powiedział Ligenhorn i przez jego lisią twarz przemknął uśmiech tryumfu.

Jeszcze zobaczymy, kto z nas tę batalię wygra — pomyślałem dolewając mu kawy.

Z góry po schodach zeszła Kira swoim powolnym, leniwym krokiem.

— Profesor Oskar Ligenhorn — przedstawiłem go Kirze. —A to moja... żona.

Pierwszy raz nazwałem ją w ten sposób i poczułem, że w tym momencie nastąpiło coś decydującego. Żona. Oczywiście. Miała na sobie szarą plisowaną spódnicę i białą bluzkę, połączone szerokim, czerwonym pasem, który podkreślał jej zgrabną kibić. Pomimo siwych włosów nie wyglądała na więcej niż lat trzydzieści.

Ligenhorn pożerał ją wzrokiem, po czym poprowadził z nią rozmowę pełną galanterii i finezyjnego dowcipu. Przysłuchiwałem się z zazdrością jego błyskotliwym, aforysty-

— 195 —

cznym zwrotom, które zdradzały człowieka o niezwykle bystrej inteligencji. Aby mu dorównać, próbowałem wtrącać znane mi cytaty, ale wszystkie wypadły jakoś nie & propos. Czułem swoją niedźwiedzią niezręczność, ale Kira na szczęście zdawała się jej nie dostrzegać. Była ogromnie ożywiona, śmiała się nerwowo i nieco zbyt głośno.

— Przepraszam cię, kochanie — powiedziałem wreszcie, aby przerwać tę bezpłodną konwersację. — Mam z profesorem do omówienia pewne ważne sprawy. Nie gniewaj się. Trudno być żoną Cezara — jak powiedział Katullus.

Ani Katullus tego nie powiedział, ani porównanie z Cezarem nie było zbyt trafne, jednak Kira spojrzała na mnie z uznaniem i pieszczotliwie przesunęła ręką po moich włosach.

— Pani przypomina nie tyle Kalpurnię, ile raczej pewną dziewczynę z portretu znalezionej w Fajum. Jego reprodukcja wisi u mnie nad biurkiem. Ta dziewczyna ma pani oczy. Stale patrzymy na siebie — rzekł Ligenhorn całując Kirę na pożegnanie w rękę.

Do końca dnia byłem piekielnie rozdrażniony. Prześladowały mnie złudzenia słuchowe, miałem przyspieszone tętno. Ukrywałem to przed Kirą i nadrabiałem miną. Wieczorem powiedziałem jej, że musimy się pobrać, gdyż ugruntuje to naszą równowagę psychiczną. Zdradziłem jej nawet sens pewnego wykresu liczbowego, w którym zestawilem nasze wzajemne powiązania i otrzymałem niezawodny wskaźnik 47593.

Wymowa tych cyfr była dla mnie oczywista, natomiast Kira przyjęła moje oświadczenie z pozorną obojętnością. Też nocy

— 196 —

oboje nie zmrużyliśmy oka do rana. Nazajutrz miałem pewne luki w pamięci i dopiero po południu przypomniałem sobie treść rozmowy z Ligenhornem.

Pracę w klinice objąłem pierwszego czerwca. Zaszły tam duże zmiany. Spośród dawnych lekarzy zostało tylko dwóch: dr Łoś i dr Hol-der. Inni przenieśli się do szpitala w Pruszkowie, część wyjechała na Ziemię Odzyskane. Dr Kowalikowa ze względów rodzinnych postarała się o pracę w Kościanie. Natomiast jeśli chodzi o pielęgniarki, to stwierdziłem, że ilość ich wzrosła w dwójnasób. Przybyło sporo młodych, zapewne mniej doświadczonych, ale za to wyróżniających się urodą. Obłeśny Ligenhorn skompletował sobie niezły haremiki Z miejsca też postanowiłem śledzić jego zachowanie i zdemaskować go w odpowiedniej chwili.

Powierzono mi dokonywanie dość zawiłych operacji obliczeniowych. Opracowywałem listy płac, sporządzałem tabele podatków, układałem preliminarze, gromadziłem i porządkowałem materiały statystyczne. Dzięki temu miałem dostęp do akt personalnych pracowników Kliniki oraz do kartoteki pacjentów.

Praca w dziale matematycznym pozwalała mi w szerokim zakresie doskonalić moją metodę. Już po kilku miesiącach zdołałem z grubsza wyprowadzić wykresy liczbowe wszystkich lekarzy zatrudnionych w Klinice. Rezultaty okazały się nader interesujące.

Stwierdziłem <u Ligenhorna stany inwolucyjne urojeniowe, wyrażające się między in-

— 197 —

' i^ft nRHSRin^i

liymi absurdalną megalomanią. A włąć cierpiał na psychozę, którą przypisywał mnie w informacji dla Garrauda. Insynuowanie innym osobom własnych schorzeń jest zresztą w psychiatrii zjawiskiem powszechnie znanym.

Dr Sarnowski dotknięty jest wtórną katatonią z halucynacjami o typie zbliżonym do syndromu Kandinskiego-Clerambaulta.

Dr Zawadzka, której otyłość jest patologiczna, cierpi niewątpliwie na chorobę Thomsena.

Pozostali lekarze, podobnie jak większość pielęgniarek i pielęgniarzy, w mniejszym lub większym stopniu nadają się do leczenia psychiatrycznego. Przesłałem na ten temat odpowiedni memoriał do Ministerstwa Zdrowia, nie wspominałem tylko o Ligenhornie, gdyż co do jego osoby miałem całkiem odrębne plany. Ligenhorna trzeba było unicestwić jednym uderzeniem, ale uczynić to w sposób ostrożny i przemyślany w najdrobniejszych szczegółach.

Pracowałem w klinice z dużym zapalem. Zamówiono dla mnie w NRP maszyny Ilcząco- -analityczne specjalnej konstrukcji, stosownie do moich wymagań i wskazówek. A więc przede wszystkim tabulator Buli BSB 120 wraz z podłączonym kalkulatorem elektronowym GAMMA. Na razie musiałem posługiwać się zwykłym biurowym arytmometrem. Jednakże przy moich fenomenalnych zdolnościach w zakresie matematyki zdołałem szybko rozwinąć i udoskonalić metodę wykresów liczbowych. Cały personel kliniki miałem jak na dłoni, wiedziałem o nim wszystko i mogłem już przystąpić do odpowiednich zabiegów leczniczych. Wolałem jednak czas pewien jeszcze odczekać, żeby uchronić się przed wścibstwem Li genhorna i jego szpiegów. Zebrane materiały pozwoliły mi utwierdzić się w przekonaniu, że obserwacje Kiry były słuszne. Większość psychiatrów kwalifikuje się do leczenia na równi z ich pacjentami. Czyżby więc teoria intoksykacji psychotycznej miała rację bytu? Na sobie bynajmniej nie mogę tego stwierdzić* chociaż wielokrotnie poddawałem swoje postępowanie dokładnej analizie i co miesiąc regularnie sporządzam na nowo wykresy liczbowe, które dają wyraźny obraz pracy mego mózgu. Jest absolutnie sprawna i normalna. Z zachowaniem całkowitej dyskrecji wznowiłem praktykę prywatną. Kira spełniała rolę sekretarki, asystentki i pielęgniarki. Wprowadziłem szereg zabiegów, stosowanych w Instytucie profesora Garraud. Ślub mój z Kirą odbył się bez rozgłosu. Świadcami byli moja stara, wierna Weronika oraz Oskar. Chciałem pozorami przyjaźni uspić jego czujność. Po ślubie urządziłem w moim mieszkaniu skromne śniadanie, co dało mi sposobność do spenetrowania w sposób dyskretny teczki Ligenhorna, którą zostawił w przedpokoju. Znalazłem tam nie zapieczętowany list do Garrauda. Ligenhorn pisał w nim, że stan zdrowia obu pacjentów jest na razie zadowalający. Kogo dotyczyły te słowa? Jednym z tych pacjentów była oczywiście Kira. Ale ten drugi? W każdym razie wbrew powyższemu twierdzeniu Kira znowu miewała okresy depresji, manii prześladowczej, otępienia. Po nocach prześladowały ją przywidzenia, powtarzały się wizje obozowe; często odbywała urojone podróże do Radomia, gdzie spędziła dzieciństwo,

miewała też luki pamięciowe. Moja metoda terapii matematycznej, która w stosunku do innych pacjentów dawała rewelacyjne wyniki, zawodziła na całej linii, gdy chodziło o Kirę. Zabiegi intymne doraźnie przywracały jej równowagę psychiczną, ale w następstwie pogłębiały jeszcze stany depresyjne[^]

Po naradzie z Ligenhornem zgodziłem się umieścić ją w klinice. Trzeba przyznać, że ten zdeklarowany cynik naukowy po trzymiesięcznej kuracji zdołał uwolnić Kirę od urojeń, halucynacji i napadów depresji. Wróciła do domu na pozór wyleczona, szczęśliwa, że znów jest ze mną, a nawet słyszałem, jak w łazience wesoło sobie nuciła. Przeżywaliśmy znowu chwile małżeńskiego szczęścia, chociaż nie odczuwałem w niej dawnego miłosego zapału. Unikała moich pocałunków, tłumacząc to bólem dziąseł. Na potwierdzenie swoich słów ostentacyjnie plukała usta wywarem z jarzębiny, jak to jej zalecił stomatolog. Jej zobojętnienie przypisywałem pewnemu otepieniu psychicznemu, które mimo wszystko występowało u niej od czasu do czasu.

Upłynęło znowu kilka miesięcy. Na wiosnę, gdy wróciłem pewnego dnia po południu z kliniki, nie zastałem Kiry w domu, Weronika nie widziała, kiedy wyszła. Czekałem na nią z obiadem, ale miały go dziny i Kira nie wracała. Zaniepokojony szukałem jej u dentysty, u krawcowej, u dr Zawadzkiej.

— Kira nie jest osobą całkiem zrównoważoną — rzekła dr Zawadzka. — Trzeba coś przedsięwziąć.

Zadzwoiłem do milicji, potem do pogotowia, do szpitali, które tego dnia miały ostre dyzury. Nigdzie jednak wśród wypadków Kira nie figurowała.

Wróciłem do domu pełen niepokoju. Nie rozbierałem się do późnej nocy, pomimo próśb i perswazji Weroniki. Byłem w stanie najwyższego napięcia, kiedy nad ranem rozległ się dzwonek telefonu. Usłyszałem głos Kiry, który brzmiał jak z zaświatów:

— Witku, to ja... Jestem w Radomiu. Nie denerwuj się, nic się nie stało... Już wracam... Tak.. Będę koło południa... Pa, całuję cię...

Zwolniłem się z kliniki i pojechałem po Kirę na dworzec. Kiedy wysiadała z wagonu, uderzyła mnie jej błądź i sińce pod oczami. Uśmiechnęła się do mnie, ale w taksówce milczała i nie odpowiadała na moje pytania. Była w stanie zupełnego otepienia.

Przy pomocy Weroniki rozebrałem ją i położyłem do łóżka. Natychmiast zapadła w sen i spała do wieczora. Chętnie potem napiła się gorącego bulionu, ale jeść nic nie chciała. Stan prosUacii, ustąpił. Zaczęła opowiadać dzieje swojej wyprawy.

Nie wiedziała, kiedy i w jaki sposób znalazła się w Radomiu. Poszła do domu, w którym mieszkała za czasów swego dzieciństwa. Trafiała do obcych ludzi, wywołała wśród nich konsternację, ale nie pamiętała przebiegu tej niezamierzonej wizyty ani gdzie spędziła noc. Nad ranem ocknęła się na dworcu i tu dopiero uświadomiła sobie, że jest w Radomiu. Stamtąd właśnie do mnie zatelefonowała. Gdy wracała, w wagonie zasłabła. Zaopiekował się nią jakiś przygodny pasażer, Francuz. Dał jej swój bilet wizytowy, ale gdzieś go zgubiła. Bezskutecznie przetrząsnęliśmy torebkę. Biletu nie było.

Cała ta przygoda pozostawiła w psychice Kiry głęboki uraz. Zaczęła bać się panicznie podobnych niezamierzonych wypraw. Szczególnie zaś gnębiły ją objawy luk pamięcio- wych. i fT"
"Nie pamiętam i Nic sobie nie przypominam! Nie dręcz mnie pytaniami! — wołała głosem pełnym rozpacz, gdy nakłaniałem ją do odtworzenia łańcucha przyczynowego radomskiej eskapady.

Nazajutrz dowiedziałem się, że dr Sarnowski, prowadząc swego Wartburga, wpadł w poślizg i rozbił się o drzewo. Pomimo natychmiastowej pomocy nie udało się go uratować. Po tym wypadku napisałem do prasy artykuł o konieczności przeprowadzania należytych badań metodą wykresów liczbowych przed wydawaniem prawa jazdy lekarzom-psychia- trom. Artykuł wywołał ogromne wzburzenie w świecie lekarskim. Dr Zawadzka, która ma Volkswagena, powiedziała przy spotkaniu ze mną:

— Pan chyba zwariował!

— Thomsen kazał się pani kłaniać — odrzekłem znacząco.

Tylko Ligenhorn potraktował moje prasowe wystąpienie z milczącą aprobatą. O, to jest wytrawny gracz! Według recepty Machiavel- lego. W każdej sytuacji jest lisem i lwem równocześnie.

Obawiałem się u Kiry nawrotu J2E1 i tendencji samobójczych. Przepisałem jej

więc duże dawki witaminy PP. Zdaniem Li- genhoma przy naszym sposobie odżywiania

o pelagrze nie mogło być mowy. Ja uważałem jednak, że warunki obozowe mogły spowodować trwałe wyniszczenie organizmu. Pogląd mój potwierdziły wykonane na nowo wykresy liczbowe i obniżenie wskaźnika ze 137 na 128.

Pomimo otępienia uczuciowego i powracających lęków Kira sporo czasu spędzała poza domem.

Przypuszczałem, że spaceruje po mieście dla zabicia czasu.

Znosiła zresztą do domu mnóstwo bezużytecznych przedmiotów, na które wydawała swoje francuskie oszczędności. Muszę przyznać, że nie jestem rozrzutny i nie folgowałem na ogół rozrzutności Kiry. Ona twierdziła, że jestem chorobliwie skąpy i na złość mnie kupowała coraz to nowe wazoniki, garnuszki, dzbanuszki i tym podobne zbędne wyroby ceramiczne. I ten kierunek jej zamiłowań traktowałem jako przejaw choroby. Tak samo oceniałem jej zubożenie, złe humory i stany neurasteniczne, przechodzące niekiedy w histerię.

Pewnego dnia oświadczyła mi, że czuje nieprzeparte pragnienie wyjazdu do Radomia, gdyż miasto to odświeża w niej wspomnienia rodzimie. Jeździła więc tam jeszcze dwukrotnie i wracała niezwykle ożywiona.

Później jednak nie zdradzała już chęci wyjazdu

o Radomiu w ogóle nie było więcej mowy.

Natomiast coraz częściej wychodziła z domu, chociaż nie miała przyjaciół ani znajomych. Wszelkie moje indagacje wprawiała ją

w stan ostrego rozdrażnienia'. Miała zawsze tę samą Odpowiedź:

— Nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć I Nie dręcz mnie pytaniami. Przecież widzisz, że jestem nieprzytomna ze zmęczenia.

Orientowała się w zanikach pamięci i zużywała tak wiele wysiłku na ich przezwycięzenie, że w końcu wołałem dać jej spokój' i o nic nie pytać.

Pochłaniała mnie praca w Klinice. Wieczorami zajęty byłem pisaniami artykułów oraz podstawowego dzieła na temat metody wykresów liczbowych. Ku memu wielkiemu zdziwieniu redakcja „Kwartalnika Psychiatrycznego” zwracała mi prace podpisane moim nazwiskiem, ale zdarzało się, że nie pamiętałem, czy byłem rzeczywiście ich autorem. Szybko traciłem kontakt z własnymi koncepcjami i nie mogłem sobie przypomnieć dawnego toku myśli. Uczni obserwowali podobne zjawiska w funkcjonowaniu umysłów genialnych i przypisywali je gonitwie inwencji twórczych.

Chociaż całe dni miałem wypełnione pracą i niewiele mi zostawało czasu na życie osobiste, coraz częstsze objawy zubożenia ze strony Kiry zaczynały mnie po trochu niepokoić. Nie miałem wątpliwości co do jej uczuć w stosunku do mnie. Kobiety, z którymi stykałem się w życiu, na ogół łatwo i chętnie mi ulegały i pozostawały pod urokiem mojej osobowości, a zwłaszcza oddziaływania seksualnego. Podobnie było z Kirą, co mogłem stwierdzić zwłaszcza pod koniec każdego tygodnia, gdyż, poczynając od sobotniego popołudnia, niedzielę i poniedziałek przeznaczałem na odpoczynek. Spędzaliśmy czas razem, , chodziliśmy na spacer, a w nocy oddawaliśmy się igraszkom zmysłów.

Mimo dowodów przywiązania i namiętności ze strony Kiry zaczynały nękać mnie podejrzenia. Częste odwiedziny Ligenhorna i jego szczególna galanteria w stosunku do Kiry ,nie uszły mej uwagi. Ligenhorn górował nade mną ogładą towarzyską i posiadał niezaprzeczony urok osobisty. Elegancki, postawny, miał coś ujmującego w ruchach rąk? oczy i usta, pełne delikatnego ciepła, wyrażały równocześnie cechy męskiej stanowczości. Opis mój nie dał pełnego obrazu jego powierzchowności. Nie/ posiadam dość precyzyjnej wyobraźni i kiedy staram się odtworzyć w pamięci wygląd jakiejś osoby, przesuwają mi się przed oczami ułamki postaci i twarzy, osadzone niewłaściwie, jak w niektórych portretach Picassa. Może właśnie dlatego malarz ten jest mi szczególnie bliski. Wracając do Ligenhorna mogę stwierdzić, że robi on wrażenie człowieka, któremu wszystko przychodzi z łatwością i który zawsze panuje nad sytuacją. Ten człowiek obezwładniał mnie.. Nie mogłem jednak zdradzić się z moją bezsilnością. Toteż nienawiść i wrogość w stosunku do niego maskowałem przesadną kurtuazją i uprzedzającą grzecznością.

Pewnego dnia zaświtało mi podejrzenie, że Ligenhorn uwodzi Kirę. Postanowiłem ich śledzić. Żona Ligenhorna od lat była sparaliżowana, miała porażoną mowę, słuch i wzrok. Stanowiła rozpaczliwą ruinę człowieka. Dlatego Ligenhorn większość czasu spędzał w Klinice, w swoim gabinecie dyrektorskim,

gdzie również zainstalował sobie tapczan, aby móc odpocząć w ciągu dnia.

Pod pozorem odrabiania zaległości przez cały tydzień spędzałem wieczory przy biurku w Klinice. Z mego okna widziałem po przeciwnej stronie okno gabinetu Ligenhorna, zasłonięte kotarą, z której przez długie godziny nie spuszczałem oka. Dzień po dniu czekałem cierpliwie. Wreszcie dopiąłem swego. Na kotarze ukazały się dwa cienie. Jeden z nich był cieniem kobiety. Patrzyłem i czułem, jak serce podchodzi mi do gardła. Niebawem w oknie Ligenhorna światło zgasło i zapanowała ciemność. Wzburzony do ostatecznych granic, wybiegłem na korytarz, zakradłem się na palcach do drzwi gabinetu dyrektorskiego i gwałtownie szarpnąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Pchnąłem drzwi ramieniem raz, potem drugi, wreszcie wziąłem rozpęd i wparłem się w nie plecami. Rozległ się trzask, zamek ustąpił.

Przekreśliłem kontakt.

Ligenhorn stał bez marynarki i bez krawata, usiłując zasłonić kobietę leżącą na tapczanie. Dyszał i syczał przez zęby:

— Idioto! Szaleńcze! Co ty wyprawiasz? Opamiętaj się!

Na oczach miałem mgłę, a w sercu piekło. Przede mną, od podłogi do sufitu, rozpościerała się pulchna masa Ligenhorna. Przedzierałem się przez nią wymachując rękami, aby dopaść Kiry. Początkowo na niczym nie mogłem skoncentrować wzroku, gdyż wszystko dokoła mnie wirowało. I nagle w mózgu poczułem strumień chłodu. Oprzytomniałem. Na tapczanie, do połowy rozebrana, leżała Wanda Siennicka, jedna z naszych pielęgniarek. Spojrzała na mnie przerażonym wzrokiem, a potem ukryła twarz w dłoniach. Słyszałem tylko jej urywane słowa:

— O, Boże... To straszne...

Ligenhorn powiedział spokojnie:

— Wynoś się stąd, idioto!

Zataczając się opuściłem gabinet. Nie wstępując do siebie, bez kapelusza, wybiegłem na ulicę. Pamiętam, że panowała ciemność i padał deszcz. Szedłem pieszo, aby odzyskać równowagę ducha. Więc to Wanda Siennicka! W Klinice nazywano ją Lolitą. Teraz zrozumiałem, dlaczego zawsze mnie unikała, chociaż gotów byłem okazywać jej szczególne względy. W każdym razie teraz miałem w ręku ich oboje.

Kiedy przyszedłem do domu, Kira już spała. Po cichu rozebrałem się i wśliznąłem do niej pod kołdrę. Na wpół senna zaczęła mówić do mnie po francusku. W podświadomości jej wciąż jeszcze tkwiły minione sztrasburskie dzieje. Przytuliłem się do niej i tu po raz pierwszy od chwili naszego małżeństwa spotkała mnie straszliwa zniewaga. Kira nagle zerwała się z łóżka i wlokąc za sobą kołdrę, zbiegła po schodach na dół, zamknęła się na klucz w kuchni i nie odpowiadała na moje wołania i prośby. Usłyszałem tylko zaspany głos Weroniki:

— Jak ona nie chce, to niech Wituś da jej spokój. Popłaczcie i przestanie. A Wituś niech idzie spać. Już my tu z naszą panią jakoś się urządzimy.

Nazajutrz nie poszedłem do Kliniki. Była to zresztą angielska sobota i bez trudu usprawiedliwiłem moją nieobecność. Po nieprzespa-

nej nocy wolałem zostać w domu. Wiedziałem, że czeka mnie przykra przeprawa z Ligenhornem, a zresztą chciałem wyjaśnić przyczyny dziwnego zachowania Kiry.

Kiedy przed dziewiątą wszedłem do kuchni, dowiedziałem się od Weroniki, że Kira wyszła po zakupy. Niebawem wróciła pogodna i wesoła, a na stawiane jej zarzuty miała tę samą stereotypową odpowiedź:

— Co ty mówisz? Naprawdę? Nic nie pamiętam. Przecież wiesz, że cię kocham.

Była . tego dnia wyjątkowo zrównoważona i okazywała mi szczególną czułość. W południe poprosiła, abym zabrał ją do kawiarni. Po nocnym deszczu październikowe słońce grzało jak w lecie. Nie pamiętam równie pięknej jesieni. Szliśmy przytuleni do siebie jak para kochanków. Szybko zapomniałem o wczorajszych przykrościach. W kawiarni Europejskiej usiedliśmy na tarasie, rozmawiając beztrudnie o sprawach nieważnych i błahych, jak niegdyś nad Renem. Czułem, jak przychodzi odprężenie i daje ukojenie moim skołatanym nerwom.

Popijałem kawę, słuchałem paplaniny Kiry

1 rozglądałem się po sali. W pewnej chwili zobaczyłem coś, co wprawiło mnie w osłupienie. Krew uderzyła mi do -głowy, na moment serce przestało mi bić. Złapałem Kirę kurczowo za rękę i z trudem wydobywając, z siebie głos, wyszeptalem:

Patrz... Tam... Widzisz?;.. .i *

Po przeciwnej stronie, na wprost nas siedziała... Kira i wpatrywała się we mnie szklanym wzrokiem. — O co ci chodzi? Co mam widzieć?

— Jak to, przecież ty tam siedzisz... Ty... Tyl

— Witoldzie, uspokój się. Masz chyba halucynacje.

— Nie rób ze mnie wariata.

Tamtą drugą Kira siedziała nieruchomo. Zerwałem się od stolika, żeby podejść do niej. Wskutek gwałtownego mchu strąciłem filiżankę na podłogę. Nachyliłem się, aby ją podnieść. Kiedy się wyprostowałem, w miejscu, gdzie siedział sobowtór Kiry, nie było nikogo. Pot wystąpił mi na czoło. Teraz już sam nie wiedziałem, czy obraz był rzeczywisty, czy też uległem halucynacji.

— Witoldzie, źle się czujesz... Chodźmy do domu — powiedziała Kira.

Podobne przywidzenia miewałem przed wyjazdem do Strasburga. Kładłem je wtedy na karb przepracowania. Obecnie gotów byłem uwierzyć, że uległem złudzeniu wzrokowemu wskutek bezsennej nocy.

Kira bardzo przejęła się moim stanem i chciała zatelefonować po Ligenhorna, na co jednak ze zrozumiałych powodów nie mogłem się zgodzić. Zresztą Ligenhorn sam po południu zjawił się nieproszone. Udawał, jak gdyby nic między mną a nim nie zaszło, troskliwie wypytywał o moje samopoczucie. Przez cały czas jego wizyty nurtowała mnie myśl, że jest w zмовie z Kirą. Wyglądało na to, że oboje chcą mnie skłonić do poddania się jakimś zabiegom leczniczym pod pozorem rzekomego zakłócenia równowagi psychicznej. Po prostu chodziło im o pozbycie się mnie dla celów aż nazbyt przejrzystych. Toteż zacho-

khhi

wywałem się dosyć opryskliwie, a w końcu oświadczyłem bez ogródek:

— Mam zaufanie tylko do siebie samego i sam potrafię dbać o własne zdrowie. Jeśli natomiast ty, Oskarze, chcesz pozbyć się mnie jako niewygodnego rywala, proszę bardzo! Nie potrzebujesz uciekać się w tym celu do niezręcznych pretekstów. Ja zaś postąpię tak, jak dyktuje mi honor i obowiązek.

Po wyjściu Ligenhorna doznałem uczucia ulgi i zadowolenia. Miałem go w ręku i teraz ja byłem górą.

Z Kirą spędziłem upojną noc, dzięki czemu podejrzenia moje szybko się rozwiały. Zrozumiałem, że niesłusznie posądzałem ją o konszachy z Ligenhornem.

Niedziela zapowiadała się bardzo pogodnie. Własnoręcznie podałem Kirze śniadanie do łóżka", gdyż Weronice trudno było wchodzić po schodach.

Przed obiadem Kira zapragnęła pójść do Ogrodu Botanicznego, co było dość dziwną zachcianką, zwłaszcza że niebo zaczynało się chmurzyć.

— Chcę pozbiierać trochę liści — powiedziała z pogodnym uśmiechem. — Tak lubię jesienne barwy... Liście są złote i czerwone. Stoi tu tyle pustych wazonów. Powkładam do nich jesienne liście.

W ogrodzie było prawie pusto. Jakiś samotny starzec siedział na ławce i czytał gazetę. Jakaś para całowała się w bocznej alei. Zewsząd wiało smutkiem i melancholią. Szliśmy w milczeniu wśród ogołoconych drzew, przyglądając się samotnej wiewiórcie. I nagle w

— 210 —

oddali ukazała się postać, która przykuła mój wzrok. Była to Kira, ta sama, którą widziałem w kawiarni poprzedniego dnia.

— Czy widzisz? — zawołałem. — Znowu ona!

— Ależ tam nikogo nie ma... Pusta ścieżka...

— Jest, jest! To ty! To ona! I tutaj... I tam... Widzę was obie!

W tym momencie Kira zasłoniła mi oczy dłońmi i przyciskała tak mocno, że przez dłuższą chwilę nie mogłem ich oderwać. Gdy ponownie spojrzałem przed siebie, postać znikła. A więc rzeczywiście nie było nikogo.

— Niepokoisz mnie — rzekła Kira. — Musisz zacząć się leczyć, skoro halucynacje się powtarzają. Nie powinieneś tego zaniedbywać.

— Doktor Adler miewał często podobne przywidzenia. Pamiętasz? Sam nam opowiadał.

— Adler?... Jaki Adler? Nie przypominam sobie.

Sytuacja stawała się rzeczywiście niepokojąca. Ja miałem halucynacje, Kira cierpiała na zanik pamięci. Jej stan wskazywał na zaburzenia schizofreniczne, mój — na wyczerpanie i przeciążenie umysłu nadmierną pracą.

Nazajutrz, po nocy spędzonej w ramionach Kiry, udałem się do Kliniki. Kazałem sobie podać teczkę personalną Wandy Siennickiej. Dowiedziałem się, że jest żoną inżyniera i ma siedmioletnią córeczkę.

Opracowałem obszerny memoriał do Ministerstwa Zdrowia, opisałem nieetyczne postępowanie Ligenhorna, wykazałem wszelkie cechy nadużycia stanowiska służbowego. Nie oszczędziłem też jego partnerki, gdyż jako człowiek honoru uważałem za swój obowiązek dbać o czystość obyczajów na terenie tak waż-

nej placówki naukowej, jak Główna Klinika Psychiatryczna.

Po wysłaniu tego memoriału skierowałem do Ligenhorna pismo z prośbą o natychmiastowe zwolnienie mnie z pracy i nie żegnając się z nikim poszedłem do domu. Nie potrzebują dodawać, że przedtem zniszczyłem wszystkie notatki, obliczenia i wykresy, które pozwoliłyby Ligenhornowi poznać tajemnice mojej metody naukowej.

Zemsta nie byłaby całkowita, gdybym nie zawiadomił męża Wandy Siennickiej o scenie, której stałem się przypadkowym świadkiem. Listu tego nie podpisałem, gdyż uważałem za rzecz niegodną mieszanie mego znanego w świecie naukowym nazwiska w brudne erotyczne sprawki.

Byłem znowu człowiekiem wolnym. Wystąpiłem o przywrócenie mi emerytury i teraz mogłem bez reszty poświęcić się pracy naukowej. Zaniechałem też praktyki prywatnej, aby nie narażać się na denuncjacje zawistnych kolegów.

Niestety, choroba Kiry nasilała się, a moja metoda wykresów liczbowych w stosunku do niej jednej okazywała się zawodna.

Nie mam poczucia upływu czasu, toteż nie pamiętam dokładnie, jak dawno przyjechaliśmy ze Strasburga. Może upłynął rok, a może dwa lata. W każdym razie żyłem z Kirą wystarczająco długo, aby poznać jej zmienne usposobienie i odchylenia psychotyczne, które człowiek postronny mógłby wziąć za kaprysy charakteru. Na jej wybuchy schizofreniczne starałem się odpowiadać wyrozumiałym milczeniem i łagodnością.

212 —

Widziadło będące odbiciem Kiry w przestrzeni ukazywało mi się odtąd wielokrotnie, i to nie tylko na ulicy czy w kawiarni, ale nawet w moim gabinecie, chociaż podczas pracy zamykałem się na klucz. Musiałem mieć się na baczności i strzec moich rękopisów przed wścibstwem Weroniki, która według wszelkiego prawdopodobieństwa była przekupiona przez Ligenhorna. Ta stara, prosta kobieta nie zdawała sobie sprawy z zacieśniającej się wokół mnie sieci intryg i zawiści. Stała się bezwolnym narzędziem w rękach moich rywali. Wymogłem przeto na Kirze, aby sama przygotowywała nasze posiłki, gdyż Weronice nie można już było ufać.

Jak dalece starano się mnie zaszczyć, niechaj poświadczy fakt, że Wydawnictwo Naukowe zwróciło mi pracę, którą złożyłem tam przed pół rokiem. Zawiera ona rewelacyjne odkrycia w dziedzinie psychopatologii, co zapowiada już sam jej tytuł „Prolegomena do zasad wykrywania nieodwracalnego w odwracalnym przy pomocy sterowania programowego według metody psychoanalitycznych wykresów liczbowych wyższego rzędu”.

Odmowa publikacji sformułowana była w sposób perfidny i wykrętny. Ale pomiędzy kartkami maszynopisu znalazłem anonimową recenzję, pozostawioną tam przez niedopatrzenie czy też przez świadomą złośliwość. O ile sobie przypominam, anonimowa opinia składała się z takich mniej więcej sformułowań:

„Autor, który swego czasu zapowiadał się jako wybitny naukowiec, zaprezentował nam obraz kompletnej degradacji intelektualnej... Omawiana praca wykazuje pomieszenie dużej

— 213 —

wiedzy matematycznej z niepoczytalnym bełkotem obłąkańca i nie nadaje się do jakiegokolwiek obiektywnej oceny... Obok precyzji matematycznej występuje w niej rozumowanie tak absurdalne, że stawia ono pod znakiem zapytania zdrowie psychiczne autora..."

A więc spotkał mnie los tylu innych genialnych umysłów! Edisona potraktowano jak szarlatana, Fulton znalazł się w zakładzie dla obłąkanych, Pasteura wyśmiewali ignoranci i nieucy; Giordano Bruno spalono na stosie! Wyprzedziłem swoją epokę i dlatego zostałem zdeptyany i wyszydzony! No cóż, panowie, proszę, przygotujcie stos, niechaj spłonę jako ofiara na ołtarzu nauki. A po latach imię moje będziecie wymawiali ze czcią. Będziecie mi stawiali pomniki. Geniusz Witolda Soteli zatryumfuje nad nieuctwem różnych Ligenhornów, Garraudów, Adlerów! Na nic wasze zajadłe intrygi! Nie unicestwicie mojego geniuszu!

Na razie jednak musiałem się bronić! Wystosowałem ostry protest do Akademii Nauk i do senatów uniwersyteckich w Warszawie? Krakowie, Łodzi i Wrocławiu. Wystąpiłem też do Prokuratury Generalnej z żądaniem wszczęcia postępowania karnego przeciwko osobom, które zdyskwalifikowały moją pracę, aby następnie przywłaszczyć ją sobie, jak to praktykuje się od dawna w tak zwanym świecie naukowym. Do „Kwartalnika Psychiatrycznego,” wysłałem odpowiednie ostrzeżenie.

Cała ta afera wprawiła mnie w stan zrozumiętego rozdrażnienia. Opracowałem natychmiast inną, własną recenzję odrzuconej pracy, jak najbardziej pochlebną, ba, nawet entuzjastyczną, aby ją pokazać Kirze. Musiałem

ugruntować jej zaufanie do mnie, gdyż wciąż jeszcze poddawała się moim zabiegom leczniczym.

Z arkuszem starannie napisanym na maszynie i podpisanym nazwiskiem znanego uczonego, udałem się na piętro do Kiry. Leżała na tapczanie i słuchała radia. Były to nagrania z konkursu szopenowskiego.

Nie znoszę muzyki, zwłaszcza melodycznej i harmonijnej, gdyż wpływa ona obezwładniająco na umysł. Dawno stwierdziłem na sobie jej paraliżujące działanie. Usiadłem więc obok Kiry i wyłączyłem radio.

— H Dłaczego przeszkadzasz mi słuchać? ^ powiedziała z irytacją. — Pozbawiasz mnie wszelkich przyjemności. Jesteś nieznośny!

Przeprosiłem ją z właściwą mi łagodnością i dałem jej do przeczytania spreparowaną przeze mnie recenzję.

— Co mnie to obchodzi? rzekła z rozdrażnieniem w głosie. Rzuciła okiem na kartkę maszynopisu, po czym dodała:

— Bzdury... Powiedziałbyś lepiej Weronice, żeby mi zaparzyła kawy.

— Myślałem, że przywiązujesz większą wagę do moich sukcesów naukowych — powiedziałem z wyrzutem.

— Wszyscy jesteście pomyleni. Wszyscy! A zwłaszcza ty! — odrzekła opryskliwie i włączyła radio. Z dołu rozległo się wołanie Weroniki:

— Witusiu, niech Wituś zejdzie! Przyszedł jakiś pan, ale nie wiem, o co chodzi, bo nie mówi po polsku. Nieznajomy cudzoziemiec czekał w przedpokoju. Piękną francuszczyzną przeprosił mnie

za najście bez uprzedzenia, a następnie przedstawił się:

— Nazywam się Klaudiusz Garraud. Jestem synem profesora Garraud ze Strasburga.

Wprowadziłem go do gabinetu.

— Miło mi poznać pana — powiedziałem nie ukrywając zdziwienia. — Mój przyjaciel, profesor Garraud, w listach nie wspominał mi o przyjeździe pana do Warszawy.

— Ach, mój ojciec jest taki roztargniony... Od pół roku pracuję tu w naszej ambasadzie... Dziwię się, że nic o tym nie pisał, zresztą, nie chciał może zaprzętać pańskiej uwagi moją osobą.

Klaudiusz Garraud wyglądał na lat czterdzieści. Przystojny, z czarnym wąsikiem, ubrany z przesadną elegancją. Wydał mi się zanadto tęgi. Kapelusz i rękawiczki trzymał w rękach o krótkich palcach, które stanowiły chyba jedyny rys podobieństwa do ojca.

— Czy przychodzi pan do mnie w charakterze pacjenta? — spytałem. — A jeżeli nie, to czym mogę służyć? Mam dług wdzięczności wobec profesora Garraud i chętnie go spłacę stosownie do pańskiego życzenia.

Mój gość milczał i przyglądał mi się uważnie. Weronika przyniosła kawę.

— Słucham pana — powiedziałem z uprzejmym uśmiechem.

Francuz długo się zastanawiał, wreszcie zaczął mówić:

— Przychodzę w sprawię bardzo drażliwej... Wyjątkowo drażliwej. Trudno mi dobrać odpowiednie słowa. Chodzi o to, że pańska żona Kira opuściła pana. Tak... Opuściła na zawsze i nieodwołalnie. Od dwóch tygodni jest ze

mną... Przywodzę w jej imieniu prosić pana

o rozwód.

— Pan chyba nie jest przy zdrowych zmysłach, panie Garraud! — zawołałem. — Moja żona jest ze mną. Przed sekundą z nią rozmawiałem. To, co pan mówi, jest czystym urojeniem.

— Muszę panu wyznać całą prawdę... Kira opuściła pana przed dwoma tygodniami, a tu jest... jej siostra, siostra — bliźniaczka. Są do siebie tak podobne, że nikt nie potrafi ich rozróżnić. Decyzja Kiry jest nieodwołalna. Jej adwokat zwrócił się do pana w sprawie rozvodu, To byłoby wszystko.

Nie zauważyłem nawet, kiedy ten człowiek wyszedł. Przed oczami wirowały mi czarne platy. W mózgu poczułem straszliwy ucisk. Klaudiusz Garraud wydał mi się kimś nierzeczywistym i nie miałem pewności, czy istotnie z nim rozmawiałem. Trzymałem się kurczowo biurka

1 wpatrywałem się w pusty fotel, gdzie przed chwilą siedział Francuz, a skąd teraz wzywały do mnie oczy poruszane nerwowym tikiem, oczy Adlera. A więc znowu uległem halucynacji? Klaudiusz Garraud? Siostra-bliźniaczka? Już to gdzieś kiedyś słyszałem. Chorobliwe urojenia. Nikt u mnie nie był, nikt nie rozmawiał ze mną. Brednia, brednia, brednia!

Pobiegłem na górę i zawołałem od drzwi:

— Kira! Czy to jesteś ty? Mów, Jak ci na imię? A może jesteś tą drugą? Może jej siostrą? Rozumiem teraz wszystko! Przywiozła cię z Radomia! Wcale nie umarłaś w obozie. Zmusiła cię, abyś ją zastąpiła! A we

mnie wma-
f wiała, że jesteś tylko widziadłem. Ale to nie

ma znaczenia. Zostaniesz ze mną, będziesz jej sobowtórem! Będziesz drugą Kirą. Nic się nie zmieni. Kocham cię tak samo, jak tamtą. Rozbierz się! Byłaś dla mnie czulsza niż prawdziwa Kira. Rozbierz się, prędzej!

Mam wrażenie, że tak do niej przemawiałem. Nie! To nieprawda! Zebrałem o litość.

Prosiłem ją, skamlałem pod drzwiami jak pies. Spazmatyczne łkanie więzło mi w gardle, dławilo, zaczynałem się dusić.

I wtedy właśnie usłyszałem te straszliwe słowa:

— Cóż ty sobie wyobrażasz, stary komedianie? Czy nie rozumiesz, że cała ta tragifarsa już się skończyła? Ja miałabym zostać z tobą? Spójrz na siebie. Jesteś odrażający, obmierzły! Przejrzyj się w lustrze, żaloszny psychopato!

Chwyciła z komody owalne zwierciadło w srebrnej ramie i podsunęła mi je pod nos. W gładkiej tafli zdążyłem dostrzec przekrwione oczy i spoconą, karykaturalnie wykrzywioną twarz. Od tej chwili nie wiedziałem już, co dalej się działo. Słyszałem tylko brzęk tłuczonego szkła, trzask łamanych sprzętów, rozpaczliwe okrzyki, a nad tym wszystkim górował żaloszny lament Weroniki: Wituś! Co Wituś robi?

Nie umiałbym ustalić, ile dni upłynęło, odkąd jestem w Klinice, w tej pułapce, którą zastawił na mnie Ligenhorn. Podobno zima jest bardzo sroga. Za oknem widać śnieżną zadymkę. Mówi się o zaspach na drogach, o żywioło-

— 218 -

wej kłęsce śniegu. Ciekaw jestem, jak w tym czasie wygląda cmentarz?

Zdaje się, że byłem przywiązany pasami do łóżka. Przez mój pokój przewinęło się mnóstwo ludzi. Większość z nich już dawno nie żyje. Mój ojciec miał tik i przypominał Adlera. Same upiory. Nade mną stał Ligenhorn. Trzymał mnie za rękę. Powiedziałem do niego:

— Długo ha mnie polowałeś. Teraz mnie masz. Możesz być z siebie dumny.

Głos Ligenhorna zabrzmiał jakby z oddali:

— Byłeś bardzo chory, Witoldzie. Ale teraz szybko wrócisz do zdrowia. W marcu pojedziesz do Zakopanego. W górach poczujesz się znacznie lepiej.

Gdzie jest Kira? — spytałem. Po dłuższym milczeniu odpowiedział:

— Kira wyjechała do Francji. Rozmawiałem przez telefon z profesorem Garraud. Mówił mi, że Kira czuje się całkiem nieźle. Ma dobrą opiekę. Nie myśl o niej.

— A jej siostra?

— Nigdy nie wspominałeś, że Kira ma siostrę. Nic o tym nie wiem.

— Chciałbym zobaczyć Weronikę...

— O, biedna staruszka nie żyje. Po ataku twojej choroby miała wylew do mózgu. Umarła nazajutrz.

Zajęliśmy się jej pogrzebem.

Stał nade mną jak kat — wykonawca wyroków. Z jego ciepłych i serdecznych słów przebijał pogłos tryumfu. Miał mnie w swoich rękach i dokonywał aktu zemsty.

Nie, Oskarze Ligenhorn! Tryumfujesz przedwcześnie! Nie będziesz miał tej satysfakcji, aby przechwalać się zwycięstwem swojej me-

tody psychiatrycznej. Nie będziesz mnie demonstrował uniwersyteckim mydłkom: | — O, patrzcie, to jest ten, którego ja wyleczyłem.

Posiadam więcej rozumu i sprytu niż ty. Zabezpieczyłem sobie drogę do śmierci i do nieśmiertelności. .

A ten oto dokument, który zostawiam, stanie się wielkim aktem oskarżenia przeciwko tobie. Przeciwno wszystkim tobie podobnym szarlatanom i kanałiom I Moje będzie za grobem zwycięstwo I

Samotność

Stare lipy szeleszczą liśćmi przy lada powiewie. Nie słyhać nic — tylko ten szelest. Przebłyśki słońca w upalny sierpniowy dzień sączą się poprzez korony drzew i wesoło migocą na ścieżkach. Paruje mdły zapach powię- dłych kwiatów. Spokój, cisza i obojętność przemawiają z nagrobków beznamiętnym językiem imion i dat. Nie jest tu ani smutno, ani żałośnie. Ludzie umierają, a już po miesiącu nikt o nich nie pamięta. Może matka... Może niepoczyszony mąż... Ale i on znajduje sobie wkrótce nową towarzyszkę życia. Dlatego też obojętnie idziemy dalej, odczytując na płytach, na porzewiałych blachach, na żelaznych krzyżach imiona i nazwiska zmarłych.

Przy grobie w pobliżu muru siedzi na składanym stołeczku łysy, wąsaty mężczyzna w kolejarskim mundurze i czyta gazetę. Na czarnej blasze białymi literami wypisane jest imię i nazwisko: „Wiktoria Walczak... żyła lat 59”.

Kolejarz przesuwając ręką po łysinie opędzając się od much. Na łokciach jego mocno wyświeconego munduru widnieją łaty. Wąsy zrudzia- łymi wiechciami opadają na górną wargę. Zagarnia je dolnymi zębami i maceruje w ustach. Takie ma już przyzwyczajenie.

Po chwili przy sąsiednim grobie zjawia się tęga jejmość w czarnym kapeluszu, obszernej granatowej sukni i w czarnych mitenkach.

— Dzień dobry, panie Walczak — mówi rozsiadając się obfitym ciałem na wąskiej ławeczce. — Daj pan na chwilę tę gazetę... Ledwo się wepchałam do tramwaju, taki tłok...

Sklada gazetę w czworo i wachluje nią czerwoną, spoconą twarz.

— Myślałem, że już pani nie przyjdzie — powiada kolejarz wygładzając palcami wąsy.

— Co też pan, panie Walczak. Jak mogłabym nie przyjść do mego Franka... Zawsze cóż mąż, to mąż, choć i nieboszczyk.

Mówiąc to omiata szmatką kurz z żelaznego krzyża. Robi to pieczołowicie, a nawet z pewnym odcieniem czułości.

Po chwili znowu rozsiada się na ławeczce i wyciąga z torebki przybory do szycia.

— Daj no pan tę swoją kurtkę... Przyniosłam dziś igłę z nitką... Nie może pan tak bez guzika paradować.

— Co znowu, pani Heleno... Z jakiej racji?

— Dawaj pan... Z racji czy bez, guzik mogę panu przyszyć. Starszy człowiek, bez opieki. Zal patrzeć...

Pan Walczak ociągając się zdejmuje kurtkę. Wdowa po nieboszczyku Franku wyjmując z torebki parę guzików, dobiera najodpowiedniejszy, po czym zabiera się do szycia.

— Zaczna z pani osoba, pani Heleno — mówi kolejarz. — Nieboszczyk mąż miał z pani pociechę.

— E, tam... Czy taki się pozna? Mój pierwszy mąż to był anioł, nie człowiek. Jak Boga kocham. A Franek, choć to niby i kierownik

— 222 —

urzędu pocztowego, owszem, nie można powiedzieć, ale charakter miał jakiś taki niekulturalny. Ani do kina nie poszedł, ani radia nie posłuchał. Jedno tylko, co wiedział — to drzewka sadzić, a podlewać, a opryskiwać. Poza swoim ogródkiem świata nie widział. Ale na przykład w domu — nic go nie obchodziło. Miałam ja palmę. Powiadam panu, palma- -ogrom, wychuchana, wypielegnowana. Aż tu widzę, że mi palma z dnia na dzień marnieje. I co pan myśli? On się do tej palmy w nocy załatwiał. Jak Boga kocham! Choć to i nieboszczyk, ale prawdę muszę powiedzieć.

— Rzeczywiście... — stwierdza pań Walczak i kiwa głową. — Rzeczywiście... No, a co z ogródkiem?

— A co ma być? Wiadomo, łobuzy jabłka rozkradają, renklody poobrywali razem z gałęziami. Czy ja, samotna kobieta, poradzę sobie z nimi? A pan wie, jak to u nas na Targówku. Mam psa, ale to taki dziwny kundel, że na swoich szczeka, a do obcych się łąsi.

— Rzeczywiście — potwierdza pan Walczak. — Wdowie samej niełatwo.

— Bierz pan tę swoją kurtkę... Panu nawet guzika nie ma kto przyszyć. Tak samo to jadanie po 'barach mlecznych. Tfu! Pożal się Boże.

— E, czasami do gospody się pójdzie... Nie jest tak źle.

— Co mi pan będzie opowiadał. Czy ja nie wiem, jak dziś karmią w gospodach? Ani to świeże, ani to okraszone. Mój pies tego by nie żarł. W samotności, panie Walczak, człowiek marnieje.

Pan Walczak spogląda na panią Helenę i

przypomina sobie, jak to na wiosną przysłała po raz pierwszy na świeży grób swego nieboszczyka męża, jak żałośnie pochlipywała. Potem pomagał jej wbić paliki do ławeczki. Razem sadzili bratki. Z czasem coraz chętniej wyruszał w niedzielę na Bródno. Miał z kim przynajmniej pogadać. Podobała mu się żywotność i energia tej podwójnej wdowy. Domyślał się, że musi mieć dużo ponad pięćdziesiątkę, skoro jej Franek umarł w wieku lat sześćdziesięciu siedmiu. Porównywał ją ze swoją nieboszczką żoną. Były podobnej tuszy, podobnego usposobienia. Poruszony tą myślą zapalił „Sporta” i głęboko zaciągnął się dymem.

— Dałby pan spokój z tymi papierosiskami, jak Boga Kocham! Szkoda zdrowia i pieniędzy. Gdyby pan był moim mężem, nie pozwoliłabym panu palić.

— Może bym i usłuchał — odpowiada pan Walczak melancholijnie.

Zapadło milczenie. Główną aleją od strony bramy suną gromadki ludzi. Jedni przychodzą tu z potrzeby serca, inni z nawyku, jeszcze inni dla spędzenia upalnego dnia wśród zieleni, w cieniu drzew. Tak jak do pałacu.

— Czas wracać — powiada pani Helena wstając i otrzepując suknię.

Poszli razem, jak zwykle, do przystanku tramwajowego.

— Przyjdź pan w następną niedzielę.

— Przyjdę... Pewnie... Zamówiłem na działkach pelargonie... Wystarczy i dla pani.

Upłynęły znów cztery tygodnie. Liście żółkły i złociły się wczesną jesienną pożyłą. Tu i ówdzie po brzegach głównej alei połyskiwa-

ły, niby świeżo pociągnięte lakierem, opadłe kasztany.

Przy grobach ukochanych zmarłych siedzą jak zwykle pani Helena i stary kolejarz. Na pulchnych rękach wdowy lśnią czarne skórkowe rękawiczki nieboszczki Walczakowej, podarunek pana Walczaka.

— Ja jestem osoba praktyczna — kontynuuje pani Helena rozpoczętą ostatniej niedzieli rozmowę. — Pan ma przyzwoitą emeryturę, owszem, nie powiem, ja rentę po nieboszczyku mężu... Zawsze co jeden dom, to nie dwa. Męska ręka w ogródku też może się przydać. Pan, panie Walczak...

— Feliks mi na imię — wtrąca przymilnie kolejarz.

— Pan, panie Feliksie, tak samo wymaga opieki. Starszy człowiek, bądź co bądź... samotny... Ale jak z tą garderobą, nie wiadomo. Od (niej trzeba by zacząć...

— Chwileczkę, pani Heleno — mówi pośpiesznie kolejarz i z postrzępionego portfela wyjmuje zapisany arkusik papieru. — Proszę, niech pani naocznie sprawdzi. Szkoda, żeby się to wszystko marnowało.

Pani Helena odczytuje półgłosem:

— „Suknia czarna, jedwabna, guziki rogowe... Kostium granatowy z eksportowej setki... Spódnica szara flanelowa... Bluzka różowa z nylonu... Bluzka biała, wyszywana. Trzy swetry wełniane w dobrym stanie... Futro ze żrebaków, łokcie trochę wytarte... Serdak zakopiański podbity barankiem... Płaszcz gabardynowy... Trzy pary trzewików...” Na jakim obcasie? Pan tu nie zaznaczył, panie Feliksie. Ja

lubię obcas średnie, żeby nie były ani za wysokie, ani za niskie.

— Obcas, pani Heleno, akuratnie taki, jak pani nosi.

— Ano cóż, nieboszczka była nieźle zaopatrzona... I bielizna jest... i chusteczki do nosa — dodała wdowa, przeglądając raz jeszcze spis pana Walczaka. — Ale z drugiej strony... Jeżeli to wszystko nie będzie na mnie pasowało, to już gorsza sprawa. Co prawda, podług grobu sądząc, wzrost nawet by się zgadzał. Trzeba jednak przymierzyć. Bez przymiarki nie da rady,

— Na Białostocką niedaleko — rzekł pan Walczak wycierając dłonią łysinę.

— Ja tam po moim nieboszczyku Franku nie mam nic. Muszę pana z góry uprzedzić. Wszystko, co zostało, wyniosłam na bazar. Sam pan wie, jak dziś trudno związać koniec z końcem. A to komorne, a to gaz, a to światło... Jest trochę bielizny pościelowej, nawet monogram się zgadza: on był Franek, a pan Feliks. Ta sama litera... No i jeszcze jedno. Jeśli garderoba będzie pasowała i w ogóle, to ślub musi być kościelny... Nie żebym była taka religijna, ale jak już, to już... Czytałam w „Expressie” o jednym takim, co miał osiemdziesiąt lat, a jeszcze zachciało mu się zmiany. Mąż u mnie musi być na całe życie, aż do śmierci, tak jak mój nieboszczyk Franek, świeć, Panie, nad jego duszą.

— Amen — szepnął pan Walczak i jął w milczeniu zagryzać zrudziałe wąsy.

— Więc jak będzie z tą przymiarką? — zapytała pani Helena, patrząc w przestrzeń.

— A choćby i zaraz — rzekł ożywiając się kolejarz.

Gdy prowadził panią Helenę pod rękę do przystanku tramwajowego, wyczuwał pod palcami jej pulchne przedramię i z przyjemnością wchłaniał zapach toaletowego mydła, przypominający mu zapach młodości. Nie słuchał już dalszych rozważań wdowy na temat przyszłego małżeństwa, tak dalece absorbowwała go niepokojąca myśl, że wyjdą na jaw jego drobne kłamstewka. Granatowy kostium nie był z eksportowej setki, a spódnica na samym przodzie miała dużą plamę, której nie dało się wywabić.

Gdy stanęli przed obdrapaną kamienicą na Białostockiej, pan Walczak rzekł uroczyście:

— To tu...

Znów upłynęło kilka tygodni. Z drzew po- opadały liście.

I oto Zaduszki. Dorocznym zwyczajem ludzie ciągną na cmentarz. Niosą kwiaty, zapalają świeczki na grobach. Dzień jest chłodny i słotny. Państwo Walczakowie porządkują groby swoich zmarłych. Pani Helena jest w futrze ze żrebaków.

Ona mówi: „mój nieboszczyk Franek”, i czule wyciera szmatką żelazny krzyż.

On mówi: „moja nieboszczka żona”, kładzie na grobie wianuszek z jedliny, a potem dodaje z westchnieniem:

— Świeć, Panie, nad jej duszą.

Na cmentarzu nie jest ani smutno, ani żałobnie. Na cmentarzu panuje spokój, cisza i obojętność.